

John Maddox Roberts

Conan i Amazonka



calibre 0.9.27

CONAN I AMAZONKA

PRZEKŁAD Jakub Chmielewski

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN AND THE AMAZON

ROZDZIAŁ I

Miasto nazywało się Leng. Położone było w górzystej krainie wschodniej Brythunii, w

pobliżu granic Korynthii i Nemedii, u zbiegu dwóch przełęczy dających dostęp do równin leżących na wschodzie, zachodzie i południu. Niegdyś przełęcze owe ożywione były ludzkim życiem i Leng kwitło, jednakże szlaki handlowe zmieniły swój przebieg i od wielu lat większa część miasta stała się opuszczona. Od czasu do czasu tylko jakaś karawana

obozowała w obrębie murów, by znaleźć schronienie przed wiatrem bezustannie wiejącym wśród gór. Hodowcy bydła i owiec wypasali swoje stada na pastwiskach — niegdyś

przepysznych ogrodach bogatych kupców.

Teraz jednak miasto zaczynało raz jeszcze nabierać życia. Pojedynczo, dwójkami, w małych lub czasami większych grupach przez przełęcze, z czterech stron do miasta przybywali ludzie.

Wielu z nich dosiadało koni bądź wielbłądów, inni szli pieszo, a wśród tych ostatnich niemało było skutych za szyje niewolników uformowanych w karawany. Większość wśród

przybywających stanowili mężczyźni, ale można też było dostrzec kobiety.

Późnym popołudniem, na grzbiecie najbliższego wzgórza pojawiła się samotna sylwetka

człowieka spoglądającego w dół na krętą zakurzoną drogę, prowadzącą do miasta. Czerwone słońce rzucało długie cienie i barwiło zachodnie ściany wyższych budynków płomienną

purpurą. Mury Leng były niskie i zbudowane z grubo ciosanego kamienia. Wiele

chropowatych bloków wypadło ze swoich miejsc pozostawiając sporej wielkości wyrwy.

Potężne bramy dawno zbutwiały dając swobodny wstęp każdemu.

Większość z jeszcze stojących budynków była niewysoka, ale tu i ówdzie wyrastały wieże o czterech lub pięciu kondygnacjach będące niegdyś potężnymi siedzibami możnych rodów.

Gdzieniedzie w bezchmurne niebo unosiły się smugi dymu. Kilku spóźnionych podróżnych zdążyło przekroczyć jeszcze linię obwarowań, nie zważając na strażę pilnującą miasta.

Na szczycie stał człowiek. Był potężnej postury, miał masywne członki i pokryty bliznami nagi tors wystawiony na cięcia wichru. Na nogach miał wysokie wykończone futrem buty i spodnie z wilczej

skóry. Na potężne ramiona zarzucił sobie krótki płaszcz z surowej koziej skóry — jedyną ochronę przed kapryсами pogody. Jego nadgarstki i przedramiona owinięte były grubą, nabijaną ćwiekami z brązu, skórzaną taśmą. Nosił też pas z podobnej materii, do którego przyczepiony był długi miecz i prosty sztylet o szerokim ostrzu.

Wiatr zwiewał jego czarne włosy na kanciastą twarz, poraną bliznami podobnie jak całe ciało i równie spaloną słońcem. Stał w bezruchu, a jego niebieskie oczy badawczo

przyglądały się leżącemu w dole miastu. Nagle zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku Leng. O jakieś sto kroków przed miastem dołączył do małej grupy ludzi zbliżających się od wschodu. Byli dobrze uzbrojeni i mieli groźny wygląd, ale nie sprawiali wrażenia skłonnych do zaczepki.

— Witaj, nieznajomy — odezwał się przywódca grupy, mężczyzna odziany w tunikę i

spodnie z jedwabiu. Zarówno ubiór, jak i jego właściciel pamiętali lepsze dni, ale w postawie dawała się zauważyć pewność siebie i zuchwałość. — Widzę, że kolejny doświadczony przez los łowca przygód szuka biesiadnych uciech w Leng! — Miał opadające wąsy, a w rysach twarzy coś wschodniego, choć włosy jego były brązowe, a oczy bladozielone.

— Słyszałem, że człowiek bez plemienia i narodu może spędzić tu noc nie obawiając się lochu czy szubienicy po przebudzeniu — powiedział czarnowłosy mężczyzna. — Bo prócz

tego miejsce to nie ma chyba nic godnego polecenia, z tego co widzę. — Wydłużył krok, by zbliżyć się do swojego rozmówcy. — Czy na wschodzie rzeczy przybrały podobny obrót jak na północy?

— Tak się zdaje. Jestem Kye-Dee, Hyrkańczyk z Północnego Wschodu, Klan Żółwi. Nowy

Kagan wydał dekryty zakazujące rozbojów i uciska mój klan, który nigdy nie zhańbił się pracą wyrobniczą. Poprzez góry dotarła do nas wieść o tym miejscu, gdzie można czuć się bezpiecznie i nikt nie pyta o przeszłość. Nie lubię miast, ale zima zbliża się szybkim krokiem i nawet rozbójnik musi szukać schronienia.

— Ja jestem Conan z Cymmerii — rzekł czarnowłosy mężczyzna. — Jestem najemnikiem,

ostatnio na żołdzie brytuńskiego barona z pogranicza. Podniósł on bunt przeciwko swemu suwerenowi i przegrał. — Conan wyciągnął dłoń i uścisnął rękę Hyrkańczyka.

— A! Taka sprawa może spowodować, że się jest niemile widzianym — Kye-Dee ruchem

ramienia poprawił okryty pokrowcem łuk i kołczan. Miecz przy jego boku był krótki i

zakrzywiony.

— Tak też się stało — przytwierdził Cymmerianin. — Moich towarzyszy, jeśli udało im się przeżyć, szcuzo po górach jak jelenie. O tym miejscu usłyszałem w pewnej górskiej wiosce.

Jak rzekłeś, nadciąga zima, a góry nie są odpowiednim miejscem, by ją przetrwać, gdy wieje

północny wiatr, nie ma się dachu nad głową i domowego ogniska, by się ogrzać.

W pobliżu miejskich murów napotkali sklecone z gałęzi i patyków zagrody dla zwierząt, w których zamknięte były stadka owiec, kóz, bydła i świń. Gdzie indziej grupki chłopów odzianych we włochate skóry pilnowały wiklinowych klatek z kurami, kaczkami i gęśmi.

— Miejscowa ludność czerpie korzyści z napływu ludzi — powiedział Conan. — Ci, którzy nigdy nie widzieli więcej niż garści miedziaków, będą teraz żądać złota i srebra za te zwierzęta.

— Chłopi zawsze wywęszą zysk — odrzekł Kye-Dee i splunął na ziemię. — Powinieneś ich widzieć, jak wypelzają ze swoich kryjówek po bitwie, by obdzierać poległych.

— Widziałem niejedną raz — powiedział ponuro Conan. — Często nie mają nawet cierpliwości czekać, aż nadejdzie śmierć. Dorzynają rannych. Jeśli nie pozostało ci dość siły, by się bronić, nie będą się trudzić zabijaniem; odetną ci palce razem z pierścieniami, rękę wraz z bransoletą jeszcze żyjącemu.

— To dwunogie śwynie! — odezwał się inny Hyrkańczyk.

Conan wzruszył ramionami.

— Nie mają powodu, by kochać żołnierzy, a my, by kochać ich. — Obrzucił wzrokiem swoich nowych towarzyszy, z których wielu utykało, jakby mieli obolałe nogi. — Nieczęsto widuję waszych ziomków idących piechotą. — Hyrkańczycy byli narodem konnych nomadów i przerażała ich sama myśl o chodzeniu pieszo. Kye-Dee uśmiechnął się blado.

— Ludzie Kagana napadli na nas podczas snu parę dni temu. Wszystkie nasze konie wpadły w ich ręce. Nam, których tu widzisz, udało się uciec w mrok. Nie trudzili się pościgiem z pewnością myśląc, że wkrótce zginiemy bez wierzchowców.

— Ja także jechałem konno jeszcze parę dni temu — wyznał Conan. — Jakiś' rabuś

próbował mnie zgładzić. Strzelał z oddali. Był jednak marnym łucznikiem i chybił, ale strzała trafiła mojego konia. Dobiłem go, a siodło ukryłem, ale wątpię, czy kiedyś po nie wrócę.

Przeszli przez bramę bez wrót i wkroczyli do miasta Leng. Niskie, koloru błota, ściany domów były monotonicznie do siebie podobne, ale ludzie na ulicach stanowili różnorodną

zbieraninę. Sprawiali wrażenie przybyłych z czterech stron świata i od wszystkich jego ludów i ras. Można było zobaczyć ludzi odzianych w długie pasiaste suknie, jakie nosi się na pustyni, leżące się nemedyjskie jedwabie. Kilku ludzi było nawet obleczonego w ozdobne obcisłe stroje akwilońskich dandysów. Conan zobaczył podróżnych kupców groźnie

wyglądających i mężczyzn, którzy z całą pewnością byli dezertkami z armii okolicznych krain. Były też kobiety w strojach zamorańskich nierządnic i takie, którym mniej dopisało szczęście — były to skute łańcuchami niewolnice sprowadzane i przeznaczone do domów

publicznych.

— Dziwne miejsce — zamyślił się Conan. — Miasto widmo, w które tchnięto życie.

— Przyjacielu! — rzekł Kye-Dee zwracając się do kupca w pełnym uzbrojeniu, pilnującego straganu, gdzie sprzedawał maści, balsamy i leki dla ludzi i koni. — Wskaż strudzonym wędrowcom miejsce na spoczynek i dach chroniący przed tym przeklętym wiatrem.

— Myślę, że takich jak wy najlepiej obsłużą pod Czerwonym Orłem — odparł zagadnięty

wskazując budowlę, która wyglądała jak ustawione obok siebie wieże. Jedna ze ścian pokryta była ogromnym niezdarnym malunkiem ptaka z rozpostartymi skrzydłami i okrutnie

zakrzywionym dziobem.

— Co znaczy, tacy jak my? — spytał Conan. Kupiec uśmiechnął się krzywo.

— Bo to ulubione miejsce wszystkich złych duchów i rozbójników. Prawda, w tym mieście są prawie tylko tacy, ale ci najzatwardzieli trafiają zawsze pod Czerwonego Orła. Sama Achilea spędza tam noce.

— Achilea! — rzekł Conan zaskoczony — żyje ona z pewnością w opowieściach podróżników, ale nie jest prawdziwą kobietą!

— O, jest jak najbardziej prawdziwa — potwierdził Kye-Dee. — Sam raz ją widziałem z daleka. Mówią, że jest bardzo piękna i bardzo okrutna.

— Muszę sam się o tym przekonać — powiedział Conan — chodźmy pod Czerwonego Orła.

Gdy szli, Cymmerianin przywoływał w pamięci rozproszone wspomnienia tego, co słyszał

o na pół legendarnej Achilei. Opowiadało się, że w dalekiej, północno-wschodniej krainie stepów mieszka plemię dzikich kobiet-wojowników, które nie znoszą obecności mężczyzn ani dzieci męskiej płci. Od czasu do czasu miały ponoć brać męskich jeńców, z którymi łączyły się na przeciąg miesiąca, by potem podczas przerażającej ceremonii zgładzić ich.

Męski owoc tych związków był oddawany przejeżdżającym karawanom albo — jak

powiadali niektórzy — zabijany. Dziewczęta wychowywano na wojowników.

Niegdyś — mówiono — królową tych przerażających niewiast była kobieta o imieniu

Achilea. Siała postrach wśród okolicznych ludów, aż jej własny zwrócił się przeciwko niej i została obalona przez rywalkę. Dlaczego tak się stało, pozostało tajemnicą, ale odjechała z nieliczną grupą ludzi i zaczęła napadać na karawany, wsie, a nawet miasta na całych stepach i dużej części zamieszkałych ziem. Przez lata Conan uważał ją za bohaterkę jednych z legend, które słyszy się tak często. Zawsze w nich występuje jakaś przerażająca postać, której nikt na własne oczy nie widział, ale każdy znał kogoś, kto widział.

Byli coraz bliżej wysokiego budynku i mogli już dostrzec światła żarzące się w licznych małych oknach. Zapadł mrok, ale w resztkach gasnącej jasności widać było, że

improvizowany dach pokryty jest strzechą. Przed domem znajdowała się studnia i kilka pojników, przy których stały konie, muły, osły i wielbłądy. Niektóre piły, inne po prostu stały przeżuając swoją karmę i od czasu do czasu trącały się nawzajem z lekka w sennej nudzie.

Conan i jego nowi towarzysze schylili głowy przechodząc przez niskie drzwi i weszli do środka. Cztery stopnie w dół była główna izba gospody. Belki stropu zawieszono tak, że wysoki Cymmerianin zawadzał o nie swoją głową. Liczne świece, pochodnie i latarnie

zapewniały oświetlenie. Umeblowanie było bardzo różnorodne. Stały tam długie stoły z ławami, mniejsze, okrągłe bądź kwadratowe, otoczone krzesłami, a także niskie, podobne do bębnow. To dla tych, którzy woleli siedzieć na wyłożonej słomą podłodze.

W jednej części pomieszczenia znajdował się bar zrobiony z ciężkiej kamiennej płyty

położonej na kamiennych blokach. Za barem stał równie masywny człowiek. Jego ramiona przypominały konary drzew, a pokaźny brzuch sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał

rozerwać opinający go skórzany fartuch. Miał wygoloną czaszkę, pokrytą tatuażami z

jaskrawo kolorowymi kwiatami, a zaczesane do góry wąsy okalały złamany nos, na którym połyskiwały ćwieki ze szlachetnymi kamieniami. Za barmanem, na półkach stały beczułki, gąsiory z winem i gliniane garnce poustawiane pomiędzy dzbanami, glinianymi kubkami i skórzanymi bukłakami.

W pomieszczeniu panował tłok, przy każdym stole siedzieli ludzie. Grali w kości, które chrzęściły w kubkach, żetony gier losowych krążyły z rąk do rąk, wymieniano zakłady. W

rogu mężczyźni rzucali sztyletami do wyciosanego drewnianego celu, pod którym siedzieli inni, zajęci piciem, zupełnie nie zwracając uwagi na świszczące nad głowami ostrza.

Większość obecnych podniosła głowy, by móc przyjrzeć się nowo przybyłym, ale

zaspokoiwszy ciekawość, po chwili powrócili do swoich zajęć. Jeden tylko wydawał się poruszony wyglądem Conana, który nawet w tym niewyszukanym otoczeniu zdawał się

wyjątkowo prymitywny. Gdy przybysze mijali stół, ów człowiek, który przy nim siedział

przechylił się i w obraźliwie natarczywy sposób gapił się na skąpe odzienie Cymmerianina.

— Patrzcie, dzikus zszedł do nas prosto z drzewa! — powiedział głośno. — Karczmarzu, może niedługo zaprosisz tu osły i kozy? — Zarechotał wykrzywiając twarz w grymasie, który uczynił go jeszcze bardziej odpychającym. Niechlujna broda nie zdołała ukryć złodziejskiego piętna wypalonego przez zamorańskiego kata na jednym z policzków.

— Jeśli tylko ma czym płacić, to, jeśli chcesz wiedzieć, może tu wejść nawet goły — odparł mężczyzna w skórzanym fartuchu. Conan zatrzymał się i odwrócił do człowieka z piętnem.

— Jeśli nie podoba ci się mój wygląd — rzekł stłumionym głosem, nabrzmiałym groźbą —

to może spróbujesz go zmienić. — Nachylił się tak, że tylko kilka centymetrów dzieliło ich głowy. — To, co widzę na twojej twarzy, to chyba znak złodzieja. Zamorańczycy nie

pomylili cię z mordercą — niebieskie oczy Conana płonęły jak siarkowe płomienie.

Przeciwnik zbladł. Przedtem widział tylko barbarzyńskie przybranie, teraz dopiero dojrzał, kogo okrywało.

— Ja... nie będę brudził ostrza krwią dzikusa — mruknął.

— Mogę użyczyć ci swojego — usłużnie zaproponował Kye-Dee, odpinając pochwę od pasa.

— Dosyć tego, Arpad! — warknął karczmarz. — Nie bądź głupi i nie zaczepiaj

wojowników takich, jak ten. Wsadź nos w kufel, tam gdzie jego miejsce, i nie naprzykrzaj się moim klientom. — Na poparcie tych słów olbrzym wyciągnął gigantyczną maczugę i stuknął

okutym w żelazo końcem w kamienny kontuar. Udając jeszcze nadal odważnego mężczyzna wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Ten zwierzoczek, Indulio, to dla mnie nic. Nie będę jednak brudził tego miejsca jego krwią, jeśli sobie nie życzysz. — To rzekłszy odwrócił się z powrotem do kufla z piwem, ale widać było, że twarz pokrył mu rumieniec wstydu. Cymmerianin stał za nim jeszcze chwilę uśmiechając się, a następnie ruszył w kierunku baru.

— Jesteśmy głodni, spragnieni i zdrożeni — odezwał się Hyrkańczyk. — Widzę, że można się u ciebie napić. Czy jadło i spoczynek też tu znajdziemy?

— To zależy — odparł karczmarz. — Macie czym zapłacić?

Cymmerianin i jego nowi kompani przeszukawszy sakiewki usypali na barze niewielki stosik miedzianych i srebrnych monet. Człowiek nazwany Indulio rozpromienił się.

— Za to możecie jeść, pić i spać przez trzy dni i trzy noce. — Jednym ruchem zgarnął pieniądze do ręki i wsypał je do okutej żelazem skrzyni, stojącej u jego stóp. — Potem musicie przynieść więcej.

— Gdzie mamy spać? — spytał Conan.

Karczmarz wskazał grubym palcem za siebie.

— Jak dotąd nikt nie zajął jeszcze piątego piętra. Uważajcie tylko ze świecami i latarniami.

Wyżej jest już tylko strzecha. Jedzenie właśnie się gotuje i będzie niedługo. Co pijecie?

— Piwo — rzekł Conan. Hyrkańczyk dowiedziawszy się, że nie można dostać sfermentowanego końskiego mleka także zamówił piwo. Indulio postawił przed nimi spienione kufle.

— Jak wam powiedziałem, bądźcie ostrożni z ogniem. Nie chcę też żadnych bijatyk.

Trzymajcie też łapy z dala od służebnych dziewczek. Poza tym możecie robić, co wam się żywnie podoba.

— Będę przestrzegał twoich poleceń — zapewnił Conan. — Ale ten tam wystawił mnie na ciężką próbę. Gdybym był młodszy rozplątałbym mu czaszkę, zanim trzecie słowo przeszło mu przez usta. Teraz jestem bardziej cierpliwy i mam więcej powściągliwości.

— Nic mam nic przeciwko temu, żebyście się pozabijali — powiedział karczmarz. — Byle tylko na zewnątrz.

Conan, Kye–Dee i reszta znaleźli pusty narożnik i usiedli na słomie z kufkami w dłoniach.

Jeden z niewolników przyniósł dla nich niski stół z tyłu pomieszczenia. Za chwilę kobieta z żelazną obręczą na szyi postawiła przed nimi półmisek dymiących wołowych żeber. Inna przyniosła ser, owoce i stertę płaskich, twardych bochnów chleba. Wygłodniali mężczyźni przerwali swoje gry i przechwałki, by zaspokoić głód.

Conan miał cały czas świadomość, że człowiek o imieniu Arpad rzuca w jego stronę mroczone spojrzenia. Było oczywiste, że jego towarzysze o równie opryszkowatej powierzchowności naigrawali się z niego za jego niemęskie zachowanie. Cymmerianin nie odwracał

spojrzenia. Zdecydował, że będzie musiał zabić tamtego, zanim skończy się noc.

Wcześniej czy później Arpad wypije na tyle dużo, że ponowi zaczepkę. Ta perspektywa nie martwiła Conana.

Gdy kufle zostały ponownie napełnione, Indulio opuścił swoje miejsce za barem

zostawiając je pod opieką jednej ze służebnych i przyłączył się do stolika swoich nowych gości.

— Przybywacie chyba z daleka, przyjaciele — odezwał się sadowiąc swoje olbrzymie cielsko na słomie.

— A jakże, z daleka — rzekł Conan. On i jego towarzysze przedstawili pokrótce historie swoich niepowodzeń. — Jak to się stało, że to miejsce nagle zaczęło cieszyć się takim wzięciem? — zapytał Cymmerianin gdy skończyli.

Karczmarz podkręcił wąsy z zadowoleniem.

— Nie was jednych dotknęły złe czasy. Po raz pierwszy od chyba pięćdziesięciu lat

Nemedia, Ofir, Koth, Korynthia i Zamora zawarły pokój. Królowie korzystają z tego, by wypłenić rozbójnictwo w swoich krajach. Co więcej, współpracują ze sobą w tym względzie.

Banici z jednego kraju nie mogą więc przekroczyć granicy i znaleźć za nią spokoju. Pół roku temu zrozumiałem, jakie to stwarza możliwości i przypomniałem sobie o tym mieście, które widziałem wiele lat wcześniej, gdy uciekałem z Zamory do Brythunii. Nawet król Brythunii nie dba o te graniczne góry, więc rozpuściłem wieść, że tu jest bezpieczne schronienie. Miasto wciąż stoi i jest prawie nie zamieszkane. Można tu przeczekać, aż wszystko wróci do

normalności. Załadowałem wozy towarami i przyjechałem tutaj, żeby najlepszy budynek w mieście zająć na gospodę. Dalej wystarczyło już tylko położyć dach i czekać. W ciągu kilku dni zaczęli przybywać pierwsi, za miesiąc było ich już dwustu. Teraz miasto jest prawie pełne

— zakończył promieniejąc z zadowolenia.

— Co oni wszyscy robią, gdy kończą im się pieniądze na kwatery?

— Wprowadzają się do pustych domów. Trzeba tam tylko położyć dachy. Chłopi za marne

grosze dostarczają materiałów. A co do chłopów, to lepiej ich nie ruszać. Ukradniecie im jedną kozę, a wszyscy wyniosą się stąd ze swoimi trzodami i pomrzemy z głodu.

— Słuszne myślenie — rzekł Conan. — Ja przynajmniej... Urwał, bo otworzyły się drzwi i do gospody weszła przedziwna grupa.

Pierwszy wszedł przysadzisty krasnolud, niosący na ramionach świeżo ubitą antylopę.

Kończyny miał krótkie i umięśnione, a jego pierś przypominała beczkę z piwem. Głowa była większa niż zazwyczaj mają ludzie, a rysy twarzy regularne i wręcz przyjemne. Dziwnym akcentem był pierścień przebity przez nos. Następnie weszły trzy kobiety uzbrojone w łuki. Z

pasów zwisały im zabite zające i bażanty. Każda miała wymalowany na twarzy czarny,

przypominający maskę, pas na oczach. Ubrane były w krótkie tuniki bez rękawów, rajtuzy z jeleniej skóry i obwieszane licznymi małymi amuletami. Włosy miały zwichrzone i nie

ułożone w żadne uczesanie. Przypominały bardziej dzikie zwierzęta niż kobiety. Jednak ostatnia postać, która weszła sprawiła, że Conan zapomniał o wszystkim dookoła.

Miała na sobie suty płaszcz wykończony futrem i przyozdobiony jaskrawymi piórami.

Wspaniałe, złote włosy okalały jej piękną twarz o twardych rysach, które łagodziły duże, jasnoszare oczy. Usta o olśniewającym kształcie pomalowane były intensywną czerwienią.

Słońce i wiatr uczyniły jej oblicze smagłym, z wyjątkiem blizn, które pozostały białe. Jedna biegła od nosa przez szeroką kość policzkową do linii szczęki. Mniejsza pionowa przecinała podbródek.

Gdy osoba ta stanęła pod belkami stropu, Conan zauważył, jak była niezwykle wysoka.

Chciał zobaczyć, czy nosi buty na grubej podeszwie i ku swemu zdziwieniu spostrzegł, że była bosa. Mogła być niższa od niego zaledwie o 5 centymetrów. Gdy kroczyła przez izbę, wzbudziła jego podziw. Widywał nieraz koronowane królowe, które poruszały się nie aż tak godnie, jak ona.

— Indulio! — zawołała, gdy karzeł zrzucił antylopę na bar. — Przygotuj to dla nas. —

Pozostałe kobiety także położyły swoje łupy na barze i oddaliły się w kierunku pulsującego ogniska.

— Już biegnę, Achileo — zawołał właściciel i poderwał się na równe nogi z prędkością, której trudno było się spodziewać po ogromnym cielsku. — Oni sami zaopatrują się w

pożywienie, polują — wyjaśnił Conanowi. — A moja służba oporządza zwierzynę. Ja dostaję skóry i futra — wykrzykując oddalił się od stołu.

Achilea ściągnęła wyszywane rękawice odsłaniając parę szerokich rąk o masywnych

palcach. Conan wiedział, że takie ręce ma się wówczas, gdy od wczesnych lat ćwiczy się z mieczem. Indulio zdjął z półki róg wołu, napełnił go piwem i ze czcią wręczył Achilei.

Powoli opróżniła go do połowy i dołączyła do swoich towarzyszek przy ogniu. Siedzący tam mężczyźni pośpiesznie usuwali się robiąc im miejsce. Achilea usiadła na ławie i po raz pierwszy rozejrzała się po izbie. Jej wzrok zatrzymał się na chwilę na Conanie i zaraz podążył

dalej. Cymmerianin poczuł uderzenie krwi do głowy. Ciepło rozeszło się po całym jego ciele i zapragnął tej kobiety jak niczego dotąd.

— Co z was za mężczyźni? — wykrzyknął jakiś niemrawy głos. Conan poznał, że to Arpad, który stał teraz z głupkowatym wyrazem twarzy, bo poczuł przypływ odwagi. — Dlaczego tak skwapliwie ustępujecie miejsca tej bezwstydnej dziewczce? Wydaje wam się, że ta baba naprawdę jest wojownikiem, jak twierdzi? — wydał z siebie przeciągły chichot

przypominający rzenie. — To po prostu jakaś północna zdzira. Ona udaje legendarną postać, która nigdy nie istniała.

Conan zdał sobie sprawę, że Arpad wypił zbyt dużo, żeby być niebezpiecznym. Z

zainteresowaniem obserwował reakcję Achilei. Karzeł i kobiety sięgnęli po broń, ale ona uspokoiła ich gestem. Wypiła resztkę wina i odrzuciła róg w kierunku karła, który złapał go z nadzwyczajną zręcznością. Potem wstała ze swego miejsca ukazując całą swoją

nadzwyczajną postać.

— Czego chcesz ode mnie, człowieczku? — spytała. Jej głos brzmiał nisko i lekko

wibrował. To spodobało się Conanowi.

— Czego chcę? — Arpad zaśmiał się znowu. — No cóż, chcę tego, czego chcą tu wszyscy, dziewczko! Podokazywać sobie z tym twoim przerośniętym ciałem! Podaj cenę — pogrzebał

chwile w sakiewce, wyciągnął trzy miedziane monety i rzucił jej pod nogi. — Chyba nie będziesz chciała więcej!

Przez chwilę przyglądała się monetom, po czym podniosła wzrok na Arpada.

— Nasz gospodarz nie życzy sobie przelewu krwi w izbie. — Stuknęła pięścią w belki stropu tuż nad swoją głową. — Zresztą i tak powała jest tu zbyt niska na walkę mieczem.

Wyjdźmy na zewnątrz, tam umrzesz. — To powiedziawszy skierowała się do wyjścia, a za nią jej towarzysze.

Izba opustoszała błyskawicznie, ponieważ nikt nie chciał opuścić tak ciekawego

wydarzenia. Wyszedł i Arpad w otoczeniu swoich kompanów, poklepujących go po plecach.

Był napięty, ale z zadziornym uśmieszkiem na twarzy. Conan wstał z westchnieniem podnosząc miecz, który przedtem położył obok siebie na słomie.

— Pójdę i zabiję tego głupca — powiedział. — To jest bardziej moja sprawa niż jej.

Indulio chwycił go za ramię.

— Nie, przyjacielu. Prędej by cię zabiła, niż pozwoliła odebrać sobie tę walkę. Zostaw tę sprawę swojemu biegowi — powiedział i wyszedł razem z Cymmerianinem i Hyrkańczykami

na zewnątrz.

Na podwórku mężczyźni wyznaczyli pochodniami krąg. Z bocznych ulic przybywali inni,

bo wiadomość o niezwykłej walce rozniosła się z prędkością błyskawicy. Conan łokciami utorował sobie drogę do miejsca, z którego mógł widzieć walkę.

Arpad wszedł do okręgu z uśmiechem pewnego siebie.

— Wyjdź, dziewczko, na spotkanie swego pana! — nerwowo zacisnął palce na rękojeści

długiego prostego miecza z wąskim ostrzem.

Achilea spod płaszcza wyciągnęła swój miecz. Zdjęła pochwę i podała karłowi. Jedna z kobiet wzięła od niej płaszcz i Achilea wkroczyła w ognisty krąg. Na jej widok Conanowi zaparło dech w piersiach. Widywał już w życiu walczące kobiety i niektóre robiły to całkiem nieźle, ale nigdy jeszcze nie miał przed oczami takiego widoku, jak ten.

Mocna szyja przechodziła piękną linią w ramiona, które zakończone zaokrąglonymi

mięśniami przechodziły harmonijnie w silne ręce. Mięśnie przedramion drgały jej, gdy od niechcienia kręciła małe koła końcem miecza. Jej delikatne nadgarstki były ciasno owinięte czarnymi skórzanymi opaskami i Conan podejrzewał, że przeguby jej rąk są najsłabszą

częścią jej ciała. Brzuch silnie umięśniony przypominał brukowaną ulicę i zdawał się twardy jak stal. Masywne uda delikatnie osadzone były na zgrabnych kolanach.

I mimo niezwykłej muskulatury w oczach Conana była uosobieniem kobiecości. Jej piersi były pełne i kobiece, miała lekko zaokrąglone biodra i pośladki. Pas z nabijanej skóry otaczał

biodra, a do niego przyczepiona była przepaska z czerwonego lisa biegnąca wzdłuż nóg. To, wraz z taśmami owijającymi ręce i futrzanymi getrami, stanowiło jej całe odzienie. Mimo że była jasnej karnacji, każdy centymetr jej ciała był spalony słońcem tak jak twarz, co z jasnymi oczami i włosami koloru złota jeszcze bardziej kontrastowało. Lekkie podmuchy wiatru, których zdawała się nie zauważać, poruszały jej włosy.

Serce Conana waliło w piersiach. Była niczym wspaniała lwica: potężna, dumna i

śmiertelnie niebezpieczna. Pierwszy impuls podpowiadał mu, by rzucić się i rozplatać Arpada na pół za zuchwalstwo, jakim było rzucenie wyzwania takiemu pięknu. Wiedział jednak, że ta królowa-wojownik odebrałaby jego interwencję jako śmiertelną obrazę, powściągnął się więc i zasiadł, by obserwować przebieg wypadków.

Tymczasem z twarzy Arpada zniknął zawadiacki uśmieszek. Jasne było, że nigdy wcześniej nie

widział takiej wojowniczką bez szat i zbyt późno zdał sobie sprawę, że to nie zabawa.

Lwica naprawdę chce jego krwi. Nie tego chciał, ale było już dużo za późno, by się wycofać.

Conan przyglądał się obojgu. Arpad był spięty, podniecony i nagle trzeźwy. Zaciśnięte zęby i wytrzeszczone oczy wskazywały, że jest na granicy wytrzymałości. Ścisnął rękojeść

swojego miecza zbielełymi dłońmi, mierząc lekko drżącym ostrzem na wysokość jej brzucha, drugą rękę trzymając wyciągniętą dla równowagi.

Achilea przeciwnie. Zdawała się zupełnie rozluźniona. Ciężar ciała przerzuciła na jedną nogę, biodra wygięła w kształt bliski literze S, obie ręce trzymała wzdłuż boków razem z luźno zwisającym mieczem. Tylko głowę nieznacznie pochyliła i podała do przodu, co

zdradzało, że spokój jej był równie zwodniczy, jak spokój gotującej się do ataku zmi.

Przez kilka sekund oboje trzymali się tuż za zasięgiem mieczy. Widownia była tak cicho, że jedyny dźwięk wydawał wiatr szarpiący ogniem latarni. Takiego napięcia nie wytrzymały nerwy Arpada. Skoczył przed siebie stawiając wszystko na jedno pchnięcie. Mierzył w szyję, gdzie jedno celne pchnięcie, jedna płytka rana mogłyby spowodować natychmiastową śmierć.

Cios był szybki i dobrze wymierzony, ale Achilea podniosła swój miecz półkolistym

ruchem, odbijając ostrze w bok. Natychmiast przeszła do ataku przeciągając miecz w

poziomej płaszczyźnie. Jej broń była szersza od broni Arpada, była też krótsza o długość dłoni.

Przeciwnik, z okrzykiem zaskoczenia, odskoczył unikając pchnięcia w brzuch. Celował

swoim ostrzem w oczy Achilei, ale ona zdołała cofnąć się o krok, z niebywałą gracją

przenosząc ciężar ciała na drugą nogę.

Teraz każde krążyło wokół drugiego, pochyleni, wpatrzeni w siebie, przepelnieni żądzą zwania się w śmiertelnym uścisku. Arpad trzymał miecz wyciągnięty przed sobą, wolną ręką starając się ochronić jak największą powierzchnię brzucha klatki piersiowej. Widać było, że preferuje ciosy ostrzem; były szybsze i wymagały mniej siły niż walka na krawędzie mieczy.

Przez to postawą przypominał bardziej nożownika.

Achilea skierowała ostrze swojego miecza na zewnątrz, trzymając go w wyciągniętej prawej ręce. Palcami, również wyciągniętej lewej ręki, przebierała w powietrzu. Była gotowa do ataku, nie tylko do obrony. Przykulona w ten sposób, z odsłoniętymi ponętnymi piersiami i napiętym brzuchem, zdawała się oferować siebie jak podarunek. Wystawiona była zaledwie o centymetry od ostrza. Conan zdawał sobie sprawę, że ryzykowna to była strategia.

Nie miał zwyczaju niepokoić się zawczasu, ale wiedział, że ta kobieta prowadzi

lekkomyślną grę. W ten sposób mogła przegrać ze zżęcznym wojownikiem, a Arpad

zdesperowany udowodnił, że potrafi być szybki. Obrona przed szaleńcem mogła się okazać trudna nawet przy dużym doświadczeniu w walce. Gdyby rzucił się całym ciałem do przodu, mógłby przebić ją na wylot, nawet jeśli zdołałaby w ostatniej chwili odciąć mu głowę. Żaden wojownik przy zdrowych zmysłach nie uważałby podwójnej śmierci za zadowalający wynik walki.

Arpad był prawie gotów, by wykonać taki ruch, ale resztki zdrowego rozsądku wzięły górę.

Zaczął — najpierw z prawa, potem z lewa — krótkie cięcia, szybko zmieniając kierunek, jakby chciał wybadać słabe miejsca. Stal dźwięczała o stal, gdy Achilea odbijała w bok jego ciosy. Potem skoczyła w przód i jej ostrze wykonało podwójną ósemkę; cztery ciosy

schodzące z góry, z prawa–lewa, z lewa–prawa w zupełnie niespodziewanej sekwencji. Tylko jaszczurcza zwinność uratowała Arpada.

Dzięki niej zdołał na czas przeciwstawić swoje ostrze, ale nie minęły go dwa draśnięcia w głowę. Po tym ostatnim starciu, oboje byli niebezpiecznie blisko siebie i Arpad sieknął swym mieczem niczym cepem. Cios był zbyt dziki, by mógł być śmiertelny, ale płaz ostrza

dosięgnął szczęki Achilei.

Odskoczyli od siebie, znów dając sobie miejsce do okrążeń. Oboje ociekali potem, a ich oddechy wydobywały się ze świstem z płuc. Walczyli dopiero chwilę, ale wysiłek potęgowało napięcie, wyczerpujące nie mniej niż same starcia. Przyglądający się ludzie wydawali z siebie pomruki niecierpliwości.

Achilea znów stanęła w rozkroku. Arpad był przygotowany na dalszą walkę. Siły

opuszczały go szybko z powodu powiększającego się zdenerwowania. Razem z siłą tracił

refleks, a brak szybkości w walce oznaczał śmierć. Wyrzucił uzbrojone ramię do przodu, całym ciałem podążając za ciosem.

Po raz pierwszy Achilea wydała z siebie okrzyk, ostry okrzyk bojowy i machnęła mieczem w linii poziomej, mając zamiar przepołowić atakującego i jednocześnie odskoczyć w bok, by uniknąć jego ciosu.

Ale Arpad miał w zanadrzu jeszcze jedną sztuczkę. Zatrzymał się nagle w połowie skoku powodując, że ostrze jej miecza przeszło obok niego, po czym wyskoczył raz jeszcze

prowadząc cios z góry w kierunku nieosłoniętej szyi.

Miecz Achilei minął cel, ale jej lewa ręka uchwyciła nadgarstek Arpada zatrzymując

śmiercionośną stal zaledwie o grubość trzech palców od pulsującej arterii. Ich ciała zwały się z całą siłą, próbując przeważyć się nawzajem. Teraz także Arpad trzymał prawe przedramię Achilei swoją

lewą ręką.

Wokół zapanowała martwa cisza przerywana tylko stękaniem walczących przeciwników.

Ręka Arpada drżała próbując wyrwać się z uchwytu i dotrzeć do szyi, a mięśnie na ramionach i plecach Achilei grały pod cienką warstwą skóry w próbie odzyskania swobody ruchu.

Bardzo powoli prawe ramię Achilei zaczęło się podnosić. Najpierw ukazała się rękoność, potem całe, już wolne, ostrze. Wyglądało to, jakby niespiesznie wyciągała miecz z pochwy.

Tylko ostrze było czarne od krwi. Arpad wytrzeszczył oczy i wydał z siebie stłumiony charkot. Potem krew rzuciła mu się przez usta i ze zmartwiałej dłoni wypuścił rękoność miecza. Gdy Achilea rozluźniła uścisk, zachwiał się i postąpił do tyłu o krok lub dwa. Teraz oczom wszystkich ukazała się ogromna rana przecinająca cały brzuch od dołu po żebra, z której wylewały się szare trzewia. Tryskając krwią upadł z tą odrażającą płataniną własnych wnętrzności.

— Dziwka!

Conan nie wiedział, który z dwóch towarzyszy Arpada wykrzyknął to słowo, ale obaj

wyskoczyli z tłumu dzierżąc w dłoniach krótkie ostrza. Z szybkością, która zadziwiła każdego, kto patrzył w jego stronę. Conan wyciągnął swój miecz i rąbnął jednego z nich przez szyję. Jedna z towarzyszek Achilei rzuciła topór 'o krótkiej ręczce, który lecąc poprzez krąg, ostrzem rozplątał twarz drugiego z atakujących. Żaden z nich nie zrobił więcej niż dwa kroki za linię zatkniętych w ziemię latarni.

Na kilka sekund wszystko ucichło, potem przemówił Indulio.

— Przedstawienie skończone. Wejdźcie do środka i zwilżcie zaschłe gardła!

Tłumek ruszył rozmawiając z podnieceniem na temat walki, tak niespodziewanie zakończonej.

Conan został. Obserwował Achileę, gdy podeszły do niej jej towarzyszki. Z przodu cała umazana była krwią, którą jedna z kobiet wycierała wilgotną szmatą. Druga ocierała pot z unoszących się i opadających niczym kowalski miech piersi. Gdy krew została zmyta. Conan dostrzegł u Achilei cienką czerwoną linię, ciągnącą się niczym lustrzane odbicie śmiertelnej rany Arpada od lewej pachwiny przez cały brzuch. Musiała przycisnąć ostrze z całej siły i nie udało jej się uniknąć tego draśnięcia od drugiej strony własnego miecza. Conan pokiwał

głową z uznaniem. To było odważne i mistrzowskie posunięcie. Większość walczących starałaby się uwolnić broń, nawet ryzykując niebezpieczne cięcie.

Gdy na jej ciele nie było już śladów krwi, jedna z kobiet narzuciła jej na ramiona szeroki płaszcz klepiąc ją delikatnie i szepcząc do ucha przymilne słowa. Karzeł stał obok oparty o sękatą maczugę z

wyrazem ironicznego rozbawienia na swej dziwacznej twarzy. Gdy wygląd Achilei został doprowadzony do porządku, zbliżyła się do miejsca, w którym stał

Cymmerianin. Jego bystre oczy zauważyły oznaki zmęczenia w jej królewskim chodzie.

— Zdaje się, nieznajomy, że jestem ci winna podziękowanie — powiedziała.

— Na Croma, nie będę spokojnie patrzył, jak tchórze zarabują wspaniałego wojownika!

— Crom? — rzekła. — Słyszałam to imię wypowiedane przez ludzi z Aesiru, ale oni przeklinają go, a nie klną na niego. Czy jesteś Cymmerianinem?

— Tak. Nazywam się Conan.

W jej zmęczonych oczach zamigotało zainteresowanie.

— Conan z Cymmerii? Zdaje mi się, że słyszałam to imię. Najemny miecz i łowca przygód, czyż nie?

— Conan skinął głową.

— Tak. Imię Achilea też nie jest mi obce, choć jeszcze parę minut temu uważałem cię za legendę.

— Dobrze więc, że się spotkaliśmy. To są Payna, Lombi i Ekun. — Trzy kobiety

wpatrywały się w niego nieruchomym wzrokiem i był to jedyny dowód uznania, jaki mu

okazały. — A to jest Jeyba. — Karzeł uśmiechnął się i koślawo zasalutował. Achilea znów spojrzała na Conana. — Niegdyś byłam królową. Teraz tylko oni są moimi poddanymi i moją armią.

— Wiedzie ci się więc lepiej niż mnie — rzekł Conan. — Ja nie mam ani jednego

towarzysza i grosza przy duszy.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się wprawdzie niezbyt szeroko ale wyraźnie.

— Wejdz do środka i przyłącz się do nas, Cymmerianinie. Teraz jedynie mogę zrobić to, że zmuszę Indulia, by wyciągnął dla ciebie swoje najlepsze piwo.

Dwornym gestem, którego nauczył się w Nemedii, Conan zaprosił ją, by szła pierwsza.

Śmiejąc się oboje weszli do środka. Kobieta o imieniu Ekun położywszy nogę na twarzy powalonego przez siebie człowieka wyciągała z niego swój topór. Karzeł Jeyba zręcznie przeczesywał ubrania i sakiewki wszystkich trzech.

W środku Achilea wróciła na swoje miejsce przy ogniu, a Conan znalazł stołek, na którym usiadł naprzeciw niej, by ich głowy znalazły się na tym samym poziomie. W czasie, gdy jedna z kobiet poszła, by ponownie napełnić piwem róg, Achilea wyciągnęła swoje długie i silne nogi do ognia.

Conan zauważył, że jej stopy były niewielkie, o wysokim podbiciu i delikatnym kształcie.

Kobieta o imieniu Lombi wróciła niebawem z rogiem wypełnionym po brzegi i Achilea, wyraźnie spragniona, pociągnęła pierwszy łyk, po czym ceremonialnym gestem podała róg Conanowi. Ujął go w obie ręce i lekko pokiwał głową nad rzeźbionym naczyniem, które — zauważył — musiało być starożytne, miało srebrne zdobienia i tajemnicze motywy. Część dawnego dziedzictwa, ocalona po utracie domu i władzy, pomyślał. Albo zostało ukradzione.

Podniósł róg i przełknął. Piwo było wspaniale, a srebrny brzeg był jeszcze ciepły od dotknięcia jej warg.

Służebne ustawiły przed nimi stół i poukładały najprzeróżniejsze jadło. Gdy Achilea zaczęła się pożywiać, wrócił karzeł i wysypał przed nią garść monet, pierścieni i innych ozdób.

Jednym szerokim gestem Achilea oddzieliła jedną trzecią łupu i przesunęła w kierunku Conana.

— Twój udział — powiedziała gryząc kawał chleba. — Ty zabiłeś jednego z nich.

Conan odsunął lup z powrotem.

— To ja powinienem był przyjąć tę walkę. Arpad próbował ze mną zaczepki, ale na oczach swoich towarzyszy zmusiłem go, żeby się wycofał. Poniżyłem go i szukał okazji, żeby odzyskać honor. Myślał, że ciebie łatwiej będzie zabić.

— Każda walka, którą staczam, jest moja, a ten człowiek obraził mnie — przesunęła

kosztowności do Cymmerianina. — A teraz weź to, jeśli nie chcesz mnie obrazić. — Tym razem Conan zgarnął stosik do swojej sakiewki przypiętej do pasa. Na stole zaczęły się pojawiać pieczone mięsiwa.

— Zjedz z nami wieczerzę — powiedziała Achilea tonem nie znoszącym sprzeciwu. Conan

jadł pełny posiłek nie dawniej niż przed godziną, ale mężczyzna powinien zawsze móc

znaleźć miejsce na kilka dodatkowych kęsów, a obieżyświat nigdy nie wie, kiedy czeka go następna szansa napełnienia brzucha. Dlatego starał się nigdy nie przegapić okazji

najedzenia się.

Jedli i niewiele mówili. Królowa–wojownik i jej mała świta spożywali łapczywie, zmęczeni po całym dniu polowania, które zmuszało ich do pokonywania wielu mil pieszo po trudnym terenie. Kości rzucali psom, które szwendały się po tawernie w poszukiwaniu poczęstunku.

Gdy uporali się już z talerzami, zasiedli do rozmowy przy piwie. Conan dopił piwo z rogu i zabrał

się teraz za piwo w kuflu.

— Zdaje się, że jesteś bez zajęcia, Cymmerianinie — odezwała się Achilea. — Czy sprowadził cię tu ten sam los co wszystkich innych?

— Tak. Nikt nie bierze najemników, a rozbójnikom płaci się pętlą i pieńkiem. Widoki na przyszłość też są marne, a ja, przeciwnie niż wszyscy tutaj, nie uważam tego miejsca za dobre schronienie na długo.

— Co masz na myśli? — spytała przesuwając nogi bliżej ognia i ciepła bijących płomieni.

— Mnie się zdaje, że to dobre miejsce, by przeczekać złe czasy.

— Tak, na kilka dni, może miesiąc, ale rzeczy przybiorą tu zły obrót jeszcze przed upływem zimy. Widywałem to już gdzie indziej, w podobnych miejscach. Najpierw napływają

łotrzykowie i już wkrótce miasto jest przepelnione mężczyznami, którzy nie umieją nic oprócz zabijania i złodziejstwa. Prawo ich tu nie niepokoi, ale ceny idą w górę i wkrótce wszyscy mają puste kieszenie. Wtedy zaczynają okradać się nawzajem i walczą każdy

przeciw każdemu. Co bardziej zdesperowani zaczną napadać na okolicznych chłopów, którzy uciekną i zaczniemy głodować, a wciąż, może nie być dokąd pójść.

Achilea pokiwała z powagą głową.

— Może też być gorzej — mówił dalej Conan. — Gdy miasto będzie o krok od zamieszek,

któremuś z sąsiednich królów może przyjść do głowy otoczyć je i capnąć całą hałastrę. Jeśli pomoże mu w tym inny król, to mogą spodziewać się spokoju od rozbojów na wiele lat. Nie udałoby nam się przetrwać oblężenia przez prawdziwą armię. Mury są niskie i w opłakanym stanie, niewielu z tych bandytów ma ducha do prawdziwej walki, a o zaopatrzeniu nie będzie co marzyć. — Pociągnął duży łyk i zapatrzył się w migoczące płomienie. — Nie będę

spokojnie czekał, aż tak się stanie. Zostanę tu kilka dni, w każdym razie nie dłużej niż miesiąc. Jeśli w tym czasie nie pojawią się korzystniejsze perspektywy, przeniosę się w lepsze miejsce, nawet jeśli będę musiał pokonać nieprzyjazne krainy, by tam dotrzeć.

— Zawsze słyszałam, że wy, Cymmerianie, jesteście czarnowidzami i teraz znajduję

potwierdzenie. Jednak zdaje mi się, że masz rację, to nie jest dobre miejsce na dłuższy pobyt.

Może coś lepszego pojawi się niedługo na horyzoncie, do tego czasu cieszymy się tym, co jest.

Conan pokiwał głową, ale swoje prawdziwe myśli zachował dla siebie: nic opuściłby tego miasta bez niej.

ROZDZIAŁ II

Następnego dnia Conan wybrał się z Achileą i jej świtą na polowanie. Pożyczył od

Hyrkańczyków łuk obiecując im w zamian udział w łupach, jeśli uda mu się coś upolować. Po kilku próbnych strzałach do słomianego celu z zadowoleniem stwierdził, że nie stracił

wyczucia i poszedł do stajni, gdzie Achilea i jej towarzysze oporządzali konie.

— Teraz, Cymmerianinie, przekonamy się, czy twoja umiejętność strzelania z łuku

dorównuje sprawności, z jaką posługujesz się mieczem — powiedziała Achilea gładząc czule bok konia.

— Władam każdą bronią jednakowo dobrze — oznajmił Conan z szerokim uśmiechem.

— Z czego się śmiejesz? — spytała.

— Arpad zostawił ci pamiątkę — odpowiedział dotykając jej twarzy. Wielki czarno-

niebieski siniec rozciągał się od szczęki do kości policzkowej z prawej strony, gdzie dosięgnął ją Arpadowy miecz. Dworki Achilei zachichotały na taką poufałość, ale ich

królowa jedynie uśmiechnęła się smutno.

— Bywałam już bardziej ranna i nie zamieniłabym się z nim na ranę, którą ja mu zadałam.

Na równinach najwygodniej było polować konno, ale nierówny teren okolicznych wzgórz

czynił ten sposób niepraktycznym. Dla Cymmerianina pokonywanie stromych i kamienistych zboczy nie stanowiło problemu, ponieważ całą młodość spędził w podobnych okolicach w swoich rodzinnych stronach. Był mile zaskoczony widząc, że Achilea i jej świta radzą sobie zupełnie dobrze. Payna, Lombi i Ekun sadyły przez pofałdowane pola przeskakując z jednej nierówności na drugą. Biegły skulone, by osiągnąć większą prędkość, i w ten sposób były bardziej niewidoczne. Głowy miały wyciągnięte do przodu, a zmysły w stanie najwyższej gotowości na najmniejszą oznakę zbliżającej się ofiary lub wroga.

Ich królowa była równie szybka i niestrudzona. Rozkoszowała się rolą łowcy. Najmniejszy grymas nie wykrzywił jej twarzy, gdy bosymi stopami natrafiła na kamienie. Krasnolud Jeyba musiał wkładać więcej wysiłku, by dotrzymać kroku swoim długonogim

towarzyszkom, ale ten mały człowieczek zdawał się być z żelaza. Biegł dzielnie i nie narzekał.

Na polowaniu upłynął im cały ranek, ale bez rezultatów. Około południa przystanęli na odpoczynek przy strumieniu, by ugasić pragnienie zimną wodą. Trzy kobiety i karzeł na czworaka chleptali prosto ze strumienia jak zwierzęta, ale Achilea nabierała wodę w srebrny kubek. Conan usiadł naprzeciwko i obserwował ją z nieskrywanym podziwem.

— Zdziwiasz mnie — przyznał. — Zawsze słyszałem, że twój lud to jeźdźcy, jak

Hyrkańczycy, dla których siodło jest jak dom. Każdy z tych nomadów uważa chodzenie

pieszo za torturę. Jednak ty i twoi towarzysze poruszacie się, jakby wasze nogi zakończone były racicami górskich kozic. Jak to się dzieje?

— Hyrkańczycy! — parsknęła Achilea. — To lud kochający wygody. Brak koni czyni ich kalekami.

Conan słyszał już wiele określeń na Hyrkańczyków, ale nie słyszał jeszcze, by przypisywano im miłość do wygod.

— Mój lud nie jest podobny do nich — mówiła dalej. — My nie trzymamy bydła, by żywić się ich mięsem i mlekiem. My polujemy, a w naszej krainie jest wiele zwierząt, których nie da się schwytać siedząc na koniu. Kochamy konie, ale one są śmiertelne, a my nie możemy być bezradni, gdy przyjdzie nam iść pieszo. — Jej oczy były wpatrzone w horyzont na północnym wschodzie tak, jakby przemierzała nimi ogromne odległości w czasie i przestrzeni. —

Każdego roku wszystkie dziewczęta, które skończą piętnaście lat, zabierane są na północne wzgórza. To ogromny, nie zamieszkały obszar pokryty dzikimi trawami, gęstymi krzakami i kamieniami. Zwierzyny jest tam dostatek, ale jest też i wielu polujących. Tam zostają porzuceni. Mają tylko nóż i procę. Rok później zabiera się tych, którzy przeżyli, i zostawia następną grupę. Nie, nam konie nie są potrzebne, by żyć.

— Jak wielu udaje się przeżyć? — spytał.

— Zazwyczaj około połowie. Czasami jednak mniej. — Takim samym tonem mogłaby mówić o pogodzie.

— Jesteście zahartowanym ludem — zauważył.

— Wszyscy, którzy nie są, stają się ofiarami.

Cymmerianin nigdy nie dopuszczał myśli, że istnieje plemię bardziej odporne i wojownicze niż jego własne, ale ten naród kobiet musiał być niewiele słabszy.

— A ty? — spytał Jeybę, który kucał przy strumieniu, wycierając usta wierzchem dłoni.

Krasnolud uśmiechnął się.

— Pochodzę z Pogranicznych Królestw — zaczął. — Jako dziecko zostałem niewolnikiem Hyperborearlczyków i zapędzono mnie do pracy w kamieniołomach dając mi młot i klin.

Praca nie była przyjemna, ale dzięki niej stałem się silny. — Zacisnął podniesioną pięść i na jego krępych ramieniu ukazały się napięte mięśnie. — Pewnego dnia rozłupałem głowę

nadzorcy i stu z nas udało się uciec. Przez trzy lata prowadziliśmy żywot rozbójników grabiąc wiejskie posiadłości dla Hyperboreańskich baronów, ale z roku na rok było nas coraz mniej.

— Westchnął na to wspomnienie. — Piękne to było życie, ale musiało się skończyć tak, jak się skończyło. Zostałem schwytany wraz z moimi przyjaciółmi i odstawiony do najbliższego miasta na egzekucję. Zaprowadzono nas na rynek wśród rozradowanej gawiedzi. Jednego po drugim zaciągano na środek i przywiązywano za kostki i nadgarstki do czterech wołów, które potem goniono w cztery strony świata i rozrywały ludzi na części. Wszyscy wiwatowali podnieceni tak wspaniałym widowiskiem.

Potem przyszła moja kolej. Rozciągnęli mnie na ziemi we krwi moich towarzyszy i

przywiązali woły. Ale choć bardzo je chłostali nie chcieli ruszyć. Więc spróbowali

przywiązać po dwa do każdej nogi i ręki i chcieli dalej chłostać. Właśnie wtedy moja królowa i jej poddane uderzyły na miasto. Mieszczanie uciekli w panice, a ja zostałem ze swoimi ośmioma wołami wśród smutnych szczątków moich przyjaciół.

— Woły zjedliśmy — wyjaśniła Achilea. Uśmiechnęła się i czule przesunęła palcami po

gęstej czuprynie karła. — Moje kobiety były o krok od zrobienia tego samego z nim, ale je powstrzymałam. Pomyślałam, że ktoś tak silny, by oprzeć się czterem wołom, może być

zabawnym kompanem.

— Litość była zawsze twoją słabością, pani — powiedziała Payna i było to pierwsze zdanie, jakie padło z jej ust w obecności Conana.

— Dość! — warknęła Achilea.

— Wybacz, pani! — kobieta rzuciła się na kolana i przycisnęła twarz do bosej stopy swojej królowej.

— Wstań — powiedziała Achilea gładząc ją ręką po głowie i plecach, jak oswojonego kota.

— Masz rację strofując mnie raz na jakiś czas, ale męskie życie ocaliłam tylko dwa razy. Nie powinnaś robić mi z tego powodu wyrzutów.

— Czy twój lud rzeczywiście zabija wszystkich mężczyzn, którzy trafią między was? — spytał Conan.

— Tak — odparła rzeczowo. — A jeśli już mowa o zabijaniu samców — wskazała palcem

na zbocze za strumieniem — to wydaje mi się, że widzę rogi wspaniałego jelenia za tymi krzakami. Chodźmy tam.

Podchodzenie jelenia zabrało im całe popołudnie. Zwierzę było bardzo ostrożne i płochliwe.

Gdy słońce zbliżało się ku zachodowi, jelen ukazał się na grani w całej swej okazałości nie więcej niż o dwieście kroków, jakby chciał z nich zakpić.

— Jest zbyt daleko — powiedziała Achilea. — A poza tym zaraz będzie ciemno. Możemy

wracać do Leng. Pójdziemy spać z pustymi żołądkami i przyjdziemy tu jutro z rana. Przez noc nie odejdzie daleko.

— Zbyt łatwo się poddajesz — powiedział Conan przykładając strzałę do cięciwy.

— Nikt nigdy dotąd nie robił mi takich zarzutów — powiedziała rozbawiona. — Zobaczmy, co zdasz.

Cymmerianin uniósł lewą rękę podnosząc łuk do miejsca, gdzie grot strzały osiągnął punkt pomiędzy linią horyzontu i niebem nad ich głowami. Naciągał cięciwę, aż kciuk jego ręki znalazł się przy uchu, a szkarłatne pióra lotki muskały kącik jego ust. Wtedy wypuścił strzałę.

Najpierw brzęknęła cięciwa, a po niej nastąpił cichnący szept strzały. Przez jakiś czas wznosiła się, stała coraz mniejsza, by osiągnąć swój najwyższy punkt, aż w końcu zniknęła z pola widzenia. W kilka sekund później jelen wspiął się na zadnie nogi, kilka razy wierzgnął, aż w końcu upadł.

— Nie kłamałeś — rzekła Achilea — rzeczywiście wiesz, jak obchodzić się z łukiem.

Dworki Achilei z wprawą godną podziwu wypatroszyły zwierzę, odsączyły krew i ściągnęły skórę. Wszystkie trzy i karzeł zjadły wątrobę na surowo popijając świeżą krwią. Nawet tak oporzędzony jelen stanowił ciężki ładunek i Conan na zmianę z karłem nieśli go z dużym wysiłkiem na ramionach całą powrotną drogę.

Krasnolud zaniósł zdobycz pod „Czerwonego Orła”, a Achilea i dwie kobiety poszły do stajni zająć się końmi. Conan poszedł z nimi. Był głodny i spragniony, ale cały czas czuł

potrzebę przebywania w pobliżu Achilei.

— Nowi przybysze — powiedziała wskazując nie znane jej zwierzęta w zagrodzie. —

Ciekawe, kto przyjechał na tych dziwnych wierzchowcach.

Stworzeniami, o których mówiła, były dwa niezwykle wysokie wielbłądy jasnej maści. Były dwugarbne i miały gęstą sierść, w przeciwieństwie do krótkowłosych, jednogarbnych

wielbłądów ludów z południa.

— To wspaniałe zwierzęta — powiedział Conan zmywając przy studni krew jelenia ze swoich ramion — jeśli w ogóle lubisz wielbłądy.

— Nie lubię — odparła — ale przyznaję, że są użyteczne. I smaczne.

Weszli do gospody, by napić się piwa. Indulio nie szczędził im komplementów na temat dorodnego jelenia, którego upolowali. Nappełnił po brzegi srebrny róg Achilei i kufel Conana.

Cymmerianin zdmuchnął pianę i pociągnął łyk.

— Kto przyjechał na tych białych wielbłądach? — spytał stawiając naczynie na barze.

— Ci dwaj — odrzekł Indulio wskazując głową w kierunku ognia. Siedziały tam grzejąc się dwie postacie w opończach. Ich twarze ukryte były pod szerokimi kapturami. Przed nimi stał

krasnolud, wymachiwał rękami i wykrzykiwał coś głośno.

— Jeyba jest zły, że zajęli moje miejsce — powiedziała Achilea. Podeszła do kominka. —

Uspokój się, Jeyba. Nie odmówię strudzonym wędrowcom miejsca przy ogniu w tak zimną noc. Pokój wam, wędrowcy. Skąd prowadzi wasza droga?

Conana bawiło obserwowanie Achilei zachowującej się jak wspaniałomyślna dama, a nie

jak szorstka królowa rozbójnik. Ostatecznie uznał, że to z powodu ubrań nowo przybyłych, które były równie wspaniałe jak ich wielbłądy. Utkane były z wełny wielbłądziej. Tkanina była ciepła i jednocześnie lekka jak mgła, a także niezwykle kosztowna. Na słowa Achilei ręce podróżnych powędrowały do kapturów.

— Dzięki ci, pani — rzekł jeden z nich, który miał brodę. — Twój trefniś był na nas

wściekły, ale myśleliśmy, że przesadza przedstawiając twoją piękność i pozycję. Teraz widzimy, że mówi samą prawdę. Proszę, wybaczyć, że zajęliśmy twoje miejsce. — Podnieśli się, ale Achilea gestem pokazała im, by zostali.

— Zostańcie i ogrzejcie się. — Skrzyżowała nogi i usiadła przy palenisku i nawet w tym ruchu miała coś królewskiego. — Ale Jeyba nie jest błaznem, a maczuga, którą nosi nie jest dla ozdoby.

Conan obserwował przybyszów z zainteresowaniem. Byli bardzo do siebie podobni:

zadbani, o ciemnej karnacji, ciemnych włosach i czarnych oczach. Musieli być rodzeństwem, a może wręcz bliźniakami. Byli prawie identyczni, choć jedna z postaci była mężczyzną, druga — kobietą. Cały ich ubiór przedstawiał się imponująco — opończe, pierścienie,

bransolety i naszyjniki wyglądały na bardzo kosztowne. Conan zastanawiał się, jak udało im się

zachować tak czysty wygląd po podróży przez niegościnne tereny. Być może, przybyli na tyle wcześnie tego dnia, że udało im się wziąć gdzieś kąpiel i zmienić ubrania.

— Jakim sposobem znaleźliście się w Leng? — zapytał Conan arystokratycznie

wyglądającą parę. — Trafiają tu wszystkie najpaskudniejsze rzezimieszki. Spodziewałbym się, że ktoś taki, jak wy poszuka bardziej szlachetnego schronienia, choć nie twierdzą, że tu w ogóle można takie znaleźć.

— Wybaczcie Conanowi jego niewyparzony język — rzekła Achilea. — Cymmerianie to lud nieokrzesany.

Conana zirytowała ta protekcyjna uwaga, ale zdecydował puścić ją mimo uszu.

— Cymmerianin! — wykrzyknęła kobieta. Jej głos brzmiał uwodzicielsko. — Najpierw

wygnana królowa Amazonek, a teraz Cymmerianin wojownik! Ta oaza na rozstaju dróg zdaje się miejscem spotkań legendarnych plemion.

Achilea wyglądała na zdziwioną.

— Jak brzmiało to słowo? Amazonki?

— Tak nasz naród nazywa twój lud — rzekł brodaty mężczyzna. — Aczkolwiek do tej chwili uważałem Amazonki za mit.

— A co do waszego pytania — powiedziała kobieta — to gdy przyjechaliśmy do Leng zasięgnęliśmy języka, gdzie można znaleźć najdzielniejszych mężczyzn w mieście. Nie spodziewaliśmy się, że najodważniejsza okaże się kobieta.

— Jeśli szukaliście gniazda złodziei, to je znaleźliście — rzekł Conan. — Mogę się tylko dziwić, że jeszcze jesteście cali i macie swój dobytek. Gospodarz utrzymuje spokój w środku zajazdu, ale na zewnątrz jesteście łatwą zdobyczą.

— . Nie jesteśmy zupełnie bezbronni, zapewniam cię — powiedział mężczyzna. Conan

jednak nie mógł dostrzec przy nich żadnej broni, z wyjątkiem dwóch identycznych sztyletów o inkrustowanych klejnotami rękojeściach zatkniętych za szerokie pasy.

— Dlaczego szukacie odważnych? — spytała Achilea. Lombi zabrała się do masowania

ramion swojej królowej nie spuszczać podejrzliwego spojrzenia z nowo przybyłych. Achilea lekko obracała głowę rozkoszując się zmysłowo masażem.

— Pozwólcie, że się przedstawimy — powiedziała kobieta — Monandas i Yolanthé —

gestem wskazała najpierw mężczyznę, potem siebie — z Ikarii, w rabiriańskich górach

Zingary.

— Zbłądziliście kawał drogi od domu — zauważył Conan. Podróżni ani nie wyglądali, ani nie ubierali się jak Zingaranie, ale to nie musiało niczego oznaczać. Wiele odciętych od świata miejsc często stawało się przystanią dla ludzi różniących się wyglądem od swoich sąsiadów prawie zza miedzy, a podróżni zazwyczaj na drogę ubierają się w co tylko się da.

— Zingara jest daleko stąd, jeśli to miałeś na myśli — rzekł Monandas. — Ale to i tak tylko niewielki odcinek drogi, którą przeszliśmy.

— Nigdzie w okolicy — powiedział Conan — nie hoduje się takich wielbłądów, jak wasze.

Wnoszę z tego, że pochodzicie z ziem położonych daleko na wschód.

— Tak — rzekła Yolanthé. — Przez jakiś czas mieszkaliśmy w Samarze, w Turanie.

Przedtem spędziliśmy trochę czasu w Vendhji.

— Jesteście tacy młodzi i przemierzyliście te wszystkie rozległe krainy tylko we dwoje? —

spytała Achilea. Oboje nie wyglądali na więcej niż dwadzieścia lat.

— Jesteśmy niestrudzeni — powiedział Monandas. — Potrzebujemy wciąż nowych rzeczy,

nowych miejsc, nowych ludzi. Nigdzie długo nie zagrzewamy miejsca.

— Dla przyjemności? — spytała Achilea. — Czy może szukacie czegoś?

Uśmiechnęli się jednocześnie w ten sam sposób.

— A teraz musimy udać się na spoczynek — rzekł Monandas i wstał z ukłonem. —

Zaszczytem było dla nas zawarcie znajomości z tobą, pani — odwrócili się też do Conana i skłonili w jego kierunku, ale już ani w połowie tak głęboko. — Dobrej nocy, wojowniku. Być może jutro, jeśli zechcesz, będziemy kontynuować naszą rozmowę.

— Będę jej oczekiwał z niecierpliwością — odrzekł Conan.

Odwrócili się i wyszli. Gdy przechodzili przez izbę, wszyscy cichli nie odrywając oczu od kufli i kubków z kośćmi do gry. Teraz Conan zrozumiał, dlaczego w podróży udawało im się uniknąć kłopotów. Było w tej parze coś, co sprawiało, że nawet ci mężczyźni tu stawali się niespokojni. Mimo kosztownego ubioru nikt nie odważyłby się ich tknąć. Wydawało się to dziwne, bo para podróżnych nie sprawiała groźnego wrażenia. Conan jednak wiedział, że są różne sposoby obrony i

Monandas najwyraźniej nie kłamał mówiąc, że nie są bezbronni.

— Co sądzisz o tych dwojgu? — spytał, gdy wyszli, a w tawernie zapanował znowu gwar.

— Doprawdy są dziwni — odrzekła Achilea. — Tak podobni, że muszą być bliźniakami. I

sposób w jaki mówią. Najpierw jedno, potem drugie, zupełnie jakbyś rozmawiał z jedną osobą o dwóch głosach.

— Nie podobają mi się — powiedział Conan. — Coś z nimi jest nie tak.

— Co masz na myśli? — spytała Achilea — bo odniosłam podobne wrażenie, ale chcę wiedzieć, czy dostrzegłeś to samo, co ja.

— Przebyli ogromne, dzikie przestrzenie, a wyglądają czysto i świeżo, jak gdyby nigdy nie opuszczali domu. Tak daleka podróż powinna zostawić ślady nawet na młodych, jednak na nich nie widać skutków upału, wiatru, wysiłku ani niedostatku. Wyglądają jak dzieci

szlachetnie urodzonych rodziców albo bogatych mieszczan, które nigdy nie zaznały trudów i zawsze otoczone były służbą.

Achilea kiwnęła głową.

— To samo sobie pomyślałem. Jest jeszcze coś: ich twarze wyglądają młodo, a na rękach nie ma zmarszczek. Jednak w ich oczach jest wielkie doświadczenie i wiek. Nie wiem, jak to określić. Są czyste i osadzone w gładkiej skórze, a jednak są stare. — Conan kiwnął głową potwierdzająco.

— Tak, rozumiem, co masz na myśli. W końcu nie powiedzieli, dlaczego szukają odważnych.

— Mam przecucie, że dowiemy się tego już wkrótce. Idę z tobą o zakład, że już niedługo uczynią nam propozycję.

— Nie podejmuję takich zakładów — odparł Conan. — To oczywiste, że się nami

interesują. Nie rozmawiali z nikim innym, chyba że przed naszym przyjściem. — Kiwnął na Indulia, by się do nich przyłączył. — Czy tych dwoje ludzi rozmawiało z kimś przed naszym przyjściem?

Indulio pokręcił głową.

— Nie. Przyjechali może godzinę przed waszym powrotem. Zatrzaszczyli się o swoje

wierzchowce, a potem usiedli przy ogniu, a ci, którzy tam wcześniej siedzieli, ustąpili im nie protestując. Wygadana i wypieszczona para, nie spodziewałbym się takich u siebie, jednak jest w nich coś, co każe innym schodzić im z drogi.

— Czy mówili, że kogoś szukają? — spytała Achilea.

— Nikogo szczególnie — powiedział Indulio. — Jedno z nich, nie jestem pewien, które, spytało tylko „Czy to tu można znaleźć najodważniejszych mężów?” Powiedziałem im, że moi goście to zbieranina najtwardszych łotrów ze wszystkich sąsiednich królestw. Byli z tego zadowoleni. Potem wzięli kubki z winem i siedli przy ogniu. O czym z wami rozmawiali? —

W jego oczach zabłysła ciekawość.

— Głównie o podróżach — rzekł Conan. — O tym, że ostatnio byli w Turanie, a przedtem w Yendhji, ale nam trudno uwierzyć, że dwoje tak młodych ludzi odbyło takie dalekie podróże.

— Nie wydaje mi się, żeby kłamali — powiedział Indulio. Sięgnął do sakiewki i wyjął małą, kwadratową monetę z pięknym wizerunkiem słonia. — Tym zapłacili za kwaterę, jedzenie i opiekę nad wielbłędami. To moneta z Vendhji. W naszych stronach rzadko się trafiają, więc nie wrzuciłem ich do skrzyni.

— Dziwna z nich para — rzekł Conan. — Napawają mnie niepokojem.

— Płacą dobrze — odparł Indulio. — A to wszystko, co mnie obchodzi.

ROZDZIAŁ III

Następnego dnia nie polowali. Jeleń dostarczył im wystarczająco dużo pożywienia, nawet po odliczeniu udziału Hyrkańczyków, a wspaniała skóra i poroże zapewniły im u Indulia dodatkowe porcje piwa. Achilea i jej towarzysze zajęli się ćwiczeniami na koniach, podczas gdy Conan usiadł na podwórcu stajni i uporządkował swój ekwipunek. Mury gospody

zapewniały ochronę przed tnącym wiatrem, a słońce grzało od góry.

Najpierw Conan wziął swój miecz. Pochwa zrobiona była z lekkiego drzewa obleczonego

natłuszczoną skórą, wykończona pasami delikatnie wyprawionej jagnięcej skóry. Ostrze było proste, podwójne, z wyżłobionymi po obu stronach kanalikami na krew. Garda i trójkątna ciężka gałka zrobione były z brązu bez żadnych ornamentów. Drewniana rękojeść owinięta była także drutem z brązu. Była to prawdziwa broń wojownika, przeznaczona do walki i do niczego więcej. Conan oglądał z uwagą każdy centymetr sprawdzając, czy jest należycie ostry i podnosząc go do słońca, by wykryć najmniejszy ślad rdzy. Obracał w swych potężnych dłoniach gardę i gałkę chcąc sprawdzić, czy nic się nie oblużowało.

Zadowolony z oględzin, wyciągnął swój sztylet. Szerokie ostrze miało jakieś piętnaście centymetrów i było jednostronne. Druga krawędź zaopatrzona była w gruby kolec,

odpowiednio masywny, by dać odpór nawet najcięższym ciosom. I ostrze, i szpikulec naostrzone były tak, żeby można było nimi przebić kolczugę. Rękojeść zrobiona była z rogu jelenia, a gałka z brązu. Ponieważ nóż przydawał się wiele razy w ciągu dnia, Conan pieścił ostrze osełką, aż wydawało się pewne, że mógłby nim podzielić włos na dwoje.

Gdy broń znalazła się z powrotem w pochwie, Conan zasiadł obserwując Achileę i jej poddane na koniach, z którymi były niezwykle zespolone. Zamiast siodeł używały tylko lekkich mat podwiązanych tkanymi popręgami. Panowały nad zwierzętami za pomocą plecionych uździenic bez żadnego elementu ze stali. Nie używały też strzemion obejmując po prostu końskie boki nogami.

Właściwie Conan był już znudzony pobytem w Leng. Myśl o tym, że musiałby spędzić tu całą zimę, była nie do zniesienia. Gdyby miał ze sobą żołąd za zwycięską wojnę, mógłby trawić czas na hulankach i hazardzie, ale nie miał nic. Jeżeli jedynym sposobem na zapewnienie sobie pożywienia miało być polowanie, wolał już żyć w jaskini. Tylko jedno trzymało go tutaj. Achilea zsiadła z konia, a on podszedł do niej.

— Namyśliłem się, nie chcę tu dłużej zostawać — rzekł. — Marzę, by znaleźć się gdzie indziej, gdzieś, gdzie jest coś więcej niż tylko zbóje grający w kości.

Achilea uśmiechnęła się, a blizna na policzku stała się bardziej widoczna.

— Człowiek czynu, co? Tak, wiem, co czujesz. Ja również ruszyłabym stąd, ale dokąd?

Conan wyciągnął rękę przed siebie, wskazując palcem południe.

— Tam. Do ciepłych krain. I najlepiej byłoby wyruszyć niedługo, zanim śnieg zasypie przełęcze.

— I jak daleko byś zaszedł? — spytała. — Tam jest Zamora i Korynthia. W każdym

miejscu, gdzie droga przekracza granicę, są strażę, a pomiędzy nimi konne patrole. Jak długo udałoby ci się uniknąć schwywania?

— Nie napadałbym na nikogo — mruknął, a Achilea roześmiała się szczerze.

— A to co znaczy? — Przyjrzała mu się równie uważnie, jak on kiedyś jej. — Jesteś łotrem w każdym calu, a cali masz niemało. Wtrąciliby cię do lochu już za sam wygląd. Nikt nie weźmie cię za podróznego kupca albo wędrownego świętego mędrca. W niepewnych czasach obieżyświat ma wolną drogę, ale podczas pokoju każdy, kto nie ma pana albo nie jest na niczym żołdzie, jest

podejrzany.

— Masz rację — przyznał. — Ale tkwienie w tym rumowisku całe miesiące to dla mnie nie do wytrzymania.

— Bądź cierpliwy — poradziła. — Mam przeczucie, że niedługo coś się stanie.

Tego wieczora, gdy siedzieli przy ogniu maczając kawałki chleba w gęstym sosie,

tajemnicze rodzeństwo pojawiło się znowu. Nie widziano ich cały dzień, a gdy weszli do izby wyglądali dokładnie tak samo, jak poprzedniego dnia.

— Podzielimy naszą wieczerzę — Achilea zaprosiła ich gestem, by usiedli.

Uklonili się.

— Dzięki, ale posililiśmy się już w naszych komnatach — powiedziała Yolante. — Ale

chętnie przyłączymy się, jeśli pozwolicie. — Zasiedli na ławie, a Indulio przyniósł im kubki z grzonym winem. Ujęli kubki grzejąc dłonie ich ciepłem. Conan usiadł przy palenisku.

— Wspomnieliście — rzekł odstawiając puste naczynie — że szukacie mężczyzn

odznaczających się nieprzeciętną odwagą. Do czego wam tacy potrzebni?

— Moja siostra i ja — rzekł Monandas po raz pierwszy zaznaczając ich pokrewieństwo —

spędziliśmy całe życie na poszukiwaniu pewnego miejsca, zupełnie nie wiedząc, gdzie się ono znajduje. Teraz już wiemy, ale podróż jest daleka, pełna trudów i niebezpieczeństw.

— Jeśli rzeczywiście oboje tak wiele podróżowaliście — rzekł Conan — to nieobce muszą być wam niebezpieczeństwa.

— W rzeczy samej — powiedziała Yolante z rozbawieniem w oczach. — Umiemy unikać

przemocy, w tym wypadku jednak trzeba działać inaczej. Jeśli chcemy osiągnąć nasz cel, nie możemy uniknąć starcia. Nie możemy też wziąć ze sobą wielu ludzi, ale ci, którzy z nami wyruszą, muszą odznaczać się nieprzeciętnymi cechami. — Nastąpiła chwila milczenia, aż przemówiła Achilea.

— Rozumiem, że chcecie nam złożyć propozycję. Pozwólcie nam dowiedzieć się

szczegółów.

— Czy słyszeliście o zaginionym mieście Janagar o Opalowych Bramach? — spytał

Monandas.

— Ta nazwa nic mi nie mówi — powiedziała Achilea.

— Ani ja o niej nie słyszałem — dodał Conan.

— Przez wiele lat — mówiła dalej Yolanche — istniało dla nas tylko jako nazwa w

pewnych bardzo starych pismach. Powiedziane tam jest, że Janagar istniało już, zanim ocean pochłonął Atlantyde, i że istniało przez pięć tysiącleci rozkwitając wspaniale z każdym mijającym stuleciem.

— Ale wtedy — Monandas przejął opowieść — u szczytu swojej chwały Janagar został

porzucony przez swoich mieszkańców. Podczas jednej tajemniczej nocy uciekli wszyscy i nikt już nie powrócił. Historie, które opowiadali, sprawiały, że wszyscy trzymali się z dala, omijając nawet okolice. A ziemia, niegdyś żyzna i uprawiana, stała się jałowym pustkowiem.

Z czasem zapomniano nawet, gdzie dokładnie to miasto znajdowało się.

— Słyszałem wiele podobnych opowieści — rzekł Conan — Podczas swoich podróży

mijałem wiele ruin miast niegdyś potężnych. Co jest szczególnego akurat w tamtym miejscu?

— Janagar był niewyobrażalnie bogaty — rzekła Yolanche, a w jej oczach pojawił się błysk.

— Ruiny, o których ja mówię — odparł Conan — kiedyś pewnie także pełne były bogactw.

Teraz jednak są pełne kamiennych rumowisk i jak przeklęte miejsce służą tylko za miejsca schadzek sowom i lisom.

— Większość miast chyli się z czasem ku upadkowi — powiedział Monandas. — Gdy

słabną, stają się łatwym łupem dla wrogów. Ludzie opuszczają swoje siedziby dobrowolnie, zabierają ze sobą dobytek. Jednakże wszystkie opowieści o Janagarze zgadzają się w jednym: gdy mieszkańcy miasta uciekali, nie zabrali ze sobą nic albo bardzo niewiele. Gdy raz porzucili to miejsce, żaden z nich już nigdy tam nie powrócił i ludzie utracili do niego dostęp na wiele stuleci.

— Więc uważacie, że Janagar wciąż stoi z całym swoim nietkniętym bogactwem? —

spytała Achilea wypijając solidny łyk piwa ze swojego rogu.

— Tak — odparła Yolanche. — I teraz wiemy już, gdzie jest. A co wy wiecie o ziemiach na południe od Khauranu?

— Nigdy nie byłam dalej na południe niż środkowa Zamora — przyznała Achilea.

— Ja byłem dużo dalej na południe — rzekł Conan. — O jakie krainy wam chodzi?

Odpowiedział Monandas.

— Co wiesz o kraju leżącym w połowie drogi pomiędzy Khoradżą i miastami Zamboula i

Kutchernes, na północ od Styxu?

Conan zmarszczył czoło.

— Pustynia tak dzika i nieprzystępna, jak żadna inna. Na jej obrzeżach grasują zbójnicze plemiona, a jej głębię przejść mogą tylko karawany bardzo dobrze zaopatrzone w wodę i żywność.

— I tam właśnie znajduje się zaginiony Janagar — rzekła Yolante. — Tam właśnie zmierzamy. Czy chcecie nam towarzyszyć?

— Wystarczająco daleko jest już do Khauranu — rzekł Conan. — Tam dopiero zaczynają się naprawdę dzikie terytoria. Dlaczego nie zbierzecie drużyny tam, skoro nieobce wam jest podróżowanie we dwoje?

— Podczas poszukiwań, które prowadziliśmy w księgach zawierających wskazówki, gdzie znajduje się miasto — wyjaśnił Monandas — odkryliśmy, że na tym tropie są także inni.

Mogli się o nas dowiedzieć, tak jak my o nich. Nasi rywale mogą zechcieć napaść na nas po drodze. Konieczne jest więc, byśmy umieli obronić się w dalszej podróży stąd.

— Kim oni są? — spytał Conan. — I skąd pewność, że mogą być niebezpieczni?

— Nie marny pojęcia, kim są — odrzekła Yolante — ale lepiej nie podejmować ryzyka.

— Jaka zatem jest wasza propozycja? — zapytał Conan.

— Udział w bogactwach po odnalezieniu miasta. Żywność dla ludzi i zwierząt w czasie trwania wyprawy — powiedział Monandas.

— To wszystko wygląda niepewnie — mruknął Cymmerianin.

Yolante uśmiechnęła się.

— A czy zadowala cię sytuacja tutaj?

— Na Wieczne Nieba, to prawda! — zaklęła Achilea. — Tam przynajmniej będzie ciepło.

Dobrze, pojedę z wami.

Conan nie ufał tym dwojgu i nie spodobały mu się ich plany, ale nie chciał stracić z oczu Achilei.

— Nie mam konia — rzekł.

— Damy ci wierzchowca — odparł Monandas. — Czy są tu jeszcze jacyś odpowiedni ludzie?

Raz podjąwszy decyzję Conan nie myślał więcej o swoich wątpliwościach. Wskazał głową stół, przy którym siedział Kye-Dee i jego pięciu kompanów.

— Ci Hyrkańczycy wydają się zdadni. To urodzeni jeźdźcy i wspaniali łucznicy. Reszta tutaj to szumowiny.

— Nie znam ich — rzekła Achilea — ale zgadzam się, że reszta to szumowiny.

— Oni także będą potrzebować koni — powiedział Conan. — Czy możecie o to zadbać?

— Tak — odrzekła Yolante. — Porozmawiasz z nimi?

— Porozmawiam — odparł Conan.

— Powiedz im, że chodzi o ryzykowną wyprawę po skarby na południe, ale nic więcej — przestrzegł Monandas. — Nie chcemy rozgłosu — dodał, po czym oboje wstali.

— Jutro rano — obwieściła Yolante — kupimy konie i wyruszymy przed południem. —

To rzekłszy opuścili izbę. Conan wziął kubek z winem, który zostawili nie ruszony i opróżnił go.

— No to mamy, co chcieliśmy — rzekł. — Ci dwoje to szaleńcy.

— I co z tego — odparła Achilea. — Czy nie mówiłeś dziś rano, że chcesz ruszyć na południe? Z dwojgiem dobrze urodzonych i obytych ludzi nie będziemy przestępcami, ale najemnikami na żołdzie, zgodzonymi do uczciwej pracy. W najgorszym razie przejdziemy z nimi Zamorę i dotrzemy do krain, gdzie można będzie popuścić sobie cugli.

— Być może — rzekł Conan. Wręczył jej drugi kubek i wstał, by porozmawiać z

Hyrkańczykami.

Następnego dnia wyjechali z Leng, Cymmerianin i Hyrkańczycy na nowo kupionych koniach.

Gdy zbliżali się do granic Zamory, Conan wypuścił się przodem. Granica z Brythunią

biegła graniami najbardziej na północ wysuniętych pasm gór Karpaszu, ale tutaj jedynym znakiem był kamień ustawiony przed wiekami przez któregoś z zamorańskich królów, na

którym wyryto napis pochwalny i obwieszczenie, że wszystkie ziemie na południe należą do Zamory. Na tym dzikim płaskowyżu nikt nie troszczył się o ustawianie straży.

Prawdziwa granica znajdowała się daleko na południe, gdzie droga schodziła z przełęczy do żyznych nizin. Do tego właśnie miejsca zbliżał się Cymmerianin, gdy wschodziło słońce piątego dnia ich podróży. Pół mili za nim jechała Achilea i jej świta, dalej bliźniaki, a na końcu Hyrkańczycy jako tylna straż. Dosiadłszy ponownie koni ci ludzie stepów byli

szczęśliwi i nie przejmowali się czekającymi ich niebezpieczeństwami, rozkoszując się tylko wolnością.

Zjechawszy ze wzgórz Conan dostrzegł prymitywny fort z niskimi murami, wzniesionymi z wypalanych cegieł. Na pojedynczej krępej wieży cicho łopotały na leniwym wietrze barwy królów Zamory. Conan zdążył zorientować się, że jeszcze go nie dostrzeżono. Gdy tak stał

rozmyślając, usłyszał za sobą nadjeżdżającego konia Achilei.

— Dlaczego się tu zatrzymałeś? — spytała podjeżdżając do niego.

— Próbowałem sobie przypomnieć, czy w tych stronach ktoś chciał mnie wieszać — odparł. — Już dużo czasu minęło od kiedy przejeżdżałem tędy.

Achilea zmarszczyła brwi.

— Ja nigdy nie łupiłam w tych okolicach. Zazwyczaj przekraczałam góry Kezankianu,

daleko na południe i wschód i rabowałam tam wewnątrz kraju. Jednak możliwe, że moje imię i twarz znane są tutaj z opisów.

— Musimy mieć nadzieję, że nasi pracodawcy będą umieli nas przeprowadzić — rzekł

Conan. — Jeśli jednak zostaniemy zaatakowani większą grupą, wycofajmy się w góry i spróbujmy innego przejścia do Korynthii.

— To brzmi rozsądnie — odrzekła. W kilka minut potem nadjechały wielbłądy. Konie

zaczęły rzeć i parskać nie przyzwyczajone do zapachu obcych zwierząt. Monandas i Yolante siedzieli w przypominających namioty lektkach umieszczonych między garbarni i stamtąd patrzyli na rozciągający się wokół widok.

— Granica? — spytał Monandas. — Dobrze, zaczekamy na pozostałych i przejdziemy ją razem. — Doszedł ich słaby odgłos mosiężnej trąbki.

— Zauważyli nas — rzekł Conan. Za chwilę dołączyli Hyrkańczycy. Wszyscy z uwagą

śledzili rozwój wypadków.

— My zjedziemy pierwsi — powiedziała Yolathe. — Wy podążajcie za nami i nie odzywajcie się. My z nimi, co trzeba, załatwimy. Jedźmy. — Wielbłądy ruszyły do przodu, a za nimi reszta.

Gdy zjeżdżali ze zbocza, z bramy fortu wyruszyła na ich spotkanie grupa jeźdźców.

Poranne słońce rzucało promienie na ich błyszczące zbroje i groty włóczni. Jeden strażnik przy siodle zatknięty miał królewski proporzec. Na samym przedzie jechało dwóch oficerów w pancerzach z błyszczącą stali i hełmach przyozdobionych barwnymi pióropuszcami.

Jeźdźcy, gdy zbliżali się do wędrowców, uformowali po bokach szyk blokujący drogę.

Wyciągnęli dłonie na znak, że karawana powinna się zatrzymać.

— Skąd jedziecie i dokąd zmierzacie? — spytał pierwszy oficer, podczas gdy drugi sięgnął do torby przy siodle po przybory do pisania.

— Ja jestem Monandas, a to moja siostra Yolathe. Jesteśmy wędrownymi skolarzami z Zingary i chcemy przejechać przez wasz kraj do ziem na południu.

— Czy macie towary do oclenia? — dopytywał się oficer.

— Nie jesteśmy kupcami — powiedziała Yolathe. — Jak widzicie, nie mamy jucznych zwierząt, z wyjątkiem tych, co niosą nasze prowianty.

— Musimy sprawdzić, czy któryś z waszych towarzyszy nie jest na naszej liście poszukiwanych. Przywołajcie ich.

— Zaczekaj — powiedział drugi oficer i z przymrużonymi oczami wpatrywał się w Conana.

Schował zwój papieru z powrotem do torby, a wyjął inny, mniejszy. — Chyba nie będziemy potrzebować rozkazu aresztowania. Widzisz tego czarnowłosego łotra na gniadym koniu? On chyba jest na liście do natychmiastowej egzekucji. Tak jak ta żółtowłosa dziewczka obok niego.

— Rozwinął mniejszy zwój i przebiegł po nim oczami. Conan szykował się już do ucieczki, gdy Monandas odwrócił się i spojrzął w jego kierunku z wyrazem lekkiego rozbawienia, po czym zwrócił się do oficera.

— Nie widzę nikogo takiego — rzekł.

— Może wschodzące słońce oślepiło was — dodała Yolathe. Dowodzący oficer przeniósł

wzrok z przybyszy na swojego podwładnego.

— Co z tobą Manius? Nie widzę żadnego czarnowłosego ani żadnej kobiety, tylko kilku obszarpanych Hyrkańczyków. Często wynajmuje się takich do ochrony karawan.

Ten drugi zmrużył oczy przyglądając się grupie ze zdumieniem.

— Ależ... przysięgłbym... — odwrócił wzrok i potrząsnął głową.

— Za dużo słońca — powiedział dowódca i wręczył Monandasowi arkusz pergaminu. —

To wasze przepustki. Musicie je oddać wyjeżdżając z Zamory. Jedźcie już. — Koń zatoczył

koło i oficerowie odjechali ze swoimi żołnierzami w stronę fortu. Karawana ruszyła dalej i wkrótce minęła posterunek.

— Jak to zrobiliście? — spytała Achilea.

Monandas uśmiechnął się niewyraźnie.

— Jak już wspominaliśmy, nie jesteśmy zupełnie bezbronni.

— Nie pobrali nawet myta. — Conan nie zdążył jeszcze ochłonąć.

— Rzeczywiście. Czy to nie dowód słabej pamięci? — rzekła Yolante. — Może to wpływ tutejszego powietrza — zaciągnęła zasłony swojej lektyki. Podobnie uczynił Monandas.

Conan podjechał do przodu, jak to miał w zwyczaju, ale tym razem towarzyszyła mu

Achilea.

— Co o tym wszystkim sądzisz? — spytała.

— Nie dziwi mnie to — odparł. — Mówiłem, że mi się nie podobają, a teraz podobają mi się nawet jeszcze mniej. To jacyś magicy, nie lubię takich.

Achilea wzruszyła ramionami.

— Nie każdy, kto zna kilka zaklęć, jest od razu strasznym czarownikiem. Dzięki nim uniknęliśmy dużych kłopotów.

— To prawda. Nie chciałbym uciekać przed tą bandą strażników, chyba że daliby mi duże fory. Ale nie podoba mi się sposób, w jaki Monandas i Yolante to zrobili. Nie wypowiedzieli żadnych magicznych słów, nie użyli żadnego proszku ani eliksiru. Zupełnie jakby ich moc brała się tylko z umysłu.

— Ja też nie widziałam nigdy niczego podobnego — przyznała. — To przypominało

sposób, w jaki kobra obezwładnia wzrokiem swoją ofiarę. Ale mimo to dopóki nie użyją swoich podstępów przeciwko nam, nie dbam o to; mogą sobie czarować Zamorańczyków

wedle woli.

Tego wieczora dotarli do pierwszego zamorańskiego miasteczka, gdzie były rozrzucone

niskie zabudowania i małe świątynki z nieustannie rozbrzmiewającymi gongami. Z ołtarzy poświęconych miejscowym bogom unosił się wonny dym, a na centralnym placu panował

zwykły gwar towarzyszący handlowi. Całość była niewiele większa niż Leng, ale za to o wiele bardziej atrakcyjna.

Tuż za miastem znajdowały się ruiny niegdyś wspaniałej świątyni. Najwyraźniej w

dawniejszych czasach okolica musiała być znacznie bogatsza i bardziej zaludniona, skoro stać było mieszkańców na wzniesienie tak okazałej budowli.

Ściany bez dachu zamykały w swym obrębie dwa do trzech akrów powierzchni. Wieża

świątyni wyrastała na trzydzieści metrów w górę, a jej postrzępione zwieńczenie wskazywało, że kiedyś była znacznie wyższa. Wysokie kanciaste figury bóstw i demonów strzegły czegoś, co dawniej było imponującym wejściem do świątyni. Wraz z zapadającą ciemnością do

gniazd na wieży przyleciały bociany, przedstawiając sobą nader wdzięczny widok.

— Tu rozbijemy obóz — zdecydował Monandas wskazując porośnięte trawą miejsce tuż za

ścianami świątyni, gdzie z ust groteskowej kamiennej rzeźby tryskała woda, wylewając się do długiej rynny.

— Dlaczego nie w mieście? — spytał Conan.

— Wolelibyśmy trzymać się z dala od ludzi, jeśli to tylko możliwe — odrzekła Yolante.

— Tu jest dużo wody i paszy. Zatrzymamy się tu, a potem możesz iść do miasta, jeśli masz ochotę.

Wszyscy zsiadli z wierzchowców, z wyjątkiem dwóch Hyrkańczyków oddelegowanych do

szukania drzewa na opał. Conan, Achilea i jej świta odeszli kawałek dalej, by napić zwierzęta wodą z rynny i uwiązać je na noc. Bujna trawa sięgała im prawie do kolan.

— Ona ma rację co do paszy; jest jej tu w bród — rzekł Conan patrząc na wioskę. —

Zastanawiam się tylko dlaczego. Spójrz tam — wskazał na okalające miasto wzgórza

rozświetlone w wielu miejscach ogniskami. — To pasterze i zaganiacze bydlą pilnują swoich trzód. Dlaczego nie przyszli tutaj, gdzie wody i paszy jest pod dostatkiem? Wydaje się, że tej trawy nikt nie ruszał od lat. — Achilea wzruszyła ramionami.

— Być może, że musieli dać ziemi odpocząć. Co cię obchodzą pastuchy i wieśniacy? To tylko bezwolne ofiary ludzi czynu.

— Nie obchodzą mnie, ale... — zawahał się próbując sformułować swoją myśl — ...to jest jedna z tych rzeczy, które nie podobają mi się w tej wyprawie.

Nagle za nimi rozległ się łopot skrzydeł i Conan odruchowo błyskawicznie odwrócił się wyciągając miecz i rzucając stłumione przekleństwo. Stado nietoperzy poruszyło się ze swoich miejsc w kryptach świątyni. Achilea zaśmiała się.

— Strachliwy jesteś dziś wieczór, Cymmerianinie! To tylko skrzydlate myszy wyleciały na kolację. Ja też bym nie wżgardziła kolacją.

Conan nieco stropiony swoim zachowaniem z brzękiem wepchnął miecz z powrotem do pochwy. Ruszył za Achileą nadal podziwiając jej sprężysty chód, który miał w sobie coś uwodzicielskiego.

Jeden z Hyrkańczyków został, by pilnować zwierząt, a wszyscy wyruszyli do miasteczka, by przerwać monotonię podróży. Yolante i Monandas pozostali w swoich lektykach, nieciekawo miasta i jego atrakcji.

W miasteczku szybko odnaleźli gospodę, która obsługiwała przejeżdżające karawany.

Mimo iż znajdowali się daleko od centrum cywilizacji, jedzenie i picie było tu znacznie lepsze i tańsze niż to, które można było dostać w górach. Miejscowi przyglądali im się ciekawie, ale nie było żadnych nieprzewidzianych wypadków.

Gdy wrócili, poświata księżyca obejmowała postrzępiony wierzchołek wieży porośniętej srebrzystym mchem i winoroślami przypominającymi wytarte draperie. Kamienne bloki

zrujnowanej świątyni odbijały światło stopniowo zanurzając swoje rzeźbione powierzchnie w cień. Lekki wiatr napełniał powietrze szumem traw. Wielbłądy klęczały przy małym

namocie, a za nimi stały konie ze spuszczonej łbami. Bardzo spokojny był to widok, ale Conana nie mogło to przekonać.

— Coś jest nie tak — mruknął do swoich kompanów.

— Tobie zawsze wydaje się, że coś jest nie tak — rzekła Achilea.

— Wszystko jest w porządku — powiedział Kye-Dee chwiejąc się z lekka; tego wieczora

wypił znacznie więcej niż Cymmerianin. — Z taką trawą, bez burz i bez hord ścigających nas żołnierzy, co to wszystko znaczy? — Pozostali Hyrkańczycy skwitowali jego wątpliwości wybuchem śmiechu. Każdy z nich niósł ze sobą bukłak wina i popijał co kilka kroków.

— Nie wiem — wymamrotał Conan. — Ale wkrótce się dowiem.

Rozeszli się w poszukiwaniu miejsc do spania. W tak piękny wieczór wystarczyło owinać się kocem na głębokiej sprężystej trawie.

Cymmerianin jednak nie mógł zaznać spokoju. Gdy odczuwa się tego typu niepokój,

ostatnią rzeczą, jaką należy robić, jest zmuszanie się do spania. Zasiadł więc przy ognisku i zaczął, aż wszyscy zasnęli. Wtedy wstał, umocował przy biodrach broń i oddalił się.

Coś, czego nie umiał nazwać, ciągnęło go do ruin świątyni. Pośrodku zwałonej ściany

majaczył nietknięty ostrołuk sklepienia mieszczącego niegdyś bramę, która dawno wygniła.

Przeszedł pod nim odsuwając pnące zwisające ze szczytu bramy.

Gdy wszedł na dziedziniec, sploszył lisa, w ciemności zahuczała sowa. Po cichu, niczym duch, Cymmerianin przeszedł przez dziedziniec nie czyniąc najmniejszego hałasu na

drobnych kamieniach posadzki. Niegdyś tworzyły one piękne wzory, ale słońce przez stulecia zaćmiło ich chwałę i w poświęcie księżycy zaledwie można było domyślać się ich

niegdysiejszego przepychu.

Po prawej stronie majaczyła w ciemności właściwa świątynia, a przy jednej z jej ścian —

zwalona wieża. Poprzez uchylone drzwi i w przypominających szpary oknach dostrzegł

Conan blade światło. Dzięki jakiemś cudownemu zbiegowi okoliczności w oknach wciąż

tkwiły fragmenty czerwonego witrażowego szkła, co dodawało całej scenerii jeszcze bardziej niesamowitego nastroju. Powoli i bardzo ostrożnie Conan zbliżył się do świątyni zaciskając dłoń na rękojeści miecza, gotów na wszystko.

Do drzwi świątyni prowadziły schody. Wszedł na nie ostrożnie stawiając podeszwy na

stopniach. Na ich szczycie zatrzymał się wyęzając słuch, by uchwycić najmniejszy dźwięk.

Był w stanie usłyszeć szelest węża pełznącego o dziesięć metrów od niego, ale z wnętrza nie dochodził żaden szelest. Spojrzał uważnie na cienie przy bramie i po cichu wszedł do środka.

Mury świątyni były właściwie nietknięte, ale jej dach stanowiło tylko niebo.

Ze szczelin w podłodze wyrastały kępy traw, a ze ścian zwisały pnącza, krzaki, a nawet małe drzewa. Na odległym końcu świątyni znajdowała się nisza kryjąca ołtarz, na którym paliło się wiele świec. Przed nim stały dwie postaci.

Monandas i Yolante nie mieli na sobie opończy z kapturami, tylko białe tuniki bez rękawów. Ubiór Monandasa był prawdopodobnie z ciężkiego jedwabiu, podczas gdy

Yolante odziana była w strój tak zwiewny, że światło świec ukazywało jej drobną figurę.

Oboje odprawiali jakiś rytuał w absolutnym milczeniu. Kroczyli przed ołtarzem, wykonując precyzyjne obroty, podnosili i z namaszczeniem opuszczali ramiona, a ich palce z zadziwiającą szybkością kreśliły w powietrzu symbole.

Trzymając się w cieniu Conan przybliżył się do tajemniczej pary. Szybko znalazł się

wystarczająco blisko, by dostrzec, że ich usta poruszały się, jak gdyby rytmicznie i monotonicznie odmawiali modlitwę. Nie wydawali jednak żadnego dźwięku. Oczy mieli szeroko otwarte, ale zdawały się niewidzące, albo widzące coś więcej niż tylko zrujnowane ściany świątyni.

Conan wyszedł z cienia i schował się przy piedestale, który był ponad wzrost normalnego człowieka. Niegdyś podtrzymywał posąg, z którego pozostały tylko stopy. Reszta była już potłuczonym gruzem. Po przeciwległej stronie niszy stał taki sam posąg, prawie nietknięty, ale bez głowy. W świetle księżyca Conan mógł dostrzec, że przedstawiał mężczyznę albo boga w ludzkiej postaci przybranego w piękne szaty.

Teraz rodzeństwo stanęło twarzą do ołtarza z rękami wzniesionymi, zgiętymi w łokciach i z dłońmi wyciągniętymi w kierunku nieba. Ich wargi poruszały się w tym samym rytmie i nadal bezgłośnie. Wtedy Conan zdał sobie sprawę, że w niszy był jeszcze ktoś trzeci. Przetarł oczy i wpatrywał się myśląc, jak mógł nie zauważyć tej postaci wcześniej.

Człowiek siedział na ołtarzu okryty białymi szatami. Miał skrzyżowane nogi, jego twarz była pełna majestatu, ozdobiona srebrną szeroką brodą, opadającą na piersi. Głowę przykrywała biała, haftowana srebrnymi nićmi chusta. W oczach widać było tylko białka jak u ślepca.

Monandas i Yolante opuścili ramiona i wciąż bezdźwięcznie poruszali wargami. Człowiek na ołtarzu chyba im odpowiadał, bo jego usta i broda poruszały się, ale nie było słychać dźwięku. Wszyscy troje zachowywali się tak cicho, że gdyby nie dochodziły dźwięki z

zewnątrz świątyni Conan myślałby, że ogłuchł.

Kontynuowali swoją niezwykłą rozmowę, a Conan coraz bardziej się niecierpliwił, bo

chciał wiedzieć, co takiego dokonuje się przed jego oczami. Czy ten człowiek był z krwi i kości? Może to bóg? Demon? Kimkolwiek był, sprawiał, że po plecach Conana przebiegały ciarki. Nie czuł jednak niechęci, jaką zawsze czuł, gdy stykał się z czarną magią.

Widząc, że w ten sposób niewiele się dowie, cicho wyszedł ze świątyni. Księżyc stał

wysoko i w oddali widać było ogień, który palili pasterze. Conan zatrzymał się przy ich własnym ognisku i wziął bukłak pozostawiony tam przez Hyrkańczyków. Zawiesiwszy go na ramieniu udał się w stronę najbliższego ogniska pasterzy. Nagle usłyszał, że coś idzie razem z nim, a nocna bryza przyniosła ze sobą zapach wilków. Nie zaniepokoiło go to jednak; żaden wilk nie zaatakowałby człowieka, gdy wokół są liczne stada bydła.

Gdy znalazł się w kręgu światła, pasterze poderwali się i pochwycili włócznie.

— Ktoś ty? — zapytał jeden z nich z brodą, odziany w niewyprawione skóry. Był z nimi jeszcze nieco młodszy mężczyzna i kilkunastoletni chłopiec. Trzon włóczni chłopca drżał

nieznacznie, ale tamci pozostali dzielnie dzierżyli swoją broń. Conan w młodości także był

pasterzem i wiedział, że w okolicy obfitującej w wilki, niedźwiedzie i lwy, zajęcie pasterskie wymagało hartu ducha.

— Przyjaciel — odrzekł Conan wznosząc bukłak z winem. — Obozuję ze swoimi

towarzyszami w ruinach świątyni.

— A więc jesteś jednym z tych głupców — powiedział ten młodszy. Upewniwszy się, że

Conan jest sam, opuścili włócznie.

— Głupców? Co masz na myśli?

Starszy przyjął bukłak.

— Siądź z nami przy ogniu. Powiedział tak, bo wybraliście na obóz przekłete miejsce. —

Wokół ognia ułożone były kłody drzewa. Trzej mężczyźni zasiedli na jednej z nich, a Conan zajął miejsce naprzeciwko.

— Tak też pomyślałem, gdy zobaczyłem wysoką trawę i mnóstwo wody. To nie jest zwyczajny widok w pasterskiej okolicy.

— Tak — odezwał się młodszy. — Kuszący widok, prawda? Ale nam nie w głowie tam

wypasać. — Każdy z nich po kolei pociągnął z bukłaka i podali go z powrotem Conanowi.

Ten napił się i znów podał najstarszemu.

— Jak udaje wam się utrzymać zwierzęta z dala od tego miejsca? Nie widziałem tam ogrodzenia.

— Nie musimy nic robić — powiedział ten z brodą. — Nie poszłyby tam, nawet gdybyśmy je zmuszali.

— To prawda — potwierdził młodszy. — Bydło i owce pasą się pięćset kroków od przeklętej świątyni, ale nie pójdą ani kroku dalej, ani nie zjedzą trawy z drugiej strony.

Przyjrzyj się temu w świetle dnia, przybyszu. Zobaczysz, że nie wyskubana trawa tworzy dokładny kwadrat, jakby budowniczy przeciągnął sznur między dwoma palami.

— Jak to się dzieje? — spytał Cymmerianin.

— Mówi się — rzekł brodaty — że Ardubal Dziewiąty, który panował nad Zamorą wiele, wiele lat temu obraził bogów swoim niepoohamowaną żądzą tajemnic magii. W tej właśnie świątyni dokonywał przerażających rytuałów. Pewnej nocy, u szczytu swego panowania,

Ardubal złożył na tym ołtarzu tysiąc ludzi w ofierze — nemedyjskich jeńców pojmanych w bitwie. Bogowie, rozgniewani jego brakiem pobożności i odrażającymi praktykami,

zniszczyli świątynię, a na to miejsce rzucili klątwę. Zamora popadła w nemedyjską niewolę, w której trwała przez pokolenie.

— Taka właśnie jest ta historia — rzekł młodszy z mężczyzn. Chłopiec, który przez cały czas zachowywał milczenie, teraz też tylko pokiwał głową.

Conan przeczuwał, że to nie jest cała historia, ale był pewien, że od tych ludzi nie usłyszy już nic nowego. Gdy opróżnili bukłak, wrócił do obozu i zwinąwszy się w koc zasnął.

Przeklęta czy nie — pomyślał, sprężysta trawa jest najwspanialszym posłaniem.

Następnego ranka, gdy zwijali obóz i przygotowywali się do dalszej drogi, Conan podszedł do bliźniaków i wskazał im równy kwadrat wysokiej trawy.

— Dziwne, prawda? — rzekł Monandas. — Świat pełen jest małych tajemnic, takich jak ta.

— Tej nocy usłyszałem o historii tego miejsca — oznajmił Cymerianin i opowiedział, co powiedzieli mu pasterze. Nie wspomniał jednak słowem o tym, co widział podczas nocnej wycieczki w świątyni. Rodzeństwo wybuchnęło śmiechem, a Yolante powiedziała:

— Chłopi zawsze mają jakąś historyjkę na wytłumaczenie dziwnych zjawisk ze swojej

okolicy. Zawsze w takich opowieściach pojawia się mityczna postać z przeszłości. W tych stronach jest to zawsze Ardubal Dziewiąty, wielki król, który jednak w końcu przegrał z Nemedyczykami.

— Czy on naprawdę praktykował czarną magię? — spytał Conan.

— Któż to wie? — odrzekł Monandas wzruszając ramionami. — Na pewno jednak nie miał

nic wspólnego z tą świątynią. Dla chłopów wszystko, co sięga dalej niż pamięć ich dziadów, jest zamierzchłą przeszłością, a wydarzenia, wypadki i postaci oddzielone stuleciami zlewają im się w jeden fragment czasu. Tak naprawdę Ardubal Dziewiąty panował zaledwie trzysta lat temu, a każdy, kto dużo podróżował i widział wiele ruin, może dostrzec, że ta świątynia —

wyciągniętą ręką wskazał ruiny — jest opuszczona co najmniej od tysiąca lat. — Conan przypatrzył się budowli.

— Tak — przyznał. — To solidnie wzniesione mury. Musiało trwać więcej niż trzysta lat, żeby poustawić te wszystkie kamienie i na szczycie zasadzić dorosłe drzewa — zastanowił

się. — Co w takim razie zdarzyło się tutaj?

— Dlaczego tak cię to ciekawi? — spytała Yolanne.

— Bo żadne tutejsze zwierzę nie chce tknąć z tego miejsca trawy — odparł — a nasze jadły i piły wodę ze smakiem. Jak to możliwe?

Monandas zmarszczył brwi.

— Nie wydaje się, żeby ucierpiały z tego powodu. Najęliśmy cię, byś nas chronił i dlatego, że znasz południe, Cymmedaninie. Nie powinieneś zaprzętać sobie głowy takimi

drobiazgami. A teraz czas, byś zadbał o swojego wierzchowca. Ruszamy za godzinę.

— Jak sobie życzycie — rzekł Conan. Bardzo chciał wiedzieć, co oboje robili w świątyni, ale był pewien, że tym razem niczego więcej się nie dowie. Gdy się oddalał, bliźnięta odprowadziły go wzrokiem z tajemniczym wyrazem twarzy.

ROZDZIAŁ IV

Droga zawiodła ich w końcu do cieplejszych okolic na południe. Uprawiano tu większą

część ziemi, a na pozostałych terenach było dużo dzikiej zwierzyny. Ponieważ Conan,

Achilea i Hyrkańczycy umieli polować, nie musieli często kupować prowiantu, dzięki czemu mogli omijać większe miasta, w których byliby narażeni na ciekawość miejscowej ludności.

Niewielka karawana minęła więc Shadizar i Arenjun i w ciągu kilku dni dotarła do granicy Koth.

Od czasu wydarzeń w świątyni nie zaszły żadne nowe tajemnicze wydarzenia, ale Conan

nie pozbył się nieufności wobec swoich pracodawców. Pozostali nie podzielali jego niepokoju i cieszyli się z ciepłego klimatu, obfitości pożywienia i wolności.

Gdyby nie jego niechęć do czarów, Conan także uważałby zapewne, że znalazł się w nader szczęśliwej sytuacji. Jednak niezwykle zdarzenie, którego był świadkiem, uczyniło go w dwojnásób ostrożnym, i nie myślał beztrąsko o całej tej wyprawie. Poszukiwanie skarbów było dla niego zajęciem godnym głupców.

Jeszcze jedna rzecz psuła Conanowi krew. Jakikolwiek próby zbliżenia się do Achilei spotykały się niezmiennie z jej oporem. W przeciwieństwie do innych kobiet najwyraźniej nie działały na nią jego fizyczne przymioty. Jeśli nawet podziwiała jego doskonałe opanowanie wojennego fachu, ukrywała to starannie. Trzy towarzyszki i karzeł prawie cały czas nie odstępowały jej ani na krok. Zawsze gdy podchodził, oni byli przy niej przygotowani, by go zasieć, gdyby tylko dostarczył jakiegoś pretekstu. Dotychczas Conan żył w przeświadczeniu, że każda kobieta uległaby mu, gdyby tylko chciał wykonać drobny miłosny gest.

Znaleźli się na granicy pomiędzy Zamorą i Koth w pobliżu wschodnich krańców Koth. Była to prowincja trawiastych stepów, po których stada kudłatego bydła o wielkich rogach

przepędzane były przez konnych pasterzy, niewiele różniących się wyglądem od swoich

podopiecznych. Na granicy nie mieli żadnych kłopotów, gdyż wjeżdżali do krain, gdzie ani królowie, ani lokalni możnowładcy nie zwracali najmniejszej uwagi, czy podróżujący

wędrowcy lub stali mieszkańcy poddani są grabieniu przez rozbójników, czy też nie.

— Od tego miejsca miejmy strzały i łuki w pogotowiu — rzekł Conan, gdy znaleźli się w Koth. — I trzeba podwoić strażę w nocy. Ta okolica pełna jest rozbójników i łotrów

wszelkiego rodzaju, ale będą trzymali się z dala od czujnych i uzbrojonych, zwłaszcza że nie widać po nas, że jesteśmy bogaci.

— Kto uczynił z ciebie naszego przywódcę, Cymmerianinie? — warknął Jeyba.

— Właśnie — zawtórowały mu chórem wszystkie trzy kobiety, jak zawsze zazdrośnie strzegące władzy swojej królowej.

— Ha! Ha! — Kye-Dee wybuchnął piskliwym śmiechem. — Bunt kobiet i karłów! Jak w starej baśni! — Kobiety i krasnolud sięgnęli po broń.

— Dosyć tego! — krzyknęła Achilea, a jej świta zamarła. — Może nazbyt sobie pozwala, ale jego

rady są dobre. Teraz, gdy okolica jest bardziej niebezpieczna, nie możemy kłócić się między sobą.

— Więc na Croma, kto tu dowodzi? — zapytał urażony Conan. — Jak bandyci napadną nas o północy, nie będzie czasu na dyskusje!

Monandas i Yolante, którzy nie wtrącali się do sprzeczki, na ostatnie słowa Cymmerianina wysunęli głowy ze swoich lektyk jak zwykle jednocześnie.

— My będziemy wydawać konieczne rozkazy — rzekł Monandas. — Nie zapominajcie, kto was zatrudnił.

— Tak, ale wy nie jesteście wojownikami — rzekł Conan. — Jedno z nas powinno przejąć dowództwo nad całą drużyną.

— W takim razie — rzekła Yolante — niech to będzie Achilea. Ona, bądź co bądź, jest królewskiej krwi. — Jeśli w tym, co powiedziała, była ironia, to nie dała tego po sobie poznać.

— Dobrze więc — rzekł Conan, wciąż obrażony. — Jeśli przedkładacie dobre urodzenie nad wojenne doświadczenie, niech i tak będzie.

W tym właśnie momencie nadszedł atak. Zza pagórka ukazała się pędząca galopem grupa jeźdźców, wymachujących bronią i napełniających powietrze przenikliwymi okrzykami wojennymi.

— Czekam na rozkazy, dowódcu — rzekł Conan do zaskoczonej Achilei.

Szybko otrząsnęła się z pierwszego wrażenia i wstała w strzemionach, by objąć wzrokiem okolice. Atakujący nadjeżdżali od lewej strony. Wskazała więc niewielkie wzniesienie na prawo, tuż obok głębokiego żlebu.

— Wjedźmy na ten pagórek, z wysokości będziemy mieli przewagę! Wielbłądy do środka!

Reszta niech uformuje pierścień tak, żeby żleb mieć za plecami!

— To błąd — rzekł Conan — ale jedźcie. Ja spróbuję ich nieco zatrzymać.

— Nie! Zostań z nami! — krzyknęła Achilea, ale Conan już cwałował w kierunku

napastników. Przeklinając ujęła uzdę jednego wielbłąda i wskazała karłowi, by uczynił to samo z drugim. Zaczęli wjeżdżać pod górę, a Hyrkańczycy uformowali się tworząc zaporę między nimi a nadjeżdżającą bandą. Zmusili swoje konie do zwrotów i zygzaków, bo nigdy nie zdarzało im się walczyć z miejsca.

Dystans szybko zmniejszał się, ale Conan zdążył dokonać pobieżnej oceny siły napastników. Było ich może z tuzin, większość w ubraniach, jakie noszą mieszkańcy kothyjskich równin, ale poznał pomiędzy nimi — po charakterystycznych nakryciach głowy — również członków różnych plemion. Byli tam Khorajanie i Khaurańczycy, a nawet jakiś człowiek w zbroi zamorańskiej lekkiej kawalerii. Banici, wyrzutki i dezserterzy, pomyślał, a nie wojownicze plemię.

Znajdujący się na czele jeździec wymierzył włócznię w Conana i spiął konia do szybszego biegu. Drzewce trzymał mocno pod pachą, pochylił się w prawo, a tarczę wznosił wysoko na odparcie ciosów. Na jego twarzy malowało się radosne podniecenie z powodu spodziewanej

— jak mu się wydawało — łatwości pokonania przeciwnika. Widział, że Conan nie ma włóczni.

Cymmerianin nie popędzał konia, gdyż nie był to szkolony bitewny rumak. Zamiast tego wyciągnął miecz i skupił wzrok na zbliżającym się ostrzu lancy. Gdy był już tylko o metr, pochylił się nisko. Ostra stal przeszła mu nad głową, wtedy wyprostował się podnosząc drzewce i tworząc otwartą przestrzeń pod tarczą. Ścisnąwszy miecz oburącz wymierzył cios ukośnie, rozcinając cienki pancerz na piersi jeźdźcy, miażdżąc żebra i raniąc wnętrzności.

Miecz Conana spływał krwią, gdy odjeżdżał rozglądając się za następną ofiarą.

Dostrzegł, że dwóch innych pada od strzał Hyrkańczyków. Reszta bandy była wyraźnie

zaskoczona, gdyż podróżni nie okazali się zbyt łatwymi, jak początkowo myśleli zbóje, kąskiem. Dwóch jeźdźców znajdujących się blisko Conana próbowało teraz umknąć, ale

Cymmerianin skręcił za jednym z nich. Byli na wyciągnięcie ramienia, jeździec obejrzał się i w ostatniej chwili swojego życia mógł zobaczyć, jak miecz Conana spada na jego plecy niczym topór drwala na wątłą gałązkę. Bandyta spadł z konia, a Cymmerianin rozejrzał się za innymi. Trzymali się z dala od niechybnej śmierci, którą siał czarnowłosy jeździec, i zamiast dalej walczyć, uciekali w stronę pagórka.

Conan spojrzął za nimi i zobaczył to, czego się spodziewał. Achilea i reszta właśnie wjechali na szczyt, by przekonać się, że nie są tam sami.

— Głupia, arogancka baba! — mruknął Conan zawracając konia w kierunku wzgórze i

popędzając go do galopu. Na szczycie jeźdźcy zostali zaatakowani przez inną grupę

bandytów, która czyhała na nich ukryta w parowie u stóp wzniesienia. Szesnastu ludzi dosiadających małych zwinnych koników szarżowało pod górę, opuściwszy lance skierowali się prosto na wielbłądy.

Achilea i jej świta stanęli blisko nich. Trzy jej kobiety napięły łuki, a ona i karzeł dawali odpór każdemu, kto się zbliżył. Miecz królowej połyskiwał, gdy cięła nieprzyjaciół silnymi ciosami, a maczuga Jeyby opadała raz po raz miażdżąc kości i rozbryzgując mózgi.

Hyrkańczycy, którzy nie lubili walki wręcz, stojąc poza zasięgiem włóczni słali gęsto swoje śmiertelne strzały.

Conan wpadł na wzgórze niczym burza, wywijając swoim mieczem, jak wielkim stalowym wiatrakiem. Jeden z napastników uniknąwszy miecza Achilei zmierzał ku wielbłądom i właśnie zamierzał zerwać zasłonę lektyki Yolante. Ale miecz Cymmerianina błyskawicznie odrąbał mu dłoń i nadgarstek. Człowiek odwrócił się przerażony, ale tylko po to, by ujrzeć, jak miecz spada raz jeszcze, tym razem na jego głowę.

Zbójce najwyraźniej mieli dość. Ci, którym udało się przeżyć, z rykiem zawrócili i zaczęli uciekać. Hyrkańczycy pędzili jeszcze za nimi śląc strzały, mając ich teraz na otwartej przestrzeni jak na dłoni.

— Przestańcie i wróćcie tutaj! — krzyknęła Achilea. Hyrkańczycy albo nie usłyszeli, albo po prostu zignorowali jej rozkaz.

— Czy mamy jakieś straty? — spytał Conan wycierając ostrze. Achilea spojrzała na krasnoluda i swoje kobiety, którzy także czyścili broń z krwi.

— Ja nie straciłam nikogo, a i ty wydajesz się być w jednym kawałku. Nie będę mówiła o Hyrkańczykach dopóki nie wrócą, buntownicze psy.

— Hyrkańczycy mają takie powiedzenie — rzekł Conan z uśmiechem. — Nie ma wdzięczniejszego widoku pod Wiecznymi Niebiosami niż plecy nieprzyjaciela w zasięgu strzały.

Yolante odchyliła zasłonę nie zwracając najmniejszej uwagi na wciąż ściskającą materiał odciętą dłoń.

— Czy wszystko w porządku? — wyraz twarzy miała spokojny, a w głosie nie było śladu drżenia.

— Powiedzieliśmy, że was obronimy — odparła Achilea ze złością.

— A jednak — dodał Monandas wychylając się przez zasłonę. — Tuż przed atakiem

przewadziliście pewną rozmowę. Conanie, czy nie mówiłeś Achilei, że wjeżdżanie na wzgórze jest błędem?

— Tak powiedziałem — odrzekł Conan.

— A co ci dało do tego podstawę? — spytała słodko Yolanthie.

— Nasza drużyna składa się z dwunastu osób — rzekł Conan. — Jechało na nas nie więcej niż tuzin napastników. Takie szumowiny nie podejmują ataku, gdy nie mają co najmniej dwukrotnej przewagi. Jeśli jednak atakują nie mając takiej przewagi, a w pobliżu jest jakiś pagórek albo dogodna droga ucieczki, można mieć pewność, że jest się zaganianym w zasadzkę.

Twarz Achilei płonęła.

— Taki z ciebie kapitan, co? Ja także, Cymmerianinie, walczyłam w swoim życiu niemało!

— Tak, ale jesteś bardziej wyszkolona w ataku, a nie w obronie. Ja bywałam kapitanem w wielu armiach i służyłam ochroną niezliczonej ilości karawan. Bywałam rozbójnikiem, piratem i znam zwyczaje tych łotrzyków.

— Więc powiedz nam — rzekł Jeyba — dlaczego w ogóle na nas napadli. Sam powiedziałeś, że będą unikać dobrze uzbrojonej grupy bez widocznych dowodów bogactwa. Wiedzieli, że wielu z nich zginie i niewiele zyskają w zamian, jednak mimo to zaatakowali. Jak mogło do tego dojść?

— Właśnie! — dodała Achilea. Odwrócenie uwagi od własnego błędu w dowodzeniu było jej na rękę. — Jechali prosto na wielbłądy! A one nie niosą żadnych skrzyń, w których mogłyby być skarby.

To pytanie dręczyło także Conana, ale był zbyt poirytowany, by przyznać jej rację.

— Czyż to nie jest oczywiste? — rzekł Monandas.

— Ani trochę — odparła Achilea.

— Czy to nie wspaniałe zwierzęta? — spytała Yolanthie pieszcząc szyję swego

wierzchowca. — A to, czy nie są piękne zasłony? — Beznamiętnie odczepiła rękę i rzuciła ją na ziemię, po czym pogładziła jedwab. — Kto, jak nie bogacze, jeździ na takich

wierzchowcach i w takich lektykach? Nie ma wątpliwości, że wzięli nas za ważne osobistości, może

za rodzinę miejscowego możnowładcy albo członków jakiegoś zakonu. Czy nie jest w zwyczaju tych rzeźmieszków porwanie takich ludzi i trzymanie dla okupu?

Conan potrząsnął swoją czarną czupryną.

— Tak robią.

— Więc wszystko się wyjaśniło — powiedziała Yolante. — Jedźmy dalej — spojrzała na

Achileę. — Nadal będziesz dowodziła naszą strażą. Jestem pewna, że odtąd będziesz bardziej ostrożna. — Brat i siostra schowali się w lektykach i zasunęli zasłony.

Achilea siedziała w siodle cała czerwona i trzęsa się z wściekłości. Conan wiedział, że jest głęboko zraniona w swojej durnie. Słowa Yolante podziałały na nią jak uderzenie biczem.

W tym momencie wrócili Hyrkańczycy wykrzykując triumfalnie i wymachując ociekającymi krwią skalpami zabitych wrogów.

— Aijeee! — zakrzyknął Kye-Dee. — To było lepsze niż pościg za zającem!

— Dlaczego nie wróciliście, gdy was wołałam? — wrzasnęła Achilea. — Skąd mogliśmy wiedzieć, czy oba ataki na nas nie były po to, żeby nas odciągnąć od tych, których mamy chronić?

Conana rozbawiła ta rozpaczliwa próba ratowania twarzy.

Kye-Dee nie był skruszony.

— Wołałaś nas? Nie słyszeliśmy. Gdy zobaczyliśmy plecy wrogów, wszystko inne przestało nas obchodzić. To był dar od Wiecznych Niebios, a niedobrze jest gardzić bożymi darami. My, Hyrkańczycy, mamy takie powiedzenie: „Nie ma wdzięczniejszego widoku pod Wiecznymi Niebiosami niż...”

— Słyszałam! — warknęła i odjechała, a za nią karzeł i kobiety.

— Ach tak? — rzekł Kye-Deechi chichocząc — czy ktoś ją ugryzł, tę naszą wojowniczkę!

— Lepiej trzymaj się od niej z dala przez jakiś czas — poradził Conan. — Wcześniej czy później trafi się kolejna walka i Achilea pokaże, co potrafi. Niech tylko zabije paru łotrzyków, a od razu odzyska humor.

Ruszyli dalej na południe, pozostawiając za sobą trupy bandytów, nad którymi już zaczęły gromadzić się wilki i krogulce.

Okolice, przez którą jechali, nie obfitowała w miasta. Wioski składały się głównie z rynku, na którym

stale sprzedawano bydło i wywożono wielkie wozy pełne skór, mięsa i sadła. Już sam odór był wystarczającym powodem, by omijać te miejsca. Conan i reszta drużyny nie mieli zbyt wybrednego powonienia, ale rodzeństwo nie mogło znieść rojących się much i smrodu. Z drugiej strony posuwali się szybciej naprzód, ponieważ nie trzeba było polować.

Bydło bito tu tylko dla skór i tak wiele, że za dwa miedziaki można było kupić mnóstwo mięsa. Dzięki temu co wieczór odbywały się uczyty pełne świeżego jada.

— Lepiej nabrać tuszy, póki jest okazja — powiedział Conan, gdy wieczorem siedzieli przy ogniu ogryzając smakowite kęski i rzucając kości do ogniska. — Na południe stąd nie będzie już takich smakołyków.

— Wy Cymmerianie naprawdę jesteście ponurym plemieniem — rzekła Achilea. Wciąż

jeszcze nosiła w sercu urazę do niego. — Po co martwić się tym, co przyniesie jutro? Może nawet nie przeżyjemy tej nocy.

— Tak — rzekł Kye-Dee. — Życie jest nieprzewidywalne i zmienne.

— Kiedyś byłem beztroski jak wy — odparł Conan. — Ale gdy zostałem dowódcą,

musiałem myśleć o konsekwencjach i czynić staranne przygotowania. Ta ziemia jest żyzna i obfituje w pożywienie, mimo że grasują tu rozbójnicy. Na pustyni będzie inaczej. Gdy zbliżymy się do granicy, albo może w Khauranie, będę musiał rozpytać się o warunki na południu.

— Co masz na myśli? — spytała podejrzliwie Achilea. Nie podobało jej się, że Conan raz jeszcze próbuje przejąć dowództwo.

— Pustynia wydaje się jednostajna, ale tak nie jest — kontynuował Conan. — Źródła

wysychają z dnia na dzień z przyczyn niepojętych dla człowieka. Na tereny nie zamieszkałe od stuleci nagle wprowadzają się nowe plemiona. Samo utrzymanie się tam przy życiu będzie trudne, a każda niespodzianka może spowodować śmierć. Być może będziemy zmuszeni do

rzeczy, które uważamy za niegodne.

— Na przykład? — spytał Kye-Dee wgrzyzając się w dymiący kawał mięsa.

— Jeżeli ostatnie lata były wyjątkowo suche, może będziemy musieli sprzedać konie i kupić wielbłądy.

— Nigdy! — krzyknęła Achilea skacząc na równe nogi. Jednocześnie to samo uczyniła jej świta sięgając po broń. — Nie będę jeździła na cuchnących, obrzydliwych wielbłądach! —

Na znak, jak bardzo wstrętna jest jej ta myśl, wypłuła na pół ogryzioną kość poza obręb światła, wzbudzając radosne ożywienie wśród czyhających padlinożerców.

— Może nie będzie aż tak źle, Conanie! — powiedział Kye–Dee. Nie był tak wściekły, ale wyraźnie nie podobała mu się ta perspektywa. — Wielbłądy są dobre dla kupców i

wieśniaków, którymi gardzimy, a nie dla szlachetnych mężów jeżdżących wolno pod
Wiecznym Niebem!

— Możemy nie mieć wyboru — odparł Conan. — Konie nie mogą żyć bez dostępu do

czystych źródeł wody, a my nie możemy zbyt obciążać się ładunkiem. Ledwo poradzimy sobie z tym, co będziemy dźwigać dla siebie. Wielbłąd potrafi iść wiele dni bez picia i może przeżyć na paszy tak marnej, że koń zdechłby z głodu. Jeśli będziemy musieli przejść przez głęboki piach, końskie kopyta będą się w nim zapadały i utknijemy. Wielbłądy mają szerokie kopyta, zdolne utrzymać swój ciężar. A poza tym pustynne plemiona nie są tak wybredne, jeżdżą i nawet walczą z wielbłądów.

Achilea znowu się obruszyła.

— Kto umie skutecznie walczyć z grzbietu tak topornego stworzenia?

— Tobie znane są tylko dwugarbne wielbłądy z pustynnych wyżyn i gór — zwrócił jej

uwagę Conan. — Jednogarbne wielbłądy z południowych pustyń są mniejsze i zwinniejsze, choć zapewniam cię, że nie ładniejsze. I w dodatku siedzi się na nich dużo wyżej niż na koniu, co daje przewagę przy walce na miecze.

— Wielbłądy — rzekła Achilea z dreszczem obrzydzenia. — Mam nadzieję, że nie upadnę tak nisko!

W końcu przestała się z nim sprzeczać.

— Jeśli będziesz miała do wyboru to, albo iść pieszo, będziesz wolała wielbłąda.

Kye–Dee strugał kawałki mięsa swoim zakrzywionym sztyletem.

— Nasi pracodawcy — wskazał głową w kierunku namiotów. — Zaniósłem im trochę

mięsa, ale jak zwykle odmówili mówiąc, że będą się żywić z własnych zapasów. Pytam was, kto odmawia świeżego, dobrego mięsa i woli ohydne suszone jedzenie?

— Świat pełen jest dziwnych sekt — odrzekł Conan wzruszając ramionami. — Wiele z nich nakazuje swoim członkom tylko pewnego rodzaju pożywienie, każde inne uważa się za

nieczyste. Niektórzy nie jedzą mięsa, inni nie jedzą nic oprócz niego. Spotkałem kiedyś świętego męża, który żywił się tylko owadami i miodem. Są tacy, którzy jedzą mięso zwierząt zabitych tylko według specjalnych reguł. Jeśli mnie pytacie, uważam to za głupotę, ale to nie mój interes, kto jakim

bogom oddaje cześć ani jakim przykazaniom jest wierny.

— I to jest właściwe podejście — rzekł Kye-Dee. — Ludzi, których nie możesz zabić, lepiej zostaw w spokoju.

Gdy wszyscy zawinęli się w swoje koce, Conan objął pierwszą straż. Zamyślony wpatrywał się w ogień, a płomienie układały się przed jego oczami w kształty demonów. Mimo tego co mówił, był niespokojny. Jego zwierzchnicy mieli przed nimi zbyt dużo tajemnic. Jedną z nich był fakt, że nigdy nie widział, żeby cokolwiek jedli albo pili.

Jeszcze bardziej niejasna była sprawa ostatniego napadu. Tłumaczenie, że próbowano porwać ich dla okupu, było prawdopodobne, ale jakoś go nie przekonywało. Napastnicy wykazywali w walce determinację niespotykaną u zwykłych rabusiów. Działali według przygotowanego planu i nie odstępili od niego nawet mimo ciężkich strat. Można było się spodziewać, że zaniechają akcji, gdy zginie pierwszy z nich albo pierwszych dwóch. A takie zachowanie mogło wskazywać, że spodziewali się dużej nagrody.

Monandas i Yolenthe mówili wcześniej o możliwych napaściach ze strony innych poszukiwaczy legendarnego Janagaru, a jednak nie chcieli łączyć z tym ostatniego zdarzenia.

Dlaczego? Cymmerianin nie lubił, gdy takie niejasności komplikowały wyprawę, która mogłaby być rutynowa.

Jedno było pewne: musiał uważniej przyglądać się zagadkowej parze.

Wreszcie przybyli do większego miasta. Nazywało się Zardas i znajdowało się na skrzyżowaniu dwóch dróg, nad niewielką rzeką na północ od granicy pomiędzy Koth i

Khauranem. Tu również znajdował się targ bydła, ale rzeźnie i zagrody wybudowano dwie mile od miasta w dół rzeki, przez co powietrze było zdrowe, a atmosfera mniej. Tuż za murami osady znajdowały się zagrody dla zwierząt tych, którzy przybyli z małymi

karawanami. Urzędnik odpowiedzialny za obozowisko rozmawiał z bliźniętami i przydzielił miejsce dla wszystkich wierzchowców, a pobrawszy odpowiednie opłaty, skierował ich do najlepszej gospody w mieście.

Kilku podróżnych podeszło, by podziwiać dwa białe wielbłądy. Niektórzy z nich nigdy nie widzieli dwugarbnych wielbłądów z północy, a już na pewno nie tak wspaniałych. Monandas musiał odrzucić

kilka propozycji kupna zwierząt tłumacząc, że zarówno on, jak i jego siostra czuliby się osamotnieni i nieszczęśliwi rozstawszy się ze swoimi ukochanymi. Gdy wszystko było już zabezpieczone, przeszli przez bramę i znaleźli się w samym miasteczku.

Okazało się bardzo kolorowym miejscem; większość budynków wzniesiono z kamienia lub cegły, były jaskrawo pomalowane i z pasiastymi płóciennymi zasłonami w oknach. Wzdłuż ulic pełno było straganów kupców lokalnych i przyjezdnych.

— Ja i moja siostra idziemy do gospody — rzekł Monandas. — Kto idzie z nami?

Conan spojrział na słońce.

— Zostało jeszcze jakieś dwie godziny do zmroku — rzekł — Wolę się rozejrzeć po okolicy. Nie byłem tu jeszcze nigdy mimo swoich licznych podróży. Przyłączę się do was wieczorem. — Reszta także zdecydowała się zorientować w tym, co miasto ma do zaoferowania, więc rodzeństwo oddaliło się samotnie.

— Czy zrobiliśmy mądrze? — rzekł Kye-Dee, gdy poszli. — Zobowiązaliśmy się ich ochraniać, a tutaj sami są bezbronni.

Achilea wzruszyła ramionami.

— Obiecaliśmy bronić ich podczas drogi. Nie było mowy o miastach.

— Tak — potwierdził Conan — a po tym, co zaszło na północnej granicy nie jestem przekonany, czy oni w ogóle potrzebują ochrony.

I tak włóczyli się bez celu po krętych wąskich uliczkach. Conan i Hyrkańczycy nie przyciągali wzroku przechodniów, ponieważ wędrowni awanturnicy wszelkiego rodzaju nie stanowili tu rzadkości. Z Achileą i jej towarzystwem było inaczej. Nigdy wcześniej w tej okolicy nie widziano nikogo takiego. Ludzie gapili się na dzikie, pokryte malunkami kobiety, ich piękną królową olbrzymkę i krępego karła. W rezultacie byli wciąż zaczepiani przez ciekawskich i wciągani w rozmowy, podczas gdy Cymmerianin coraz bardziej się od nich oddalał.

Po pewnym czasie Hyrkańczycy znaleźli budkę z popularną w ich ojczyźnie grą hazardową, do której mieli nieprzewyciężoną słabość. Conan zostawił ich i dalej szedł sam. Dotarł do małego bazaru, gdzie sprzedawano różnego rodzaju broń. Zawsze takie przedmioty

przyciągały jego uwagę. W tej części świata ulubionym uzbrojeniem obronnym były lekkie kolczugi, lekkie, starannie wykute hełmy i małe okrągłe tarcze. Pałace słońca południa wykluczało użycie cięższego sprzętu wykorzystywanego na północy i zachodzie. Były tam wdzięcznie zakrzywione

miecze, zgrabne lance i małe toporki z trzonkami z rogu nosorożca.

Na straganie, przy którym sprzedawał ślepy Shemita, znalazł Conan dziwną broń. Cała

wykonana była ze stali, miała wąską rękojeść kończącą się głowicą, misternie wykutą na kształt ludzkiej pięści, ściskającej sztylet. Ostrze lekko zakrzywione ku dołowi było raczej szpikulcem niż klasycznym ostrzem. Najwyraźniej przeznaczone było do przekłuwania

kolczug.

— Ciekawa broń, prawda? — odezwał się mężczyzna ubrany po turańsku. Miał na sobie

kurtę z szarego jedwabiu, wyszywaną złotymi nićmi. Spodnie z czarnego jedwabiu wetknięte były w buty z czerwonej skóry.

— Jej skuteczność jest ograniczona — odparł Conan. — Przebije kolczugę, ale koniec się stępi, gdy uderzyć w hełm albo pancerz.

Człowiek gładził swoją spiczastą kozią bródkę.

— Niewielu jest takich, którzy umieją przebić pancerz takim narzędziem.

— Ja to potrafię — rzekł Conan rzucając sztylet z powrotem na stragan — wolę broń bardziej wszechstronną.

— Na przykład taką? — spytał człowiek wskazując na miecz wiszący u boku

Cymmerianina.

— Tak. Jest dostatecznie ciężki, by przebić pancerz i dostatecznie ostry, by ciąć ciało. Jest dobrze wyważony i ma ostry koniec, dzięki temu nadaje się do rzucania. A głownia dobrze służy do łupania po łbach, gdy jest tłok.

Mężczyzna roześmiał się ukazując ostro zakończone zęby.

— Mówisz jak człowiek, który zna się na broni. Nie widziałem cię tu wcześniej. Czy przybyłeś niedawno?

— Przyjechałem przed jakąś godziną — potwierdził Conan.

— Samotnie?

— Dlaczego pytasz? — te pytania wzbudziły podejrzliwość Cymmerianina. Pytający był uzbrojony w miecz i sztylet, ale w tych stronach każdy dorosły mężczyzna nosił broń.

Wyglądał na wojownika, ale Conan nie czuł strachu przed ludźmi, choć ciekawość

nieznajomego uczyniła go czujnym.

— Prowadzę małą karawanę kupiecką i szukam znajomego się na rzeczy, który mógłby ją ochraniać. — Dotknął ręką piersi i pochylił się w lekkim ukłonie. — Jestem Vladig z Akit, w Turanie.

— A ja jestem Conan z Cymmerii i tak się składa, że już jestem zatrudniony do osłaniania ludzi udających się na południową pustynię.

— A, co za szkoda. Wydajesz się być najlepszy do takiej roboty. Na południową pustynię, mówisz? Czy wolno zapytać, w jaką okolicę?

— Na północ od wielkiego zakrętu Styxu, pomiędzy Zamboulą i Kutchernes, na południe od Khauranu.

— Toż to podróż Drogą Straceńców! To zakazane miejsce, przyjacielu. Doradzałbym wybór innej trasy, dokądkolwiek zmierzacie.

Conan już miał powiedzieć, że tam właśnie znajduje się cel podróży, ale zrozumiał, że ujawnił aż nadto szczegółów i zamiast odpowiedzi wzruszył ramionami.

— To nie moja decyzja. Ja zajmuję się tylko ochroną, niczym więcej.

— Ach, kaprysy ludzkie, trudno z nimi żyć — powiedział tamten pojednawczo. Wskazał gestem na otwarte drzwi tuż obok. — Czy zechciałbyś wypić ze mną trochę wina? Niedawno przemierzałem tamte okolice i mógłbym opowiedzieć ci o niebezpieczeństwach i jak ich najlepiej unikać.

Conan z przyjemnością przystał na propozycję raz dlatego, że zawsze chętnie pił cudze wino, o ile nie był to wróg, a po drugie naprawdę chciał wiedzieć o tym, co ich czeka na południu.

W chwilę później siedzieli we wnętrzu małej gospody, przy stole pod oknem z pasiastą zasłoną, przez którą przeświecało popołudniowe słońce. Na skinienie nieznajomego służebna przyniosła dzban wina i dwa kubki z emaliowanej na niebiesko ceramiki — naczynia

charakterystycznego dla tego regionu.

Obaj wznieśli toasty. Wino miało złotawy kolor i cierpki smak dzięki przyprawom.

— Czy wasza karawana będzie sprzedawała, kupowała czy też może jedno i drugie? —

spytał Vladig.

— To zależy od moich pracodawców — odparł Conan. — Podróżujemy jednak bez ładunku.

— A... — rzekł Vladig kiwając głową. — Gdy karawana podróżuje bez towarów, to znaczy, że jedzie po niewolników. Kilkanaście jardów łańcuchów i kajdan łatwo zapakować w kilka toreb przytroczonych do siodeł. Tak, Droga Straceńców to najkrótsza trasa stąd do czarnych ziem Zembabwei i Punt. Oczywiście z powrotem musicie wybrać lepszą drogę.

Żaden braniec nie przejdzie tej trasy na własnych nogach.

— Czy woda w sadzawkach stoi nisko? — spytał Conan.

— Niżej niż zwykle? Tak, oaza Amun, kiedyś otwarta dla wszystkich, teraz ma tak niewiele wody, że plemię Omri trzyma ją tylko dla siebie przeganiając inne plemiona i żądając słonych opłat od każdej karawany. Ze wszystkich dwudziestu wodopojów na szlaku przez Wielką

Pustynię pomiędzy Turanem i Stygią można być pewnym, że skorzysta się z mniej niż dwunastu.

— A Mniejsze Przejście z Zambouli do zakrętu Styxu?

— Jeśli chodzi o wodę sprawa przedstawia się lepiej, ale wojownicze plemiona są coraz bardziej chciwe. Jest tak, jak wszędzie. Aby być bezpiecznym od rozbójników, trzeba

podróżować w dobrze uzbrojonych grupach. Ale takie karawany wymagają dużo większych

zapasów wody i pożywienia. W sumie dłuższa droga, po peryferiach pustyni, jest

bezpieczniejsza. Trwa dwa razy dłużej, trzeba opłacać się lokalnym hersztom, ale szansę przejścia cało są większe.

— Może masz rację — rzekł Conan, swoje myśli zachowując dla siebie. — Pomówię o tym ze swoimi przełożonymi.

— Tak byłoby mądrze — rzekł Vladig.

Skończyli dzban wina rozmawiając o niebezpieczeństwach i kapryсах pustyni. Potem się rozeszli. Conan rozmyślał o uprzejmości tego człowieka. Nie było rzeczą niezwykłą wymienianie takich informacji przez wędrowców, ale ten wykazywał podejrzanie mało

zainteresowania pochodzeniem Conana i jego podróżami oraz krainami, które musieli

przejechać, by dotrzeć do Zardas. To wszystko wydawało się dziwne.

Vladig szedł wąskimi uliczkami Zardas w świetle zachodzącego słońca. W końcu dotarł do wysokiego ślepego muru, wyjął z torby przy pasie klucz i otworzył ciężką bramę. Wszedł przez nią na dziedziniec, na którym wonne krzewy rosły w donicach wbudowanych w posadzkę. Za dziedzińcem znajdował się piękny dom o bielonych ścianach. Wszedł na zewnętrzne schody prowadzące na płaski dach. Zgodnie z modą panującą wśród miejscowych bogaczy, na dachu znajdował się ogród, a na środku altana. Przeszedł pod drzewem obrośniętym pnączami i zapukał do drzwi altany.

— Wejdz — głos był głęboki i o miodowej barwie.

Vladig otworzył drzwi, wszedł i skłonił się z ręką na piersi.

— Uczyniłem, jak kazałeś, panie.

Człowiek, do którego zwrócił się w ten sposób, siedział za stołem pokrytym księgami i dziwnymi przyrządami. Przed nim leżał stos kryształów. Niektóre były okrągłe, inne

podługne, jeszcze inne przypominały igły. Był wysoki, chudy i posępny, miał spiczastą siwiejącą brodę i wąsy. Nosił opończę w kolorze głębokiej purpury i turban w tym samym kolorze.

— Mów więc — rzekł odsłaniając małe, ostro zakończone zęby. Miał oparte na stole ręce, a jego palce wydawały się nienaturalnie długie. Od czasu do czasu wykonywał ruchy, jakby kreśląc opuszkami zawile wzory.

— Rozmawiałem z jednym z nich, zwalistym czarnowłosym mężczyzną z północy.

Przyjrzałem się także całej grupie, zanim do niego podeszedłem. To najdziwniejsza zbieranina, jaką kiedykolwiek widziałem: hyrkańscy łucznicy, karzeł, ten człowiek z północy, nawet uzbrojone kobiety.

— Kobiety? — zdziwił się siedzący.

— Tak, cztery. Trzy z nich to dzikie istoty przypominające zwierzęta, a przewodzi im wielka i potężnie zbudowana żółtowłosa kobieta, wyglądająca bardziej niebezpiecznie niż jakikolwiek bandyta.

Siedzący wpatrywał się zamyślony w kryształy, które zaczęły jarzyć się fioletowym światłem.

— Bliźnięta mają w sobie coś, co przyciąga dziwne rzeczy. — Jego palce zaczęły kreślić jeszcze

bardziej skomplikowane wzory i kryształy zaczęły się unosić.

Vladig nie lubił patrzeć na ręce swojego pana. Gdy spoczywały bez ruchu zdawały się

zwyczajne, ale w ruchu przypominały pozbawione stawów macki. Miało się też wrażenie, że jest ich więcej niż dziesięć, tak szybko poruszały się.

— Ten, z którym rozmawiałem, potwierdza twoje przypuszczenie, że zmierzają na

południową pustynię. Twierdzi, że nie wie po co, ale ja mu nie wierzę. Próbuje udawać zwykłego strażnika, ale zachowuje się jak przywódca. Jego prostota to poza. Z tego powodu starałem się nie być za bardzo wścibski. Już i tak stał się podejrzliwy.

— Czy kłamałeś mu?

— To nie było konieczne. Prawda okazała się wystarczająca. Jak każdy doświadczony

wędrowiec był ciekaw warunków panujących na pustyni. Chciał dowiedzieć się o wodzie, trawie, plemionach. Nieco wyolbrzymałem niebezpieczeństwa Mniejszego Przejścia, ale ich karawana jest tak mała, że i tak bardzo ryzykują. Naprawdę mają niewielki wybór. Jeśli rzeczywiście zdążają do miejsca, o którym myślisz, panie, to muszą pójść najkrótszą trasą. W

jej ostatniej części czeka ich niechybna śmierć.

— Niektóre istoty nie umierają tak łatwo — odparł ten drugi. — Opowiedz mi waszą rozmowę słowo po słowie.

Vladig przedstawiał, o czym mówili, a jego pan, który nazywał się Arcases, rozmyślał

wpatrując się w swoje kryształy. Podnosiły się w rytm jego ruchów, zbierały w jednym miejscu, by zaraz rozciągać się w podłużny kształt i za każdym ruchem rąk świecić coraz jaśniej. Po jakimś czasie ułożyły się w kształt przypominający człowieka, a fioletowe światło pulsowało w jego kryształowym sercu.

— Ten człowiek z północy — rzekł Arcases, gdy Vladig skończył — kim jest?

— Mówi, że pochodzi z Cymmerii, choć ja nigdy nie spotkałem nikogo z tego plemienia.

Kraina znajduje się gdzieś na północ od Akwilonii.

— Tak, właśnie tam. Tamtejsi ludzie są niezwykle waleczni, choć rzadko opuszczają swój kraj.

— Jak większość ludzi z północy walczy mieczem i nosi go zawsze ze sobą przy pasie.

Zachowuje się jak wojownik i ma spojrzenie orła.

— Przerażający człowiek. Ale z drugiej strony świat pełen jest chełpliwych wojowników z ostrymi mieczami. To głupie i próżne. Tylko wielka magia ma wartość.

— Rzekłeś, panie — odparł pokornie Vladig.

— Dobrze. To, co usłyszałem od ciebie, jest miłe moim uszom. Powiedz mi, gdy będą chcieli wyruszać. Wtedy podążymy ich śladem.

— Wybacz mi, panie, ale dlaczego nie mielibyśmy wyruszyć przed nimi? Stąd ruszą na pewno szlakiem na południe. Możemy znaleźć odpowiednie miejsce na zasadzkę i tam na nich zaczekać. Nie będą w stanie skutecznie się obronić i wpadną w nasze ręce jak dojrzały owoc. Głęboko osadzone oczy Arcasesa wpatrywały się w sługę.

— Powiedziałem, że pojedziemy za nimi. Ja zdecyduję, kiedy będzie odpowiedni moment do ataku, a tobie nie wolno zakładać, że nie będą w stanie skutecznie się bronić. Przed chwilą sam powiedziałem ci, że miecze wojowników to marność. — Vladig poczuł się urażony, ale skłonił się nisko.

— Jak mój pan rozkaże — raz jeszcze ukłonił się i wycofał z pokoju.

Arcases dalej czarował swojego kryształowego człowieka sprawiając, że postać chodziła po stole, naśladowała ruchy walczącego, a potem tańczącej kobiety. Zmęczony tą zabawą

czarownik strzepnął na koniec palcami i kryształy spadły układając się w stos. Fioletowy blask zbladł i w końcu zgasł.

Czarownik zamyślił się przebierając palcami wśród leżących kamieni. Wreszcie zgarnął je wszystkie do skrzyni ozdobionej kością słoniową z brązową pokrywą.

Znalazszy gospodę Cymmerianin wszedł i przyłączył się do reszty. Zjadł porcję baraniny przyprawionej na ostro i trochę owoców, a potem opowiedział o spotkaniu z Vladigiem.

— Czy sądzisz, że jego informacjom można ufać? — spytała Yolante. Siedziała obok brata, ale jak zwykle nic nie jedli, a ich kubki stały przed nimi nietknięte.

— Wszystko, co mówił było rozsądne — odparł Conan — ale, gdy stąd wyjdziemy, porozmawiam też z innymi ludźmi prowadzącymi karawany. Dziwi mnie tylko, jak mało interesował się mną samym. Zazwyczaj, gdy pijesz czyjeś wino, musisz odpowiadać na jego pytania, a nie odwrotnie.

— Tak, mnie też wydaje się to dziwne — rzekła Achilea.

— A mnie się zdaje — rzekł Kye-Dee — że gdyby ten człowiek miał złe zamiary, próbowałby bardziej naciskać Conana, żeby zdobyć więcej informacji. Może to święty człowiek, który składał przysięgę, że będzie pomagał ludziom.

— Nie — odparł Conan. — To wojownik. Jestem tego pewien.

— Za dużo hałasu o nic — rzekł Kye-Dee. Zawinął kawał baraniny w placek chlebowy, zamoczył w sosie i z pełnymi ustami powiedział: — Powiedz mi, jak wygląda, a ja pójdę go zabić. Nie będziemy musieli się dłużej tym przejmować.

— Nie — powiedział Monandas śmiejąc się. — Naszych trudności nie da się tak prosto rozwiązać. Conanie, czy zdawało ci się, że ten człowiek mówił tylko w swoim imieniu?

— Zastanawiałem się nad tym już w czasie rozmowy. Na pierwszy rzut oka wydawał się szczery, ale było coś w jego zachowaniu, co mogło oznaczać, że jest psem na czyichś usługach. Ponieważ udzielał informacji tylko o szlakach przed nami, można przypuszczać, że chciał skierować nas tam, gdzie kazali mu jego panowie.

— To bardzo przebiegłe — rzekła Yolante. Nie wiadomo, czy miała na myśli perfidię tamtego człowieka, czy przypuszczenia Conana.

— W takim razie nie możemy jechać tam, gdzie oni chcą — rzekła Achilea.

Conan potrząsnął głową.

— Nie mamy wielkiego wyboru. Na pustyni nie ma licznych przejezdnych dróg, a nawet na tych, które są, może być nam trudno przeżyć. Poza nimi nie mamy innych.

— Nie lubię, gdy są takie ograniczenia — mruknęła Achilea.

— A jednak pojedziemy na pustynię — powiedział Monandas łagodnie. — Nie na stepy ani górzyste okolice, które znacie tak dobrze. Na pustyni trzeba dostosować się do warunków pustyni, choć niekoniecznie musi to być dla nas niekorzystne, bo inni też nie mogą zrobić inaczej.

— Kim są ci inni? — zapytał Kye-Dee.

— Zawsze znajdują się tacy, którzy będą chcieli pochwycić bezbronną zdobycz — odrzekła Yolante. — Bez wątplenia tacy uważają za swój obowiązek rozpytywać się, kto gdzie jedzie, by móc zastawić sidła.

— W takim razie nie ma żartowania — rzekł Kye-Dee łykając sporo wina ze swojego

kubka. — Nasze strzały i miecze dotrzymają wam towarzystwa. — Kye-Dee i jego

ziomkowie nie lubili zbytnio zastanawiać się nad czymkolwiek. Dopóki mieli wina i jedzenia pod dostatkiem, nie przejmowali się jutrem, a niepokój innych brali za brak męstwa. W życiu jednak niebezpieczeństwo było rzeczą realną.

ROZDZIAŁ V

Pozostawili Khauran za sobą. Przejechali przez to niewielkie królestwo prawie

niezauważeni. Z każdym dniem drogi na południe ziemia stawała się coraz suchsza. Coraz mniej było pochmurnych dni, a deszcz spadał niewielki i rzadko. Wkroczyli na ziemie nie należące do żadnego królestwa, bo ziemia była tu jałowa i źródła wody występowały rzadko i niewystarczająco do utrzymania przy życiu jakiegokolwiek armii, która mogłaby bronić tych terenów dla któregoś z królów.

Okolica składała się z niskich wzgórz, rzadko kiedy wysokich na tyle, by w ogóle

zasługiwać na to miano. Teren poprzecinany był głębokimi wąwozami, których dna

pozostawały suche przez większą część roku. Zwierzęta były mniejsze niż na północy i nie przemieszczały się w stadach. Najliczniejsze były wdzięczne gazy i impala, stworzenia nie potrzebujące wiele pożywienia ani wody i dzięki swojej szybkości umiające unikać

wielkouchych kotów pustynnych, które pojawiały się w tej okolicy nocą.

Wędrowcy nie używali już swoich ciężkich płaszczy i skór, przynajmniej podczas drogi w dzień. Zgodnie z radą Conana zakupili luźne, lekkie tuniki, właściwe do podróży przez suche tereny południa. Zapewniały osłonę przed żarem słońca i były odpowiednio przewiewne.

— Będziemy potrzebowali naszych ciepłych rzeczy, gdy zapuścimy się głębiej w pustynię

— przestrzegł Conan — więc nie wyrzucajcie ich.

— Myślałam, że im dalej na południe, tym bardziej robi się gorąco — powiedziała Achilea.

— Tak — odparł Conan. — Słońce grzeje od góry, a kamienie i piasek odbijają ciepło w twarz jak wielkie lustro i to staje się nie do wytrzymania. Jednak z jakiejś przyczyny ani kamienie, ani piasek nie trzymają ciepła tak, jak ziemia, trawa i drzewa. Gdy tylko słońce zachodzi, powierzchnia szybko stygnie i do północy jest tak zimno, że prawie zamarzłaby woda.

— To jest nienaturalne — zaprotestował karzeł — gorąca kraina powinna być gorąca także po zmroku. — Na twarzy Conana pojawił się blady uśmiech.

— W takim razie wyrzuć swój płaszcz. Tylko nie prosz mnie, żebym ci pożyczył swojego

którejs zimnej nocy na piaskach.

Od czasu do czasu Cymmerianin zostawiał wszystkich i zawracał na przebyty przez nich szlak. Z wygodnych wzniesień obserwował teren za nim w poszukiwaniu ewentualnego

pościgu, Czasami widać było inne karawany, a dwa razy zdarzyło mu się dojrzeć uzbrojonych tubylców na małych, krępych konikach. Nie było to nic niezwykłego i nie przedstawiało żadnego niebezpieczeństwa dla nich dobrze uzbrojonych i wyszkolonych. Wciąż dręczyła go myśl o człowieku, z którym rozmawiał. Jego podejrzenia nie zniknęły ani na trochę, a tajemniczość bliźniąt nie polepszała sytuacji.

Trzeciego dnia drogi przez pustynię spostrzegli chmurę sępów i innych padlinożernych ptaków unoszących się i kołujących o jakąś milę przed nimi.

— Tam musi być padlina — zauważył Kye–Dee.

— I to coś więcej niż jeden człowiek albo wielbłąd — dorzuciła Achilea — jest zbyt dużo ptaków.

— Zachowajmy ostrożność — poradził Conan — choć nie sądzę, żebyśmy mieli jakieś

kłopoty. Gdyby w pobliżu byli jacyś żywi ludzie, ptaki nie krążyłyby tak nisko. Widzicie, nawet teraz niektóre lądują.

Jechali dalej ostrożnie i już wkrótce wiatr przywiał w ich stronę okropny odór. Potem ujrzeli bezkształtne góry, a pomiędzy nimi żerujące drobne szakale i bardziej masywne hieny.

Powietrze wypełniało nieustanne warczenie i wrzask ptaków, tworząc złowrogi

akompaniament.

Konie wyraźnie zaniepokoiły się tym widokiem, odgłosami i zapachami, podczas gdy

wielbłądy zdawały się być nieporuszone. Podróżni spięli swe konie i już po chwili mogli dojrzeć, że znajdują się nad szczątkami ludzi i wielbłądów. Trupy były tak zmasakrowane i okaleczone, że nie sposób było obliczyć, ilu ludzi tu leżało. Jeden wielbłąd był jeszcze w dużym stopniu nienaruszony i to właśnie nad nim walczyły hieny. Szakale natomiast

wydzierały sobie z pysków kawałki ludzkiego mięsa. Sępy spadały z góry wyszarpując

strzępy wszystkiego, co udawało im się uchwycić. Wydawały z siebie głosy oburzenia, gdy przepędzane były raz po raz przez większe od nich stworzenia.

— Co za masakra się tu zdarzyła? — zastanawiała się Achilea, trzymając skraj swojej tuniki wokół twarzy, by nie dopuścić do nosa koszmarne smrodu.

— Karawana? — Yolante wychyliła się ze swojej lektyki z zaciekawieniem, nie okazując najmniejszego obrzydzenia.

Conan zsiadł z konia i zaczął rozglądać się po całym poboju wśród trupów. Pakunki dźwigane przez wielbłądy były porozrywane i rozrzucone wszędzie wokół. Conan dokładnie przyjrzał się wszystkim i powiedział w końcu:

— Myślę, że nie karawana. — Wskazał na strzępy pokrwawionego płótna i złączone

elastycznie paliki. — Podróżowali z dużymi namiotami. Karawany biorą tylko małe, żeby oszczędzić miejsca. Myślę, że to byli nomadowie w drodze. Spójrzcie, były między nimi dzieci i kobiety. — Wskazał na niektóre szczątki, chociaż tylko wprawne oko mogło dostrzec takie różnice jak płeć i wiek wśród tych potwornie okaleczonych zwłok.

— Nie widać było żadnych śladów, że tak duża grupa szła przed nami — powiedziała

Achilea. Odór być może sprawiał jej przykrość, ale widok nie robił na niej najmniejszego wrażenia.

— Myślę, że jechali od południa, gdy zostali zaatakowani — powiedział Conan. — Zginęło ich tu około setki.

— Można pozbierać głowy i policzyć — zasugerował Kye-Dee wyraźnie znudzony. Nie interesowali go martwi, zwłaszcza gdy ktoś przed nim zdążył ich obdrzeć ze wszystkich kosztowności.

— Nie ma potrzeby — rzekł Monandas. — Kto według ciebie, Cymmerianinie, mógł dokonać tego czynu?

— Nie widzę nigdzie strzał — odparł Conan. — Czasem da się rozpoznać plemię po rodzaju lotek. Tak właściwie — nachylił się nad ciałem, które miało jeszcze głowę i ręce — to nie widzę żadnych ran, z wyjątkiem tych zadanych przez padlinożerną zwierzynę. To jeszcze nic nie znaczy. Zniszczenie, jakiemu zostały poddane te ciała, mogło zatrzeć wszelkie ślady ran. — Jego samego nie zadowoliliby takie tłumaczenie, ale dla reszty mogło być wystarczające.

— Nie ma powodu, żebyśmy zostawali tu dłużej — rzekła Achilea z twarzą cały czas wykrzywioną obrzydzeniem. — Jedźmy.

— Jedźcie sami — odrzekł Conan. — Ja chcę się przyjrzeć okolicy i może uda mi się ustalić, kto to zrobił i dokąd stąd pojechali. Jeżeli są przed nami, lepiej będzie to wiedzieć teraz.

— Dobrze — zgodziła się Yolante — ale dołącz do nas przed zmrokiem.

Cymmerianin w odpowiedzi kiwnął głową, nie odrywając wzroku od obrazu odrażającej

rzezi. Przez chwilę chodził wśród ciał, nie zwracając uwagi na warczenie hien. Były

dostatecznie silne, żeby wlec dorosłego byka, ale jednocześnie bardzo tchórzliwie.

Interesowały je tylko słabe, bezbronne albo już martwe ofiary.

Dokonawszy obchodu, przekonany, że nie dowie się tu już niczego nowego, Conan wsiadł z powrotem na konia i zaczął objeżdżać arenę zbrodni, poszukując śladów pozostawionych przez jej sprawców. Używając starej myśliwskiej techniki, prowadził swojego konia po linii zwężającej się spirali. W pewnym momencie zatrzymał się i zsiadł z konia. Grunt wokoło był

twardy, ale właśnie tutaj spostrzegł ślady, które nie pasowały do otoczenia. Przykucnął i zaczął przyglądać im się z bliska.

W pyłe zarysowane były blado dwie równoległe linie. Wyglądało to tak, jakby zwierzę zapało się pazurami do skoku na ofiarę, zostawiając za sobą ślady. Cymmerianin zmarszczył brwi, rozejrzał się bacznie, ale nigdzie nie było innych śladów tego samego stworzenia.

Cokolwiek to było, skoczyło tylko za pomocą dwóch, zaopatrzonych w pazury łap. Zmiotł pył z jednego śladu i włos zjeżył mu się na głowie. Choć niewyraźny, odcisnięty był w kamieniu.

Wiedział, że żadne z naturalnych stworzeń nie miałyby aż takiej siły, by zostawić odciski na tak twardej powierzchni.

Cały czas przykucnięty, Conan przeszukał okolicę i znalazł jeszcze kilka takich samych śladów. Wszystkie układały się w linię łamaną. Z ułożenia głębokości zadrapań wniósł, że w momencie skoku stwory zwrócone były na południe. Od wielu dni wiatr nie zmieniał

kierunku i wiał właśnie z południa. A więc miała tu miejsce zasadzka. Wiatr unosił zapach bestii z dala od zbliżających się nomadów.

Scena, którą Conan sobie wyobraził, uczyniła go wielce niespokojnym. Znał wilki i duże koty, często polujące w grupach, ale nie znał stworzeń zdolnych do zorganizowania tak przemyślanej zasadzki. Co to mogło być?

Ofiarami nie byli niedoświadczeni wędrowcy ani nawet obeznani z pustynią członkowie

karawany. To byli nomadowie, którzy spędzali całe swoje życie wśród piasków pustynnych i pod palącym słońcem, a jednak zostali zupełnie zaskoczeni. Być może te niesamowite stwory były nieznane nawet im.

Zanim odjechał, Conan jeszcze raz obejrzał wszystkie ślady. Znalazł jeden wyraźniejszy od innych. Znajdował się w niewielkim zagłębieniu, w cieniu postrzępionego głazu, na którym rósł krzak. Nie docierało tu bezpośrednio światło słońca ani wiatr. Położył się na brzuchu i powąchał. Słabo, ale

wyraźnie jego nozdrza uderzył gryzący nieprzyjemny odór. Był ostry jak ocet, ale ten zapach nie kojarzył mu się z jakimkolwiek żyjącym stworzeniem. Wywoływał w jego pamięci wspomnienie warsztatów rzemieślniczych, gdzie za pomocą kwasu wytrawiali ostrza sztyletów i mieczy.

Jechał teraz dalej na południe, wciąż wypatrując śladów istot, które starły z powierzchni ziemi pustynne plemię. Co tajemnicze stwory chciały osiągnąć? Były głodne? Zwierzęta padlinożerne żerowały już dostatecznie długo, by uniemożliwić odpowiedź na te pytania.

Dlaczego nie było dobytku ofiar? Ludzie mogli tego dokonać, ale jeżeli tak było, starannie zatarli po sobie ślady. Conan skłonny był dopuszczać taką możliwość. Uważał się za mistrza w tropieniu, ale nie znajdował się na własnym terytorium, gdzie tubylcy umieli zacierać swoje ślady z nadnaturalną zręcznością.

Conan nie od razu chciał doganiać swoich towarzyszy, więc kluczył umyślnie wydłużając drogę. Zrobił tak w nadziei, że trafi na ślad rabusiów albo ślad jakiegoś innego zagrożenia dla podróżnych. Nie znalazł jednak nic więcej.

Dołączył do reszty o zachodzie słońca. Jeszcze zanim ich ujrzął, południowy wiatr przywiał w jego kierunku zapach opiekanego mięsa. Gdy dotarł na miejsce, okazało się, że Hyrkańczykom udało się ustrzelić wspaniałą gazelę. Był bardzo głodny, bo od rana nie miał nic w ustach, z wyjątkiem kilku skrawków suchego chleba. Podekscytowany napotkanymi okropnościami nie czuł głodu, za to teraz odczuwał go w dwójnasób.

Podjechał do ognia i zsiadł z konia. Wyciągnął sztylet i zbliżył się do żarzących węgli, na których skwierczało poćwiartowane mięso.

— Znalazłeś coś? — spytał Kye-Dee, gdy Conan odcinał kawał dobrze wypieczonego mięsa.

— Nic, co miałoby jakiś sens. Teraz dla ust mam ważniejsze zajęcie niż mówienie. — Gdy zaspokoił głód smakowitym mięsiwem, garściami suszonych daktyli i popił wodą z bukłaka, opowiedział im i o niezwykłych śladach, i o dziwnym zapachu.

— Jak kwas, powiedziałeś? — spytał Monandas z poważniejszym niż zazwyczaj wyrazem twarzy.

— Tak, znam ten zapach z warsztatów płatnerzy i jubilerów, którzy sprawdzają czystość złota. Nigdy jednak nie spotkałem istoty, wydzielającej podobny zapach.

— A nienaturalnej? — spytał jeden z Hyrkańczyków przebijając nerwowo palcami.

— Nie chcę mieć z takimi do czynienia — rzekł Conan z przekonaniem.

— Ludzie wiedzy obeznani ze sztukami naturalnymi — powiedziała Yolante —

potwierdzają, że małe stworzenia są zbudowane inaczej niż duże. Cztery lata temu Uhnas z Kordawy napisał poważny traktat o sześcionożnych istotach, w którym stwierdza, że wiele z nich wykorzystuje kwasy jako naturalną broń do przygotowania swoich gniazd, albo żeby zmiękczyć ciało ofiary przed spożyciem. Nawet zwykłe mrówki mają w swoim ciele

kwasy.

— Mrówki nie wyrastają do takich rozmiarów — odparł Conan — ani nie chodzą na dwóch nogach.

— Mimo całego szacunku dla naukowych dysput — mruknęła Achilea — myślę, że zbyt wczytujesz się w jakieś rysy na ziemi i wywąchujesz jakieś zapachy. Plemię zostało pewnie zaatakowane przez wrogów, którzy zatarli po sobie ślady. To, co zostało, wyczyściły hieny i inne zwierzęta. Nie ma tu żadnej tajemnicy. Musimy po prostu bardziej uważać, to wszystko.

— Jednak jej ton wskazywał, że sama próbuje się przekonać.

— Tak, będziemy uważać — powiedział Monandas.

Im dalej na południe, skalista jałowa ziemia, skupiska krzaków i kaktusy zaczęły ustępować piaszczystem terenom, a w końcu wydmom przypominającym fale morskie. Konie, zaczęły iść ze spuszczonej głowami, niezadowolone.

— Przy pierwszej sposobności — oznajmił Conan — będziemy musieli zamienić konie na wielbłądy. Niedaleko stąd jest oaza, gdzie krzyżują się szlaki kilku karawan. Tam znajdziemy chętnych, którzy zdążają na północ i będą potrzebowali koni.

— Nie podoba mi się ten pomysł — rzekła Achilea. — I nie podobają mi się wielbłądy! To śmierdzące, paskudne zwierzęta bez wdzięku i urody.

— Niegodne królowej, chciałaś powiedzieć? — rzekł Kye-Dee i parsknął śmiechem. —

Mnie też się nie podobają, ale Cymmerianin ma rację. Konie nie pociągną dłużej, a podróż wielbłądem jest lepsza niż na piechotę. — Pozostali Hyrkańczycy potwierdzili to gromkim okrzykiem.

— Tak uczynimy — rzekł Monandas. — Nasz cel jest jeszcze daleko na południe i musimy mieć wielbłądy.

— Wielbłądy! — powiedział przez zęby karzeł i splunął w ogień.

Następnego dnia przekroczyli łańcuch niskich wzniesień i ujrzeni kilka akrów zieleni w niewielkiej dolinie, osłoniętej od wiatru. By dotrzeć do oazy musieli przedostać się przez przełęcz wśród wzgórz, a tam czekał na nich tuzin ludzi na wielbłądach ze strzałami przy cięciwach. Byli szczupli i wyglądali groźnie w swoich spiczastych hełmach owiniętych czarnymi turbanami. Z turbanów zwisały im wielokolorowe zasłony sięgające aż do

strzemion.

— Możemy ich z łatwością sprzątnąć — rzekł Kye-Dee beznamiętnie przykładając strzałę do swojego wielkiego luku. — Nasza broń ma dwa razy większy zasięg.

— Tak — potwierdziła Achilea. — Mam nastrój na strzelanie do celu. Od wielu dni nie strzelałam do niczego, oprócz zajęcy i gazel.

— Nie — powiedział Conan. — To plemię Omri sądząc po kolorach i jeżeli widać sześcioro, to setka ich czeka w oazie. Człowiek, z którym rozmawiałem w miasteczku, mówił, że Omri przywłaszczyli sobie oazę i pobierają podatek od wszystkich przejeżdżających. Zapłacimy, bo nie mamy innego wyjścia.

— Ja dobiję z nimi targu — rzekł Monandas. Pojechali do przodu z bronią w pogotowiu, ale bez żadnych oznak wrogości. Podczas gdy Monandas układał się z przywódcą grupy. Conan i reszta bacznie przyglądali się napotkanym i sami byli obserwowani. Ludzie pustyni, jak wszyscy nomadowie, żywili głęboką pogardę do obcych. Pomagała im w tym przewaga

wysokości, jaką dawały wielbłądy. Tak szczelnie zawinięci byli w kolorowe zawoje, że można było zobaczyć tylko ręce i przenikliwe czarne oczy. Ich buty zrobione były z miękkiej niebieskiej skóry, a miecze miały długie proste ostrza.

— Płacić za wodę! — powiedziała ponuro Achilea. — To gorsze niż być w mieście.

— Nie — odrzekł Conan — bo ci pobierają opłatę tylko za dostęp do wody i do trawy.

Mieszczanie chcieliby podatku za przewóz wszystkiego i jeszcze procentu od wszelkich transakcji.

— Mieszczanie! — parsknął karzeł. — Nic dziwnego, że padają ofiarą prawdziwych ludzi.

— Ich to nie dotyczy — przestrzegł Conan. — W razie czego są groźni jak my, nie

prowokuj ich. Mam zamiar zapytać ich, co dzieje się dalej na południe i czy wiedzą coś o wymordowanym plemienu, które znaleźliśmy.

Monandas wręczył żadaną sumę i wjechali do doliny z całej siły powściągając cugle

koniom, które wyczuwając świeżą wodę jak oszalałe rwały się do cwału. Wielbłądy

zachowywały więcej godności.

Gdy konie zaspokoili pierwsze pragnienie, odciągnęli je od źródła, żeby nie pękły. Conan wydał rozkazy, żeby je wyczyszczono i należycie się nimi zajęto. Chciał, by wyglądały jak najlepiej do sprzedaży. Zadbawszy o to, poszedł szukać wodza Omri. Pobieżne oględziny wykazały, że w oazie są jeszcze trzy karawany. Jedni prowadzili kilka dodatkowych

wielbłądów i Conan pomyślał, że należy z nim porozmawiać jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu.

Plemię Omri obozowało przy samym źródle, pozwalając doprowadzać do wody zwierzęta,

ale cień palm zarezerwowali dla siebie. Conan ocenił, że było tam osiemdziesięciu zdolnych do walki mężczyzn, bez kobiet i dzieci, doliczył do tego po sześciu na straży przy każdym dojeździe. Dawało to około stu żołnierzy, tak jak przypuszczał na początku. Wiedział, że brak środków do życia powodował, że małe grupy były praktyczniejsze i formowano je z kilku szczepów tylko w celu najeżdżania miast na peryferiach pustyni.

Wodza znalazł w namiocie utkanym z koziego włosia. Siedział na podwyższeniu z siodeł i koców. Od czasu do czasu pociągał dym z ziół tłących się w małym kociołku ustawionym przy jego boku. Gdy Cymmerianin zbliżył się, przenikliwe oczy wodza uważnie obejrzały jego muskularną sylwetkę i zuchwały chód.

— Witaj wśród traw i wody mojego plemienia, nieznajomy — rzekł. Wskazał gestem na

szeroki talerz przed sobą. Leżały na nim skrawki chleba posypane ziarnami soli. — Przyjmij ten poczęstunek.

Conan usiadł ze skrzyżowanymi nogami i wziął kawałek chleba.

— Jesteś hojny, wodzu — rzekł, zanim włożył kęs do ust. Na pustyni przyjęcie chleba i soli było gestem symbolicznym i zapewniało ochronę wodza. Poczęstunek był okazaniem

tradycyjnej gościnności. Od teraz każdy czyn sprzeniewierzający się starożytnym prawom gościnności byłby ukarany bezlitośnie przez bogów.

Przez jakiś czas rozmawiali o rzeczach mniejszej wagi; warunkach na południu pustyni, możliwościach zamiany koni na wielbłądy. W końcu Conan poruszył to, co naprawdę leżało mu na sercu: sprawę wymordowanego plemienia, które napotkali. Gdy opisywał szczegóły, oczy wodza robiły się coraz szersze i widać było w nich niepokój.

— Set i Iblis! — wykrzyknął w końcu, wykonując gest odpędzania złych mocy. — Czy z ich ubiorów zostało cokolwiek?

— Znalazłem skrawki czarnego materiału z wyszytymi cienkimi, białymi zygzakami. —

Niepokój wodza wyraźnie zmalął.

— To byli Beni Nuer, bezwartościowe osobniki buszujące na obrzeżach pustyni, zbyt tchórzliwi, by zapuszczać się do jej wnętrza. To żadna strata, ale nie podobają mi się ślady, które znalazłeś!

— Co one oznaczają? — pytał Conan.

— Jadłeś mój chleb i sól, więc jestem zobowiązany cię ostrzec. Beni Nuer zostali zabici przez hadizza, demony wirów powietrznych! To nieczyste istoty z głębin pustyni, a podczas ostatniego obrotu księżyca słyszałem o trzech takich napadach.

— Co je tu sprowadza? — spytał Conan. Wódz wzruszył ramionami.

— To istoty nie z tego świata, więc któż może to wiedzieć?

— Czy wiadomo, jak wyglądają i jak zabijają?

— Nikogo nie pozostawiają przy życiu, by mógł je opisać, ale ofiary — zwierzęta i ludzie

— są rozrywane na strzępy. Ich serca, a czasem i mózgi, są zjadane.

Jasne było, że ten człowiek nie wie nic poza starymi opowieściami, ale wiadomość, że były inne podobne ataki, była wartościowa. Conan spróbował zapytać o inną sprawę.

— Czy wiesz coś o zaginionym mieście Janagar, o którym mówi się, że leży głęboko na pustyni?

Wódz roześmiał się.

— Mój przyjacielu, pustynia pełna jest zaginionych miast. Ja sam widziałem pół setki.

Wieże niektórych wciąż wymierzone są w niebo. Inne osady są tak głęboko zasypane, że tylko pomniki kolosy świadczące o ich wspaniałości wyglądają ponad piasek, przysypane po nos. To szaleństwo ludzi każe im tu budować miasta. Bogowie pustyni zawsze będą żądać tego, co do nich należy. Mądrość polega tylko na tym, by znać zamiary pustyni. Możesz zapytać Asoqua, Bajarza. On zna więcej starych historii, niż ktokolwiek z naszego plemienia i może on słyszał o tym Janagarze.

Conan uprzejmie podziękował wodzowi i wyszedł, by szukać Bajarza. Był zadowolony, że udało mu się zapewnić na tym terenie bezpieczeństwo swoim towarzyszom, bo prawa

gościnności były mocniejsze niż jakiegokolwiek inne cywilizowane kodeksy. Dotyczyło to jednak tylko samej oazy. Z chwilą gdy opuszczą jej teren, staną się dla Omri znowu

potencjalnymi ofiarami.

Dopytawszy się Conan trafił do małej zagrody, gdzie jakiś człowiek doglądał wielbłądów Omri. Był starcem jak na przedstawiciela ludu Omri, wśród których niewielu dożywało

późnego wieku. Oczy miał bystre, osadzone wśród gęstych zmarszczek. Oszczędzono mu

zbyt forsownych obowiązków, które wykonywali za niego młodszy, ale przy jego boku wisiał

wspaniały miecz, a on sam wydawał się równie gotów do użycia go, jak każdy inny członek plemienia.

Conan pozdrowił go i wyciągnął do niego bukłak z daktylowym winem.

— Wasz wódz mówi, że jesteś człowiekiem wiedzy, obeznanym z opowieściami pustyni.

Usta przykrywała mu zasłona, ale wokół oczu zmarszczki poruszyły się od uśmiechu.

— Tak też i jest, nieznajomy. — Przyjął bukłak i skromnie odwrócił twarz podnosząc

zasłonę. Opuścił ją z powrotem i oddał bukłak Conanowi.

— Dzięki ci. Jakiej opowieści jesteś ciekaw, nieznajomy? Znam wszystkie historie Rustuma Wspaniałego. Znam opowieści o królach i rozbójnikach, o ludzkiej i boskiej miłości. Mogę opowiedzieć o bitwie i o śmierci, o rozpaczach księżniczek i przekleństwach wielkich

czarowników. Co chcesz usłyszeć? — Jego głos brzmiał głęboko i pięknie, jak głos

urodzonego aktora. Conan napił się i oddał naczynie.

— Chciałbym usłyszeć o zaginionym mieście z najgłębszej pustyni.

Starzec pociągnął łyk i podał bukłak Conanowi.

— A, jest ich wiele! Miasto Mosiężne objawia się śmiertelnym raz na sto lat i z tych, którzy wejdą i odczytają wspaniałe wersy wyryte w złocie, jeden z trzech umiera, jeden traci rozum a pozostały otrzymuje błogosławieństwo i szczęście sprzyja mu do końca życia.

Ikhar o Perłowych Wieżach leży w ruinach, bo jego mieszkańcy zgrzeszyli ciężko przeciw bogom i spadł na nich deszcz ognia trwający przez trzy dni i trzy noce i nie oszczędził ani jednego żywego stworzenia. A czarownik z Amanopet wznosił całe miasto w niebiosa,

pałace, domy, świątynie i mury. Nigdy już nie widział go żaden człowiek. O czym chciałbyś jeszcze usłyszeć, nieznajomy? — sięgnął po wino i Conan podał mu naczynie.

— Czy znasz historię Janagaru o Opalowych Bramach?

Oczy starca zwęziły się, gdy przeszukiwał zakamarki swojej pamięci.

— Na Iblisa, przybyszu, pytasz o najstarszą i najpełniejszą tajemnic historię!

— Więc słyszałeś o nim? — ponaglał Conan.

— Tak, ale tak dawno i z tak rzadkiego źródła, że mogę być ostatnim bajarzem, który

słyszał o Janagar. Nawet w najwcześniejszej młodości zapamiętywałem opowieści starców, którzy skracali długie noce opowiadaniem i pieśniami o plemionach pustyni. Gdy byłem małym chłopcem klan mojego ojca obozował za murami Zambouli, gdzie któregoś roku

braliśmy udział w targach wielbłądów. Dzieliliśmy wodopój z maleńkim plemieniem Wadim.

W dawnych czasach byli potężnym ludem, ale zazdrosne plemiona połączyły siły i odebrały im źródła wody i sekretne pastwiska. Przez to w ciągu pięciu pokoleń z plemienia zrobiła się maleńka grupa, którą spotkałem w Zambouli. To byli ludzie pełni smutku. Ogłoszono ich przeklętym plemieniem i młodzi mężczyźni nie mogli znaleźć żon, więc plemię skazane było na wymarcie. — Starzec westchnął i pociągnął z bukłaka.

— Proszę, mów dalej — poprosił Conan nie biorąc naczyń.

— W miesiąc później, na szlaku z Kassali do Punt dowiedzieliśmy się, że Wadim wybici zostali przez Stygijczyków, którzy budowali fort w miejscu ostatniego już źródła wody, jakie pozostało temu nieszczęsnemu plemieniu. Wszystkie ich opowieści przepadły, z wyjątkiem tych, które usłyszałem pod Zamboulą.

— A jedną z nich była opowieść o Janagarze?

— Tak. Daj chwilę czasu mojej pamięci, tak dawno to było. — Staruszek sączył wino i

wpatrywał się nieprzytomnym wzrokiem przez kilka minut, po czym podjął dalej opowieść.

— Już pamiętam. W czasach tak dawnych, że dzisiejsi ludzie pustyni byli zwykłymi

rolnikami i grzebali w ziemi... — odwrócił lekko głowę, podniósł zasłonę i splunął, by okazać pogardę dla osiadłych, nawet jeśli byli to jego przodkowie. — Janagar Nikczemne lśniło niczym klejnot w żyznej ziemi, która teraz jest samym sercem wewnętrznej pustyni.

Potężne to było miasto o strzelistych wieżach i obszernych świątyniach, z których unosił się wonny dym palonych ofiar dla bogów. Bogactwo Janagaru przewyższało najśmielsze sny o bogactwie. Pałace książąt świeciły srebrem i złotem, lud nosił jedwabie i aksamity, a zwykłe ladacznice przybrane były klejnotami, których w dzisiejszych czasach pozazdrościłaby niejedna królowa. — Gesty starca były równie wymowne, jak jego język. Rysował w

powietrzu palcami wysokie wieże i ludzi martwego od dawna miasta. — Ale we wspaniałym Janagarze zamieszkało zło. Ostatni królowie i ich zniewieściali dworzanie praktykowali czarną magię. Bogactwo i potęga nie wystarczało im. Nie, oni pragnęli nieśmiertelności i uprawiali najczarniejszą sztukę, praktykowali najbardziej przerażające rytuały, byle tylko sobie zapewnić

wieczność. Stopnie świątyń spływały krwią ofiar poświęconych w

ceremoniach tak okropnych, że zdolne były pomieszać zmysły wszystkim tym, którzy to

widzieli. To rozgniewało bogów. Nie rozlew krwi, bo to podoba się bogom. Nie, rozgniewała ich niepowstrzymana ambicja czarowników z Janagaru, którzy chcieli sięgnąć po to, co boskie — starzec nachylił się i ściszył głos, jakby się obawiał, że podsłuchują go najwyższe moce. — Wiedz bowiem, o nieznajomy, że bogowie nie są naprawdę nieśmiertelni. Także i oni muszą z czasem umrzeć. I z tej właśnie przyczyny obłożyli Janagar klątwą. W ciągu jednej okropnej nocy wszyscy, którzy mogli, opuścili miasto, by już nigdy do niego nie powrócić.

Byli jednak tacy, którzy nie uciekli. Ci straszni magowie i ich świta zostali, do ostatniej chwili próbując odwrócić gniewny wyrok bogów. Tej nocy wykonywali najbardziej

przerażające rytuały i wypowiadali zaklęcia, których nigdy wcześniej nie odważyli się wypowiedzieć najbardziej zaślepieni czarownicy. Cała ziemia wokół Janagaru rozbrzmiewała odgłosami zgromadzonego zła, toczyła się bitwa między śmiertelnikami i bogami. Wtedy powstała pustynia i do dziś dnia staje się większa, a jej sercem jest przeklęte miejsce po Janagarze. — Do tego momentu wydawało się Conanowi, że historia ta przypomina wiele

innych. Zaginione miasta często kryć miały historie mieszkańców, którzy rozgniewali bogów, historię starożytnego zła i ciężących klątw. Czy z Janagarem było tak samo?

— Czy znasz — spytał Conan — legendę łączącą Janagar i hadizza, demony wirów powietrznych?

Oczy starca zaćmiły się namysłem.

— Nie, opowieść, którą słyszałem tak dawno temu o tym nie wspomina. Chociaż hadizza pojawiają się w wielu historiach i możliwe jest, że mają swój początek w upadku Janagaru.

Skoro cała pustynia bierze stąd swój początek, to pewnie jej demony także.

— Tak, to możliwe — zgodził się Conan. Wstał i podziękował starcowi i choć ten namawiał go, by wysłuchał innych opowieści, Conan musiał teraz zająć się czym innym.

Tak, jak się spodziewał, znaleźli się prowadzący karawany, skłonni wymienić wielbłądy na konie i większość dnia upłynęła Conanowi na badaniu pustynnych zwierząt. Handlarze,

którzy chcieli wcisnąć Cymmerianinowi zwierzęta gorsze, zachwalając ich rzekome zalety, musieli się srodze rozczarować, bo Conan znał się zarówno na sztuczkach handlarzy, jak i na wielbłądach. W końcu dokonali zamiany. Hyrkańczycy, Achilea i jej towarzystwo byli

zdegustowani widząc to, na czym mieli jechać.

— To najpaskudniejsze stworzenia, jakie kiedykolwiek widziałam! — wykrzyknęła Achilea z przerażeniem malującym się na twarzy.

— Na Seta! Śmierdzą nawet jeszcze gorzej niż wyglądają! — powiedział krasnolud.

— Nie ma co w wielbłądach szukać piękna — rzekł Conan rozjątrzony. — Trzeba szukać

raczej siły, wytrzymałości i serca. One nigdy nie zainspirują poety, by napisał o nich wiersz, ale są za to krzepkie i nie chorują. Zawiozą nas tam, gdzie chcemy dojechać, a nawet więcej

— przywiozą nas z powrotem.

— Mają takie ładne oczy — zauważyła Yolante — duże i brązowe. A rzęsy mają długie i pięknie wywinięte.

Jeden z wielbłądów splunął obficie tuż obok Achilei.

— Są źle wychowane — rzekła była królowa.

— Pokażę wam, jak je siodłać — powiedział rzeczowo Conan. — A potem poćwiczycie jazdę.

Zrzedząc i narzekając każdy wybrał sobie wielbłąda i przygotował do jazdy — za to zwierzęta sprawiały wrażenie, że patrzą na podróżnych z pewnym lekceważeniem.

Cymmerianin pokazał wszystkim, jak sprawić, by wielbłąd uklęknął ułatwiając dosiadanie.

Członkowie karawan i wojownicy Omri zebrali się, by zobaczyć to przedstawienie i już po chwili ryczeli ze śmiechu.

— Nie kop ich piętami — krzyczał Conan. — To nie konie i nie rozumieją, czego od nich chcesz spinając je jak ostrogami! Używaj kijka! — do każdego siodła dołączony był harap —

długi wiotki patyk metrowej długości.

Po godzinie ćwiczeń Conan zadowolony był z uczniów, którzy jakoś opanowali

podstawowe czynności sztuki jeździeckiej. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim dorównaliby w tym względnie pustynnym rozbójnikom, ale przynajmniej wiedzieli już, jak utrzymać się w siodle. Hyrkańczycy nawet wykrzesali z siebie podziw dla wysokiego wzrostu tych zwierząt, dzięki czemu ich łuki uzyskiwały jeszcze dalszy zasięg.

— Dobrze — rzekł Conan poważnie, gdy słońce dotknęło horyzontu. — Teraz już chyba wiecie, jak nie złamać karku. Jutro ruszamy na południe.

— Mam dość pustyni — mruknęła Achilea.

Conan zaśmiał się.

— Tak myślisz? Jeszcze się zdziwisz, kobieto.

— Co masz na myśli, łotrze? — spytała zaczepnie.

— Mam na myśli to, że nie widziałaś jeszcze prawdziwej pustyni, widziałaś tylko jałową ziemię.

Ta wiadomość zmniejszyła trochę pewność siebie butnej królowej. — Naprawdę? Jeśli to, przez co jechaliśmy, nie było pustynią, to jak ona wygląda?

— Rozpoznasz, gdy ją zobaczysz — obiecał. — Wygląda jak piekło, w którym wszystko wypaliły płomienie.

ROZDZIAŁ VI

— Na Seta i Ibisa! — wykrzyknął Jeyba. — Gdzie my jesteśmy?

Znajdowali się na szczycie wydmy, a przed nimi rozciągał się niezmierny obszar takich samych wydm, falujących jak morze. Wypalone słońcem niebo, nie przesłonięte ani jedną chmurą, przypominało wielką kopułę. Żar lał się z góry, niczym gniew straszego boga.

— To jest właśnie pustynia — powiedział Conan.

— Jak znajdziemy tu drogę? — spytała Achilea. — Nie ma tu drzew, wzgórz, ani nawet kamieni, według których moglibyśmy się orientować.

— Ktoś, kto zna pustynię, potrafi utrzymać się na szlaku — odrzekł Cymmerianin. —

Ważne jest, czy wiemy, dokąd zmierzamy — odwrócił się do rodzeństwa, które dosiadało swoich wielbłądów już bez lektyk. — To wy znacie to tajemnicze miejsce. Umiecie je odnaleźć?

— Z całą pewnością doprowadzimy was bezpośrednio do miejsca — odpowiedział

Monandas.

— To nie wystarczy — rzekł Conan. — Nigdy nie dotarłem do tej części Pustkowi. Dalej na południe nie będę już wiedział, gdzie są źródła wody. Jeśli są jakieś oazy, to tubylcy utrzymują je w tajemnicy. Wielbłądy mogą iść wiele dni bez wody, ale nawet one w końcu będą musiały się napić. Dla nas zapasów wody wystarczy może na dziesięć dni, nie więcej.

Yolanthe uśmiechnęła się.

— Nie obawiaj się. Nasze zapasy są wystarczające. Zatrzymamy się tutaj i odpoczniemy w cieniu, jaki uda nam się znaleźć, a gdy słońce zejdzie nisko, ruszymy dalej.

— Tak będzie najmądrzej — przytaknął Conan. — Noc to najlepsza pora na podróż przez pustynię, choć nie bardzo wierzę w te wasze poszukiwania. Wynająłem się, by bronić was przed bandytami, a nie po to, żeby zginąć z pragnienia wśród piasków.

— To dotyczy także nas — powiedział Achilea obejmując gestem siebie, swoje trzy towarzyszy i karła.

— Jeśli nie uda nam się znaleźć waszego zaginionego miasta w ciągu pięciu dni — mówił dalej Conan — będziemy musieli wracać. Nawet wtedy będziemy śmiertelnie spragnieni.

Dobrze, gdy dotrzemy do oazy ubożsi tylko o jednego lub dwa wielbłądy.

— Tyle powinno wystarczyć — odparł Monandas.

Conan pokazał im, jak zmusić wielbłądy by klęknęły, wykopać zagłębienia w piasku za zwierzętami i urządzić improwizowane namioty z koców, siodeł i harapów użytych jako paliki, by dawały im ochronę przed słońcem w najgorętszą część dnia. Całe godziny leżeli dysząc, aż słońce zniżyło się ku zachodowi i poczuli, że zrobiło się wyraźnie chłodniej. Ta odmiana dodała im sił do dalszej podróży.

Słońce schowało się za horyzont i przez kilka minut niebo rozświetlone było czerwoną poświatą. Potem szybko nadeszła ciemność. Po chwili pojawiły się pierwsze gwiazdy, później były ich już setki, a potem tysiące kryształowych światełek błyszczało na niebie. Dwie godziny później wzeszedł księżyc i pustynia stała się prawie tak widna, jak za dnia, tyle że bez kolorów, które daje słońce.

Pod tą gwieździstą kopułą poruszali się bezgłośnie, bo racice wielbłądów były cichsze od końskich kopyt. Wszystkie metalowe elementy uprzęży, według pustynnej zasady, były

wytlumione, by uniknąć brzęczenia i jedynymi dźwiękami były pomruki zwierząt.

Conan, jak to miał w zwyczaju, wyjechał daleko przed resztę, wszystkie zmysły mając w pogotowiu na ewentualne niebezpieczeństwa. Miał niejasne przeczucie, że największe

zagrożenie nie będzie pochodziło od ludzkich napastników. Jak wyglądały demony wirów?

Czy można było w ogóle z nimi walczyć? Czy stal wystarczy przeciw istotom, których pazury były tak twarde, że wryły ślady na kamieniu? Gdy tak rozmyślał, do jego boku podjechała Achilea.

— Skąd wiesz, gdzie jechać? — spytała. Mówiła cicho, bo na piaszczystym pustkowiu

nawet szept mógł być usłyszany z odległości kilkudziesięciu kroków. Conan wskazał gestem na południowy wschód.

— Monandas mówił, żeby kierować się na Mniejszego Smoka. — Konstelacja dziewięciu gwiazd lśniła tuż nad horyzontem. W jego centrum żarzyła się niczym rubin gwiazda Demona.

— W moim kraju nazywa się ją Skrzydlatym Demonem — rzekła lekko wzruszając ramionami. — Ta czerwona gwiazda jest najgorszym znakiem w całych niebiosach.

Conanowi zdawało się, jakby po raz pierwszy mówiła o czymś ze strachem.

— W takim razie to dobry dla nas przewodnik — powiedział — bo nie prowadzi nas ku dobru.

— Jak to?

Conan powtórzył jej, co usłyszał od Omriego.

— Co to oznacza? Starzec słyszał tę historię jako młodzian. Szalone bliźnięta czytały o tym w starych księgach. Czy to w ogóle cokolwiek oznacza? Z pewnością to miasto, jeśli w ogóle istnieje, jest tak stare, że jego zło już dawno zniknęło. A co do skarbu, który spodziewają się znaleźć, to myślę, że ich jedynym znaleziskiem będą piasek i kamienie.

— Jeśli to ma być najgorsze, co nas spotka, nie będę się smucił — odrzekł Conan.

— A gdy już wykonamy zadanie, co wtedy zamierzasz?

— Wojny na północy prawie się skończyły, ale są jeszcze ogromne terytoria na południu.

Zawsze coś się tam znajdzie dla wojownika. Jeśli masz dobrą rękę do broni, zawsze znajdzie się ktoś, kto za to zapłaci.

— Jak wyglądają tamte krainy? — spytała.

Cymmerianin ze zdziwieniem słuchał jej głosu, w którym nie pobrzmiwała wrogość.

Jeszcze raz wskazał na południowy wschód.

— Jeśli będziemy trzymać się tego kursu i nie pomrzemy z pragnienia, dotrzemy do rzeki Styx, którą niektórzy zwą Nil. To największa rzeka świata, a za nią leży Stygia. Nie dbam o ten kraj, bo choć jest bogaty, to nurza się w czarnoksiężskich sztukach i rządzony jest przez tyranów, którzy mają o wiele za dużo praw jak na mój gust. — Wyciągnął teraz rękę prosto na południe. — W tamtym kierunku są

Punt, Keszan i Zembabwei. To dzikie kraje gór,

dżungli i sawanny. Dzikiej zwierzyny nie da się opisać, trzeba ją zobaczyć. Stada są tak wielkie, że od patrzenia na nie męczą się oczy. Są tam gigantyczne słonie, żyrafy i małe antylopy oraz stworzenia wszystkich najmniejszych rozmiarów. Zebry, cętkowane czarno–

biało konie, pasą się przy bawołach o rogach oddalonych od siebie o dwa kroki, a zaraz obok nosorożce, które przypominają pancerne maszyny oblężnicze z rogiem na nosie długości ludzkiego ramienia. Na nie wszystkie polują drapieżne wielkie koty, lew, lampart i gepard.

Achilea była oczarowana tym opisem.

— Chciałabym zobaczyć to wszystko! Kiedyś myślałam, że poza stepami mieszkają tylko

osiadli ludzie nadający się wyłącznie do tego, żeby ich napadać. Czy ludzie z tamtych krain są dzielni?

— O tak. Wszyscy są ciemnej skóry, ale różnią się pomiędzy sobą wyglądem i językiem.

Widziałem Pigmejów niewiele ponad metr wysokich i plemiona, gdzie najniższy mężczyzna ma dwa metry.

— Jak oni walczą? — spytała z zawodowym zainteresowaniem.

— Ulubioną bronią tych ziem jest włócznia. Niektórzy używają zatrutych strzał. W

Keshanie walczy się z koni, ale dalej na południe mało kto jeździ konno. W dżungli jest wiele chorób, które zabijają konie.

— Czy są jakieś ziemie za tymi, które wymieniłeś?

— Tak i nie znam człowieka, który zaszedłby tak daleko, że zabrakłoby mu ziemi pod nogami. Czarne Królestwa są ogromne.

Achilea wskazała na zachód.

— Co jest w tamtą stronę?

— Styx robi ogromny zakręt i płynie do morza, na południe od niego leży Stygia. Na północ pierwszym ludem, który mieszka za pustynią, są Szemici, a na północ od Szem leży Koth. To pasterskie kraje, gdzie ludzie wypasają wielkie stada bydła. Są również wspaniałymi

łucznicami. Na zachód od Koth jest Argos, a potem Zingara. Wszystkie te kraje opierają się o Zachodni Ocean.

— Byłeś w tych krajach? Nie miałam pojęcia, że świat jest tak ogromny.

— Tak, w większości z nich spędziłem trochę czasu — potwierdził. — Rzeczywiście, świat nie ma końca. Tam, za nami — wskazał kciukiem za siebie z prawej strony — leżą Iranistan, Vendhya i Khitai. Ludzie mówią, że Khitai jest większy niż zachodnie krainy razem wzięte, ale skąd oni to wiedzą, nie mam pojęcia.

— Daleko w stepach mojego rodzinnego kraju — rzekła smutno — rozmawiałam z karawanami, które były w Khitaju. Rzeczywiście mówili, że jest ogromny, ale z tego, co opowiadali, jest zbyt uporządkowany i nudny jak dla mnie.

— Nie wątpię w to — roześmiał się Conan. — Całe szczęście, że jest mnóstwo dzikich miejsc dla takich, jak my. Nie mówiłem jeszcze o Ophirze, Akwilonii i Nemedii; wszystkie one są cywilizowane, bogate i lubią prowadzić wojny, albo o Pustkowiu Piktów, równie dzikim jak Czarne Królestwa. Na północ od nich jest Asgard, Vanaheim i Hyperborea i moja rodzinna Cymmeria. Nie są to bogate krainy, ale wydają niezrównanych wojowników. A za Zachodnim Oceanem z pewnością są inne ziemie, ludy i królestwa kłócące się między sobą i chętne do najazdów. Może zobaczę nawet te, zanim umrę.

— Masz serce awanturnika — rzekła, a jemu zdało się, że wyczuł nutę podziwu w jej głosie.

— Myślę, że jesteś podobna do mnie — odparł. — Nie boisz się prawie niczego, dotrzymujesz słowa i wierności przyjaciołom, kochasz niebezpieczeństwo i zawsze gotowa jesteś wyjechać za najbliższe wzgórze, żeby zobaczyć, co za nim jest.

— Oczywiście — rzekła. — Jestem królową.

— Tylko ktoś, kto nie rzuca słów na wiatr, może być przy tych szalonych bliźniętach. Skoro przyjąłem ich zapłatę, zobaczę koniec tej wyprawy. Przyznaję jednak, że rzadko zdarzało mi się godzić na coś równie głupiego. — Tym razem Achilea się roześmiała.

— Wątpię, Conanie. Myślę, że podejmujesz się różnych głupich zadań z czystej przyjemności. Ja uczyniłam tak samo szukając skarbu, który nigdy nie istniał, szukając zemsty długo po tym, jak wszyscy przy zdrowych zmysłach już dawno o wszystkim zapomnieli. Kontynuowałam walkę nawet wtedy, gdy miałam przeciw sobie taką przewagę, że nie było żadnych szans na zwycięstwo. Jaki inny sposób na życie jest wart, by je przeżyć?

Życie jest krótkie, ale powinno być pełne ducha i ognia.

— Tak jest, nie mógłbym żyć inaczej.

Jechali przez chwilę w milczeniu. Cymmerianin czuł, że jakaś więź wytworzyła się między nimi. Już

miał zamiar zbudować na niej coś bardziej trwałego, jakiś związek niepodobny do związków z innymi kobietami, gdy Achilea nagle wyprostowała się i całą uwagę

skoncentrowała na miejscu przed sobą. Przeklinając w myślach Conan zrobił podobnie. Nie mogło być gorszego momentu!

— Coś się zbliża — powiedziała cicho wyciągając miecz. Conan miał już broń na wierzchu, poruszał czujnie nozdrzami.

— Wiatr jest z tamtego kierunku, ale nie niesie zapachu demonów.

— Dzięki bogom za to — mruknęła. — Ludzie i bez demonów są wystarczająco kłopotliwi.

Ilu, jak myślisz?

Wyteżył słuch, ale dochodziły go tylko odgłosy wleczonych nóg przy akompaniamencie niskich pomruków.

— O ile się nie mylę, to jest to samotny mężczyzna albo kobieta i to nie bardzo ostrożna. To może być wabik, coś co odciągnie naszą uwagę, uspi czujność i pozwoli zaatakować nas.

— Nie jestem wieśniaczką! — rzekła poirytowana. — Wiem to bardzo dobrze.

Wzruszył ramionami. Tyle wyszło z ich nowo nawiązanej intymności. Teraz mógł już

dostrzec zbliżającą się postać. Krok niedbały i rozkołysany był krokiem mężczyzny. Gdy zbliżył się, mruczenie przeszło w niską, przypominającą pogrzebową, pieśń. Nieznajomy z pewnością nie był szczęśliwy. Wydawało się, że ich nie zauważa, aż znalazł się o dziesięć kroków. Wtedy spojrział w górę i westchnął.

— Ahhh! Kimkolwiek jesteście, litości, państwo moi, to tylko ja Amram,

najniezszczęśliwszy z ludzi. Nie uczynię wam nic złego.

Achilea zaśmiała się krótko.

— Prawdę mówisz, to nie o ciebie nam chodzi. Jesteś sam?

— O, tak. A wy?

Conan zignorował pytanie.

— Musisz więc być wielkim głupcem, skoro podróżujesz przez te piaski samotnie, a to czyni mnie podejrzliwym, bo ta pustynia jest często zwana Rzeźnikiem Głupców.

— Nie tak zaczynałem — powiedział Amram ze spuszczoną głową. — Panie, pani, smutna

jest moja opowieść.

— Nie wątpię w to — rzekła Achilea — bo taki biedak, jak ty nie mógłby opowiedzieć żadnej innej.

— Miej go tu na oku — rzekł cicho Conan. — Ja pojedę do przodu wywęszyć zasadzkę. Gdy usłyszysz odgłosy walki, zarżnij go i dołącz do reszty.

— Dobrze — odparła. — Ty znasz niebezpieczeństwa pustyni lepiej niż ja.

Conan odjechał pół mili, robiąc mnóstwo skrętów i zaglądnijąc w każde miejsce, gdzie mogłaby być pułapka. Wiedział, że ludzie pustyni potrafią leżeć pod kocami i matami ze słomy, przysypani piaskiem czekając godzinami na swoje ofiary. Gdy już prawie są pod kopytami ich wierzchowców, podnoszą się spod piasku niczym demony spod ziemi,

wrzeszczą przeraźliwie i młócą mieczami, aż napadnięci leżą w kałuży krwi, a ich dobytek zostaje zrabowany. Zostawiają jednak ślady, które bystre oczy jak jego potrafią rozpoznawać, a nic takiego nie widział.

Zadowolony, że nie znalazł zasadzki, wrócił do Achilei. Obcy stał bojaźliwie przy jej wielbłądzie. Był niewysoki i drobnej budowy. Jego opuszczony kaptur odsłaniał ptasi nos, pod którym ukazał się uśmiech, gdy Achilea widząc wracającego Conana schowała miecz.

Conan i Achilea ruszyli dalej tym samym szlakiem.

— Idź pomiędzy nami, człowieku — rozkazał Conan, a tamten potulnie usłuchał. — A teraz opowiedz nam swoją historię.

— Wiedźcie zatem, że jestem kupcem z Baruby w Keshanie.

— Akcent twój wskazuje na Koth — powiedział ze znawstwem Conan.

— Tak. Mój ojciec był wielkim kupcem, którego wspaniała posiadłość leżała w idyllicznych wzgórzach Ramat, niedaleko...

— Twoja mowa jest nie tylko z Koth — przerwał mu znowu Conan. — Jest z Khorszemisz!

— Jak właśnie miałem powiedzieć, dom handlowy mego ojca leżał w świątynnej dzielnicy tego miasta...

— Nie, z Khorszemisz — kontynuował niestrudzenie Conan — ale wręcz z Bagien, okolicy podejrzanych spelun i nor o złej sławie nad rzeką.

Amram zazgrzytał zębami, ale mówił dalej.

— Widzę, że wiele podróżowałaś, panie. No tak, mój ojciec nie był aż tak wielkim kupcem.

Miał zakład zastawów, ale był, to najlepszy taki sklep w okolicy... — przerwał z krzykiem, bo Conan nachylił się do niego z siodła i chwycił jedną ręką za szyję. Nie zacisnął jednak palców i wyczuł dziwnie szorstką skórę tuż nad obojczykiem.

— Jeśli jesteś synem szanowanego lichwiarza — rzekł Cymmerianin — to dlaczego nosisz na szyi ślad obroży stygijskiego niewolnika?

— Nie przeszliśmy jeszcze stu kroków — powiedziała Achilea — a ta kreatura zdążyła już spaść z pozycji kupieckiego książećcia do niewolnika. Ciekawe, jak nisko może jeszcze upaść?

Palce Conana zacisnęły się mocniej.

— Jeszcze niżej od niewolnika jest trup. Chciałbyś spróbować tej roli, Amram?

— Litości, panie! — krzyknął Amram. — Naprawdę źle mnie zrozumiałaś! Dawno temu

służyłem w armii Koth, gdy prowadziliśmy wojnę ze Stygią. Zostałem pojmany i spędziłem w tamtym kraju jakiś czas, w stanie niezupełnej swobody, ale to był los często spotykający żołnierzy. Na pewno nie można się w nim dopatrzeć niczego haniebnego.

— Jak więc trafiłeś na to pustkowie, łotrze o języku węża? — spytała Achilea.

— Właśnie miałem o tym opowiedzieć, wielka i mężna pani! Nie bądź tak niecierpliwa!

Smak opowieści kryje się w jej niespiesznym rozwoju, a nie w pośpiesznym i nie przemyślanym wylewaniu treści, jak wody z wielkiego akweduktu.

— Dziwne — zadumał się Conan — jakich ludzi spotyka się pośrodku pustyni i nocy.

— Lata temu uciekłem ze stygijskiej niewoli i udałem się do Keszanu. Tam urządziłem się jako handlarz i z czasem dorobiłem się własnej karawany. Moje wielbłądy były najlepsze i każdego roku odbywałem trasę z Baruba do Punt, stamtąd do Kutcherneś i Zambouli, a potem z powrotem.

— A czym handlowałeś? — dopytywał się Conan.

— Niczym niezwykłym: kością słoniową, piórami, perłami, które napływały z zachodniego wybrzeża poprzez Kusz i Darfar, niewolnikami i tak dalej. W drodze powrotnej często

woziłem przyprawy, wschodnie jedwabie, dużo lepsze niż stygijskie, szlifowane kamienie, niewolników rzadkich ras, tych ostatnich wymieniając w Stygii na dobra tego kraju, i wspaniałe szemickie szkła, a potem wracałem do Baruby, gdzie mam kilka żon i chyba z kilka tuzinów dzieci.

— Towary, które wymieniałeś, są wysoko opodatkowane w Stygii, zwłaszcza jedwab — zauważył Conan. — Czy udawało ci się zwodzić celników?

Amram wzruszył ramionami.

— Nie widzę powodu, by sprawiać władzom więcej kłopotu, niż to konieczne. Jestem bardzo zręczny w unikach.

— Jesteś więc przemytnikiem! — powiedziała Achilea.

— A który z szanujących się handlarzy nie jest? — spytał Amram z niekłamanym zdziwieniem w głosie.

Conan roześmiał się w głos.

— O tak, to prawda! No dobrze, opowiedziałeś nam radosną część swoich losów i chyba możemy uwierzyć w niewielkie fragmenty. Teraz czas na opowieść smutną.

Amram westchnął żałośnie.

— Przyszły ciężkie czasy dla karawan. Na południu wiele wielbłądów wymarło na nieznaną chorobę. Na północy wyschły źródła wody, przez co grabiące plemiona stały się jeszcze bardziej drapieżne. Nie mogłem zgromadzić wystarczającej ilości towaru ani znaleźć

doświadczonych ludzi do prowadzenia zwierząt. I tak to, niestety, popełniłem szaleństwo. —

Tu Amram wydał z siebie prawdziwie żałobne westchnienie.

— Na czym polegało owo szaleństwo? — spytał Conan, wiedząc z doświadczenia, że nadszedł czas, by przyspieszyć tę niespiesznie rozwijającą się opowieść. Taki był rytuał południowych opowieści.

— Przyjąłem kontrakt od nieznanego człowieka, który nie znał pustyni, głupca ze straceńczym zadaniem.

Conan poczuł dreszcz i spojrzał na Achileę. Ich oczy spotkały się.

— Cóż to było za zadanie?

— Byłem w Kutcherneś już tylko z ośmioma zwierzętami, jedno było z nadszarpniętym

zdrowiem. Moi ludzie odeszli, by szukać bardziej obiecującego zatrudnienia. Wtedy zjawił

się tamten. Powiedział, że nazywa się Firagi i chce wynająć karawanę, która zabrałaby go w najgłębszą pustynię. Wszyscy inni, do których się zwracał, nawet nie chcieli go słuchać, ale ja nie miałem właściwie wyboru. Byłem zrozpaczony.

— Opisz go, tego człowieka — rzucił krótko Conan.

— Wysoki, chudy, bardzo dobrze ubrany. Nie pochodził chyba z żadnego ludu, który znam, i mówił z dziwnym akcentem. Domyślałem się, że może jest Iranistańczykiem. Miał w sobie coś z uczonego, ale nie sprawiał wrażenia niedoświadczonego w sprawach tego świata. Był

arogancki i zuchwały jak niektórzy nieprzyjemni kapłani stygijscy.

— Wiem, co masz na myśli — zapewnił go Conan. — Mów dalej.

— Powiedział, że zapłaci za wynajem ludzi i zapasy. Zgodziłem się, ale jedynie największe zbójce były gotowe podjąć się tak ryzykownego zadania, a jak wiesz, tacy są najgorszym rodzajem łotrów.

— Tak, wiem coś o tym — rzekł Conan.

— Co spodziewał się znaleźć w najgłębszej pustyni? — spytała Achilea.

— Z początku milczał na ten temat, ale z upływem dni, gdy nie znajdowaliśmy nic prócz jałowego piasku, moi ludzie zaczęli szemrać. Wtedy powiedział nam o wspianiałym, pełnym skarbów mieście, zaginionym pośród piasków pustyni — Amram zamyślił się na chwilę. — O

wielu dziwnych rzeczach słyszałem nieraz, więc czemu nie? Ważne, że ta obietnica

rozbudziła chciwość wśród ludzi i dodała im sił do dalszej wyprawy, choć niebezpieczeństwo było oczywiste. Wtedy jeden z nich zniknął.

— Uciekł? — spytał Conan. Amram pokręcił głową.

— Nie. Pewnego ranka obudziliśmy się, a jego po prostu nie było. Obejrzałem nasze rzeczy, ale nic nie zniknęło. Cóż za głupiec opuściłby karawanę w środku pustyni bez wielbłąda, jedzenia czy chociaż bukłaka wody? Ale wszystko było na miejscu. Noc była wietrzna, więc nie mogliśmy ustalić, w którym kierunku szły ślady. Stwierdziliśmy w końcu, że oszalał i odszedł na pustynię, by umrzeć. To się czasami zdarza.

Ruszyliśmy dalej. Następnego ranka zniknął kolejny. Okoliczności były te same. Od tej pory przepełniał nas lęk. Cięży na nas klątwa, mówił jeden. Demon pustyni skusił ich w głąb piasków, mówił drugi. Powiadają, że te demony przybierają postać pięknej kobiety, która wabi mężczyzn ku zagładzie. Śpiewają pieśni, którym nie sposób się oprzeć, i słyszy je tylko ten, którego wybrał zły duch. Wtedy nie może już myśleć o niczym innym, jak tylko o

odszukaniu źródła tej melodii i tylko temu poświęca myśli.

— I wtedy? — naciskał Conan.

— Nie bądź taki niecierpliwy, Conanie — zgańła go Achilea. — Noc jest długa, a ten człowieczek jest zabawny. Pozwól mu snuć opowieść, jak chce.

— Masz szczęście, Amramie — rzekł Conan. — Ta kobieta nie zawsze jest tak tolerancyjna dla męskich dziwactw.

Achilea roześmiała się, a Amram wyszczerzył zęby zadowolony, że ci, w których ręce wpadł, są w dobrym nastroju.

— Pani jest zarówno mądra, jak i piękna. Opowiem dalej. Moi ludzie byli sparaliżowani strachem. Zaczęli oskarżać naszego zleceniodawcę, że jest w zмовie z demonami i specjalnie wywabił nas na pustkowie, by nas pożarły. Człowiek ten odparł, że to czysty przypadek, że ci dwaj oszaleli, jeden po drugim, i znowu zaczął mówić o wspaniałym mieście, które musi być gdzieś niedaleko. Prosił o jeszcze jeden dzień poszukiwań. Ja byłem przeciwny, ale pozostali nie byli zbyt rożgarnięci i zgodzili się.

— I następnego dnia zniknął kolejny — rzekł spokojnie Conan.

— Nie, następnego ranka znaleźliśmy nasze bukłaki porozpruwane. Zostały tylko wilgotne plamy na piasku. Gdy opadła z nas pierwsza groza i rozpacz, zwróciliśmy nasz gniew

przeciwko Firagiemu. Tym razem stał tylko z zuchwałym uśmieszkiem na twarzy. Powiedział

nam, że teraz musimy znaleźć miasto, bo w nim są nigdy nie wysychające źródła, a tylko on wie, gdzie je znaleźć.

— Zabiłabym go za taką bezczelność i wracała z wodą czy bez — rzekła Achilea.

— Tak, ale dlatego tak mówisz, że nie znasz pustyni, piękna pani. My, ludzie doświadczeni, wiedzieliśmy, że powrót bez odpowiednich zapasów wody to pewna rychła śmierć. Żaden z nas nigdy nie odszedł w pustynię tak daleko od szlaku. Po prawdzie nie spotkaliśmy ani jednej istoty, która odważyłaby się zapuścić w te strony. To przekłete miasto mogło być tylko wytworem jego szalonego umysłu, ale to była nasza jedyna nadzieja. Nie mając innego

wyboru brnęliśmy dalej w piaski.

Conan słuchając opowieści nie zapominał o swoim głównym zadaniu, którym była ochrona karawany przed jakimikolwiek napastnikami.

Słaby wiatr nie przynosił jednak nic, oprócz szelestu upręży i westchnień wielbłądów.

Także w powietrzu unosił się jedynie zapach zwierząt, na których jechali, ponieważ w okolicy nie było najmniejszego suchego krzaka ani kolczastego kaktusa mogących napełnić spalone powietrze

jakąś wonią.

— Po trzech dniach tej okropnej podróży — mówił dalej Amram — byliśmy bliscy utraty zmysłów z pragnienia. Zabiliśmy więc jednego z naszych wielbłądów, by pić jego krew.

Używając drewna z siodła na podpałkę, usmażyliśmy jego mięso, to wróciło nam trochę sił.

Pokrzepiliśmy się, ale pozostałe wielbłądy patrzyły na nas podejrzliwie.

Wkrótce nawet wielbłądy zaczęły się chwiać, ale Firagi jechał dalej, tak jakby nie zwracał

uwagi na przyziemne drobiazgi — pragnienie, upał i nie kończąca się drogę. Miał upór fanatyka. Z przyjemnością zabiłbym go, ale wtedy i my skazani bylibyśmy na śmierć, więc odegnałem pokusę i szedłem dalej.

Wielbłądy i ludzie padali jeden po drugim wycieńczeni, a my, którzy przeżyliśmy,

zajechaliśmy niewiele dalej pijąc krew i jedząc mięso padłych zwierząt. Chcę wam,

przyjaciele, powiedzieć, że o ile krew dodaje sił, to nie gasi pragnienia, ponieważ jest słona jak woda w morzu.

W końcu tylko ja i Firagi pozostaliśmy przy życiu, wszystkie wielbłądy padły. Przyszła i na mnie godzina, w której zdałem sobie sprawę, że nie mogę iść dalej.

Gdy tak wlokłem się za Firagim, postanowiłem go zabić, zanim skończą się moje dni, żeby pomścić siebie i swoich towarzyszy, którzy choć byli najgorszymi szumowinami, to jednak poszli ze mną w to piekło. Wybrałem odpowiednie miejsce na jego plecach i wyciągnąłem sztylet. — Tu dramatycznym gestem Amram rzeczywiście wyciągnął nóż zatknięty dotąd za pasem i zaświecił ostrzem wygiętym jak kieł dzika.

— Czyn ten dałby ci o wiele więcej korzyści, gdybyś dokonał go wcześniej — rzekł Conan.

— Ucisz się, Cymmerianinie! — mruknęła Achilea, najwyraźniej oczarowana opowieścią.

— Jednak, zanim ostrze dotknęło jego ciała, Firagi wydał głośny okrzyk — mówił dalej Amram. — Stał na szczycie wydmy chwiejąc się z wycieńczenia. Nie widziałem, co wywarło na nim takie wrażenie, więc schowałem broń z postanowieniem, że wykończę go na następnej wydmie. Stałem przy nim, by przekonać się, co wyrwało z niego ten okrzyk, mając

nadzieję na niewielkie źródło. Najmniejsza i najbardziej bagnista oaza ucieszyłaby mnie stokroć bardziej niż najbogatsze miasto pełne skarbów. — Urwał, robiąc kolejną dramatyczną pauzę.

— Opowiadaj! — zażądała Achilea.

— Nie było to źródło, ale właśnie miasto.

— Czy to prawda? — spytał Conan nie chcąc wierzyć słowom obszarpanego karawaniarza.

— Tak, to prawda. Było to przynajmniej miasto, co do skarbów przekonacie się sami. Nie była do też sterta gruzów, jak wiele innych starożytnych miast na pustkowiach ze zwalonymi wieżami i posągami po szyję w piasku. Było nietknięte co do najmniejszej płytki. Miasto takie, jak Khorszemisz, gdzie się urodziłem, albo Luxur w Stygii, gdzie byłem niewolnikiem.

Zobaczycie je tak, jak ja je widziałem: za potężnymi murami wieże wznoszące się sto

kroków w błękitne niebo; niektóre alabastrowe, białe jak sól, inne z zielonego lub

purpurowego marmuru, uwieńczone brązowymi kopułami, a na szczycie każdej z nich iglica zakończona kulą albo gwiazdą, albo półksiężycem, wszystko połączane i błyszczące w

światle słońca. Wieże te były tak smukłe, że powinny były zawalić się w wielkich pustynnych burzach, zdarzających się raz lub dwa na pokolenie, siła burzy nie pozostawia cało żadnych budynków wzniesionych z cegły, oszczędza tylko niskie kamienne domy. Jednakże tam

piaskowe wichury nie zostawiły najmniejszych zadrapań na polerowanym marmurze! Czyż to nie wielki cud?

— Jeśli to, co mówisz jest, prawdą, zaiste jest to wielki cud — rzekł Conan.

— Mów dalej — powiedziała Achilea gorączkowo.

— Poniżej wież rysowały się kształty pałaców, a każdy z nich zwieńczony był brązową

kopułą. Niektóre były niskie i szerokie jak rozłożysta palma, inne smukłe i wysokie jak turban sułtana i równie bogato wysadzone cennymi klejnotami. Były też płaskie tarasy, które wzniesiono pewnie jako ogrody, takie, jakie widuje się w wielkich miastach Stygii, jednak nie udało mi się dostrzec ani na nich, ani nigdzie indziej śladu zieleni.

Natychmiast opuściło mnie pragnienie zabicia Firagiego, bo choć kosztowało to wiele, to jednak doprowadził mnie na miejsce. Wykrzyknął głośno, a jego głos przypominał ryk

spragnionego wielbłąda: „To tu! To naprawdę Janagar o Opalowych Bramach!” Wtedy po raz pierwszy wymówił imię tego miasta, imię, które, choć uważam się za obeznanego z

tajemnicami pustyni, słyszałem po raz pierwszy.

Conan i Achilea wymienili spojrzenia.

— Twoje szanse u nas wzrosły o jeden punkt — rzekł Cymmerianin z mniejszą niż poprzednio wątpliwością w głosie. — Mów dalej.

Amram pokiwał głową i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Ach, umiecie poznać się na dobrej opowieści. Dobrze, dobrze! Nigdy jeszcze nie opowiadałem niczego tak dziwnego i zarazem prawdziwego. Tak więc na łeb, na szyję zbiegliśmy z wydm w kierunku miasta i ujrzałem, że oprócz tych wszystkich dziwnych

zjawisk, które zaobserwowałem na początku, jest w tym miejscu jeszcze wiele innych równie zadziwiających. Miasto leżało pośrodku ogromnego zagłębienia w piaskach tak gładkich jak wnętrze naczynia. Nie było to bardzo głębokie zagłębienie, ale wystarczające, by miasto było niewidoczne do momentu, gdy człowiek osiągnie szczyt ostatniej wydmy. Nad głową nie było słycać krzyku ptaków, jaki zwykle słyszy się, gdy długoskrzydłe drapieżniki przemierzają pustynię w poszukiwaniu padliny i drobnych zwierząt. Nie, niebo nad Janagarem było równie martwe, jak on sam.

Martwe było. Żaden zapach dymu nie uderzał w nozdrza poprzez mury, żadna jego stróżka nie unosiła się znad domów czy świątyń. Co najbardziej niezwykle, było to, że nie dochodził

także najmniejszy dźwięk. Nawet w najbardziej sennej godzinie dużego miasta można

usłyszeć cokolwiek, na przykład chrapanie śpiącego czy potknięcia pijaka. Za miastem zawsze czuć i słycać znajdujące się wewnątrz życie, ale tam nie było nic takiego.

I wtedy, gdy już miałem uwierzyć, że to tylko sen albo miraż, usłyszałem dźwięk i to najprzyjemniejszy, jaki mogłem sobie wyobrazić!

— Ludzkie głosy? — spytała Achilea.

— Nie, to była woda! Usłyszałem dźwięk rozbryzgującej się w sadzawce wody! To dodało skrzydeł moim nogom i przebiegłem ostatnie kroki, dzielące mnie od murów miasta. Tuż obok wielkiej bramy stał wspaniały pojemnik, taki sam, jakie wystawia się pod murami do pojenia koni i wielbłądów dopiero co przybyłych z drogi. Miał dziesięć kroków długości i dwa szerokości i cały połyskiwał czystą, przejrzystą wodą. Na jednym końcu tej rynny znajdował się piedestał, a na nim głowa pięknie rzeźbionego maskarona, z którego ust tryskała cały czas woda. Padłem na kolana i zanurzyłem głowę w tej boskiej cieczy i nie wyjmowałem jej, aż zabrakło mi oddechu.

Potem ujrzałem Firagiego, głupca, który minął wodę tak, jakby jej w ogóle nie dostrzegął.

Stał wpatrując się we wspaniałą bramę, która w rzeczy samej wysadzana była opalami.

„Chodź i pij!” — krzyknąłem — „Inaczej zginiesz!” Ale on mnie nie słyszał, czy też nie chciał słuchać. Zamiast tego skrzyżował ramiona na piersi — tu Amram powtórzył ten gest pochylając nieco głowę — i wypowiedział jakieś słowa. Jakież było moje zdumienie, gdy bramy zaczęły trzeszczeć i jęczeć!

Te wierzeje były zrobione z masywnego drzewa, wysokie na dziesięć kroków i wzmocnione pasami z brązu i brązem nabijane. Tak metal, jak i drzewo pokryte były skomplikowanymi i fantazyjnymi wzorami, ale moje oczy nie miały czasu podziwiać ich piękna, bo te wielkie skrzydła zaczęły się poruszać! Powoli i majestatycznie otworzyły się na tyle, by wpuścić człowieka. Już bez

wypowiadania dalszych słów Firagi wszedł.

Byłem oszołomiony, ale tylko przez kilka chwil. Potem wstałem i zacząłem iść do tego tajemniczego miasta, które było powodem naszych wszystkich cierpień. Gdy jeszcze szedłem, bramy zaczęły się zwierać. Rzuciłem się biegiem, ale szczelina była już dla mnie za wąska.

Chwyciłem jej krawędzie, ale mój wysiłek był zbyteczny, bo po prostu wyślizgnęły mi się z rąk i zamknęły ciszej niż drzwi zwykłego domu. Wołałem Firagiego, ale on mnie nie słyszał, a raczej nie obchodził go zupełnie.

Cały dzień upłynął mi na poszukiwaniu wejścia do miasta. Krążyłem i znalazłem inne

mniejsze bramy, ale wszystkie dokładnie zamknięte. Mury zaś były zbyt gładkie, a ja nie miałem ani lin, ani haków. — Wydał z siebie kolejne głębokie westchnienie. — W końcu odszedłem.

Wiedziałem, że nie uda mi się wejść, a nie było sensu umierać tam z głodu, choć wody miałem pod dostatkiem. Byłem w pełni przygotowany na śmierć w pustyni, ale miałem szczęście i spotkałem was, wspaniali podróżnicy.

— Nadszedłeś z południa — rzekł Conan. — Dlaczego poszedłeś dalej na północ?

— Wiedziałem dobrze, że idąc tą samą drogą nie mam najmniejszych szans. Wiedziałem

też, że na północy pustynia jest odrobinę mniej niedostępna, i zdecydowałem, że tam będę miał trochę większe szansę na przeżycie.

— Wyglądasz mi na człowieka, który wykorzystuje nadarzające się okazje — rzekła

Achilea. — Czy masz przy sobie trochę tych opali?

Amram uśmiechnął się.

— Gdybym mógł napchałbym sobie nimi kieszenie, ale ornament znajdował się pięć czy sześć kroków nad ziemią. Budowniczości tego cudownego miasta nie byli głupcami, by umieszczać drogocenne kamienie tam, gdzie bez trudu można po nie sięgnąć.

— Przebyłeś długą drogę i przeżyłeś wiele przygód — rzekł Conan — a nie sprawiasz wrażenia człowieka spragnionego. Nawet nie prosiłeś nas o wodę.

Amram sięgnął za opończę i wyciągnął mały bukłak z wodą. Był piaski, ale gdy nim

potrząsnął na dnie dawał się słyszeć chłopot. — Kazałem załatać część rozprutych bukłaków i nieśliśmy jej ze sobą — wyjaśnił. — Wiedziałem bowiem, że jeśli znajdziemy źródło, to chcąc przeżyć będziemy musieli zabrać wodę ze sobą. Napełniłem je pod bramami Janagaru, wziąłem tyle, ile zdołałem unieść. Już prawie opróżniłem to naczynie, gdy spotkałem was.

Dlatego nuciłem pieśń smutku, bo wiedziałem, że za dzień, dwa umrę.

— Więc to miasto jest niedaleko stąd? — spytała Achilea.

— Trzy dni, dla ludzi na wielbłądach. A skoro mówimy już o tych użytecznych zwierzętach, czy macie może wolne zwierzę, które mógłbym dosiąść? Zbyt długo już idę pieszo.

— Nasza karawana jest niewielka — rzekł Conan — i mimo że nie my ją prowadzimy, myślę, że nasi pracodawcy pozwolą ci dosiąść zwierzę wiozące bagaże, jeśli spodoba im się twoja historia. Nie wiem, czy tak będzie, musisz przekonać się sam.

— Ach, na pewno ulitują się nad biednym wędrowcem, który stracił swoje dobra i zbłądził na bezkresnej pustyni!

— Nasi pracodawcy to dziwna para — powiedział Conan. — Idź po naszych śladach, a trafisz do tych ludzi. Znajdź dwoje jadących na wysokich nietutejszych wielbłądach i opowiedz im to, co powiedziałaś nam. Może ich nie uraduje wiadomość o tym Firagim, ale nie sądzę, żeby to zraziło ich do ciebie.

Amram ukłonił się głęboko.

— Niech bogowie pustyni mają was w opiece i strzegą was od niebezpieczeństw — to powiedziawszy odwrócił się i odszedł.

— Żaden tutejszy bóg nie dba o człowieka — odezwał się Conan, gdy tamten zniknął.

— Co myślisz o Amramie i jego historii? — spytała Achilea.

— Myślę, że to bardzo dziwne, że spotkaliśmy go na takim pustkowiu wśród ciemności.

— Tak. Zauważyłeś, że ani razu nie spytał, dlaczego tu jesteśmy i czego szukamy wśród piasków? Oczywiście, był na wpół obłąkany i to może wiele tłumaczyć.

— Może — zgodził się Conan. — Ale to na pewno nie jest ostatnia dziwna rzecz, jaka przytrafia nam się podczas tej szaleńczej wyprawy.

ROZDZIAŁ VII

Rodzeństwo zdawało się promienieć. Historia Amrama uszczęśliwiła obydwójce i teraz mały człowieczek jechał na wielbłądzie tuż przed nimi, prowadząc do cudownego miasta. Za nim jechali pozostali: Achilea i jej świta, Conan. Kye-Dee i Hyrkańczycy. Wszyscy odczuwali radość pomieszaną z niepokojem. Przynajmniej nie błąkali się bez celu po pustyni, ale dziwa, o których

opowiadał Amram, poruszały ich umysły.

— Czemu Monandas i Yolanthé są tacy szczęśliwi? — mamrotał Jeyba, karzeł. — Zupełnie jakby im ubyla jakaś troska. A przecież mówili, że wiedzą, gdzie jest to miasto. Po co im przewodnik? — wierzchem swojej szerokiej dłoni wytarł pot z czoła. Mając przewodnika, rodzeństwo zdecydowało się podjąć trudy dziennego marszu.

— Domyślam się — rzekł Conan — że mniej więcej znają okolicę, wiedzą, gdzie leży miasto, ale niezbyt dokładnie.

— I to tylko ze starożytnych ksiąg i opowieści — dodała Achilea. — Relacja tego człowieka potwierdza, że ono istnieje i że jest nienaruszone.

Conan klepnął swojego wielbłąda w szyję, a zwierzę wydało z siebie pomruk niezadowolenia.

— Zwierzęta słabną i muszą się szybko napić. Wytrzymają jeszcze dzień lub dwa, o ile w tej opowieści jest choć szczypta prawdy.

— A jeśli nie? — spytała Achilea.

— Wtedy tak jak on przekonamy się, jak długo można wytrzymać pijąc wielbłądzą krew.

Potem czeka nas pewna śmierć, bo w pogoni za tym marzeniem zabrnęliśmy już zbyt daleko, by móc zawrócić, i długo musielibyśmy iść przed siebie. Z tego, co mówił Amram, pustynia na południu jest jeszcze bardziej jałowa niż ta, którą przeszliśmy.

Achilea splunęła z obrzydzeniem.

— Nie myślałam nigdy, że istnieje jakakolwiek kraina tak zupełnie pozbawiona życia i piękna czy w ogóle czegokolwiek, co czyniłoby ją wartą odwiedzenia.

— Tak — rzekł smutno Kye-Dee. — Od wielu dni nie widzieliśmy nic, do czego warto byłoby strzelać, prócz jaszczurek. Co warta jest okolica, jeśli nie można celować w cokolwiek?

Conana martwiło coś więcej niż tylko brak zwierzyny. Lubił świeże mięso, ale mógł długo bez niego wytrzymać. Odwrócił się do Achilei.

— Jedź za mną na tę wydnię — rzekł wskazując piaskowe wzniesienie o jakieś ćwierć mili w lewo. — To najwyższy punkt, jaki napotkaliśmy od wielu dni. Stamtąd będziemy mogli rozejrzeć się.

Wjechali na szczyt, z którego można było objąć wzrokiem monotony krajobraz, otaczający ich ze wszystkich stron.

— Nieczęsto prosisz, bym towarzyszyła ci w zwiadach.

— Chciałem porozmawiać z dala od reszty.

— Tak też pomyślałam. Co cię trapi?

— Najpierw tylko bliźnięta szukały Janagaru. Teraz mamy jeszcze Firagiego, i to mi się nie podoba.

— Gdy rozpoczynaliśmy wyprawę ostrzegali nas, że inni także mogą podążać tym samym szlakiem i mówili o niebezpieczeństwie, jakie to może spowodować.

— Tak, ale czy nie wydaje ci się dziwne, że tak niewiele poczynili przygotowań, by

wywieźć znaleziony skarb? Szukają całego miasta klejnotów, a prowadzą tylko wielbłądy i tylko kilka jucznych zwierząt, a i te obciążone są głównie zapasami na drogę powrotną.

Achilea zmarszczyła czoło i za chwilę odparła.

— Jednak czyż nie mówili, że celem tej wyprawy jest ustalenie, czy to miasto rzeczywiście istnieje i gdzie się znajduje? Z pewnością potem będą mogli zorganizować poważniejszą ekspedycję z setkami wielbłądów do wywiezienia skarbu.

— Tak też i mówią, ale jeśli wierzyć Amramowi, Firagi nie czynił żadnych przygotowań na powrót. Nie miało dla niego znaczenia, że wszyscy jego ludzie i zwierzęta zginęli po drodze.

Nie miał nadziei na samotny powrót przez pustynię, a jednak zignorował nawet wodę, by tylko wejść do miasta i zatrzaskać za sobą bramę.

— To pewnie szaleniec, tak jak bliźniaki są szalone — powiedziała wyraźnie zirytowana.

— Za dużo się martwisz, Cymmerianinie. Nigdy bym nie podejrzewała, że akurat ty możesz tak lękać się niebezpieczeństw.

— Nie jestem głupcem! — odparł zapalczywie. — I nie pozwolę zrobić z siebie głupca!

— W takim razie, jak to rozumieć, Conanie? — spytała. — Ta wyprawa nie miała sensu od samego początku i ja go w niej nie szukam. Zdaje się, że niełatwo cię zadowolić.

— W rzeczy samej, niełatwo — odparł — A co do tego, jak oceniam naszą sytuację, to

powiem ci tak: czegokolwiek ci szaleńcy szukają w Janagarze, nic są to klejnoty ani

szlachetne metale. To nie jest coś, co trzeba wywozić na grzbietach zwierząt i mam mocne

podejrzenie, że to nie jest też coś, czym będzie można się podzielić.

Achilea zmarszczyła czoło, nerwowo przebieierała palcami po rękojeści miecza.

— Tak, pewnie masz dużo racji — wykrztusiła w końcu. — Ale co możemy z tym zrobić tu i teraz?

— Cholernie mało — przyznał. — Możemy tylko iść dalej. Gdy jednak dotrzemy do tego

bajecznego miasta, spodziewam się pewnych wyjaśnień Monandasa i Yolante, jeśli uda im się otworzyć bramy. Stanę, tuż za nimi, gdy będą wchodzić, na pewno nie będę pił wody z pojnika!

Ku jego zdziwieniu Achilea zaśmiała się.

— Myślę, że niewielu wrogów mogłoby cię zaskoczyć z głową w wodzie. Ale wciąż nie mogę zrozumieć twojego złego nastroju. Podjęliśmy się tego zadania, by wyrwać się z Leng, czyż nie?

— Tak — przyznał ponuro.

— I czyż nie wyrwaliśmy się z Leng? — wskazała ręką niezmierną przestrzeń wokół nich.

— Tak, wyrwaliśmy — zgodził się nie mogąc powściągnąć uśmiešku. — Choć teraz Leng nie wydaje się aż tak... — urwał nagle.

— Co się stało? — odwróciła głowę, by podążyć za jego spojrzeniem. Daleko na północnym wschodzie widać było słaby błysk.

— Jeźdźcy podążający naszym śladem — rzekł.

— Tak, to nasz ślad — zgodziła się. — Pewien jesteś, że to jeźdźcy? Piasek pełen jest kawałków kryształów i błyszczących minerałów.

— To wygląda inaczej. Stal błyszczący jaśniej, a poza tym widać, jak się porusza.

Przyglądała się przez chwilę.

— Tak, widzę ruch. I jest ich więcej niż jeden. Myślisz, że to zbroja?

— Raczej groty lanc. Nie lada wojowników trzeba, by w taki upał nosić zbroję. Ci nie dbają o to, że mogą zostać spostrzeżeni, inaczej obwiązaliby groty szmatami.

— Ciekawe, kto to jest — zastanawiała się.

— Nie wiem, ale pomyślałem o człowieku, który wypytywał mnie w ostatnim mieście.

— Myślisz, że to on?

— Zamierzam dowiedzieć się tego dziś w nocy.

Tego wieczora, gdy rozbili obóz, Conan przekazał swoje spostrzeżenie bliźniakom.

— Cóż, wiedzieliśmy, że inni są na tym samym tropie — rzekł filozoficznie Monandas.

— Zamierzam ich podejść — rzekł Conan. — Gdy zapadnie całkowita ciemność, wrócę po naszych śladach i wybadam, kto to i ilu ich jest. Jeśli uda mi się podejść dostatecznie blisko, może ich podsłucham.

— Idę z tobą — rzekła Achilea.

Conan wolał wykonywać takie zadania sam, ale stwierdził, że nie jest to czas na dyskusje.

— Dobrze.

— My także idziemy — powiedziały równocześnie wszystkie trzy kobiety. Ich blade oczy świeciły przy wymalowanych pasach czarnej farby niczym wilcze źrenice.

— Nie — powiedziała Achilea, zanim Conan zdążył zaprotestować. — To jest zwiad, a nie najazd. Oczy i uszy nas dwojga wystarczą. Kiedy indziej, być może, przydadzą nam się ciche ostrza i pętle, ale nie teraz.

Kobiety podporządkowały się niechętnie, ale za to ze zdwojoną troską zabrały się do przygotowywania swojej królowej. Wyciągnęły naczynia z farbą i zdjęły z niej lekkie pustynne okrycie. Siadła prawie naga na małym dywaniku, a one pokryły jej ciało farbą w kolorze pustyni nocą, dodając ciemniejsze plamy i czarne paski.

Przygotowania Conana były prostsze. Również rozebrał się, po czym przeturlał w piasku, by jego skóra gładka i błyszcząca stała się matowa, bez żadnego połysku. Potem pokrył ciało pasami czarnej sadzy pomieszczonej z tłuszczem, zakupionej podczas przygotowań do

wyprawy. Używają jej ludzie pustyni, by przyciemnić okolice oczu przed blaskiem słońca.

W świetle księżyca oboje wyglądali jak ożywione fragmenty podłoża. Broń owinęli w

szmaty, by nie wydawała jakichkolwiek dźwięków i żeby zamaskować jej kształty. Księżyc był prawie w pełni, znajdował się w połowie drogi do zenitu. Wyruszyli wreszcie powolnym truchtem, który mieli zamiar utrzymać, aż dotrą do celu.

Ślady, które zostawili za dnia, mogły im pomóc, ale Conan wolał obrać trasę o pół mili na wschód od szlaku, mając nadzieję, że nie rozesłano straży aż tak daleko.

Conan z natężeniem wszystkich zmysłów wyszukiwał najmniejszych oznak życia i wyczuł

kilka, ponieważ nawet w najgłębszej pustyni jest życie. Prażące słońce trzyma wszystkie stworzenia w ukryciu, ale skoro tylko zajdzie, robaki, jaszczurki i małe ssaki wychodzą, by szukać pożywienia wśród skał i piasków. Wychodzą na polowania węże i inne drapieżniki.

Cymmerianin spostrzegł jaszczurkę goniącą żuka i usłyszał szelest węża wślizgującego się bokiem na wydnię. W pewnym momencie zobaczył małego pustynnego lisa o wielkich

uszach, poszukującego piaskowych myszy. Były nawet nieliczne nietoperze i sowy mające gniazda w ziemi. Fruwały nocami cicho na skrzydłach.

Conan i Achilea byli od własnego obozowiska o niespełna godzinę drogi, gdy spostrzegli przed sobą żar ogniska. Zatrzymali się, żeby poobserwować.

— Muszą mieć luźne zwierzęta juczne, jeśli przywieźli ze sobą drewno na opał —

zauważyła Achilea.

— Zdaje mi się, że dobrze przygotowali się do ekspedycji — rzekł Conan. — Wożenie

opału nie jest w zwyczaju podczas wypraw tak głęboko w pustynię. Zwykle ludzie chcą

przejść tędy jak najszybciej i obywają się bez ognia. Niewiele da się tu ugotować, a w nocy wystarczają ciepłe ubrania. Przyjrzyjmy się z bliska.

Zatrzymali się ponownie, gdy od tamtych dzieliła ich tylko pojedyncza wydma.

— Nie czuję dymu — rzekł Conan.

— Nie ma wiatru — zauważyła Achilea.

— W taką noc dym powinien leżeć na mgle i powinniśmy go wyczuć.

— Nie ma co gadać, lepiej zobaczmy.

Ostatnie parę kroków po wydnie podczołgali się na brzuchach, po czym powoli podnieśli głowy tak, że mogli patrzeć ponad linią piasku. To, co zobaczyli na pierwszy rzut oka, wydawało się normalne: było około dwudziestu ludzi, połowa siedziała przy ogniu, czterech rozstawionych jak strony świata stało na straży, inni doglądali wielbłądów, których było ze czterdzieści sztuk, reszta wypakowywała zapasy albo zajmowała się jakimiś nieistotnymi czynnościami. Conanowi coś jednak tu nie pasowało i po chwili zdał sobie sprawę, co to było.

— Ogień! — wyszeptał tak cicho, że nie usłyszałyby go mysz pustynna przebiegająca o

dziesięć kroków. Achilea nie odpowiedziała nic, ale Conan dostrzegł, jak otwiera szeroko oczy od tego, co zobaczyła.

Płomienie migotały zwyczajnie, ale dziwny był ich kolor. Widać było zwyczajne języki czerwone, żółte i pomarańczowe, ale pod nimi ogień był purpurowy i nie wydzielał się żaden dym. Nie było też słycać trzasku palącego się drewna. Płomienie wydobywały się z czegoś, co przypominało stos błyszczących kamieni. To, że dawały ciepło, było oczywiste, bo nad nimi zawieszony był niewielki garnuszek, w jakim ludzie pustyni gotują ziołową herbatę.

Także placki chleba rozłożone były na kamieniach w pobliżu ognia.

— Co to jest? — spytała Achilea. Gdy to wypowiedziała, sowa zanurkowała w dół i

porwała mysz tuż pod nimi. Sowa leciała bezgłośnie, ale mysz zdążyła wydać z siebie pisk, zanim dziób ptaka złamał jej kark. Kilku siedzących przy ogniu ludzi odwróciło się w kierunku, skąd dochodził dźwięk, a Conan i Achilea ukryci na wydnie zamarli w bezruchu.

Sowa odleciała ze zdobyczą, a ludzie powrócili do swojego posiłku.

— Widzisz tego człowieka w czerwonych butach, najbliżej ognia? — wyszeptał Conan.

— Twój znajomy z Zardas?

— Tak, to on. A ten w turbanie obok niego, to chyba przywódca.

Achilea przyjrzała mu się uważnie. Ubrany był w purpurę, królewski kolor ani trochę nie przystający do pustyni i rzezimieszkowatych towarzyszy.

— Wygląda na przywódcę — zgodziła się.

— Powinniśmy być bliżej, jeśli chcemy cokolwiek usłyszeć — rzekł. — Zatoczmy pętlę od północy i podejmiemy z tamtej strony.

— To zabierze nam dużo czasu — zaprotestowała. — Możemy przekraść się za tą wydnię, przez piaskowy żleb, do tamtego skalnego rumowiska.

— Tak, moglibyśmy — rzekł Conan — ale rano mogliby zobaczyć nasze ślady. Nadeszli z północy i mało prawdopodobne, żeby rano zmienili trasę. Nawet jeśli wyślą kogoś do

zbadania śladów, będą tak pomieszane ich z naszymi z dzisiaj i z przedwczoraj, że tylko najlepszy piktyjski tropiciel zdołałby je odczytać.

— Tak byłoby najroztropniej. Jeśli mamy być ostrożni, to bądźmy we wszystkim.

Przeczołgali się z powrotem z wydmy i ruszyli truchtem na północ, biegli skuleni cały czas przytrzymując broń w pogotowiu.

— Co myślisz o tym ogniu? — spytała Achilea, gdy skręcali ku zachodowi.

— Magia — powiedział z niechęcią. — Naszym szlakiem podąża czarownik.

— To całkiem użyteczny rodzaj magii, gdy przekracza się pustynię — rzekła. — Ogień bez opału. Jeśli potrafi też wyczarować wodę, to mają bardzo ułatwione zadanie.

— Nie ma czegoś takiego, jak dobra magia — upierał się Conan.

— Niepokoją cię konszachty z niezziemskimi siłami? — spytała rozbawiona. — Nie lubię mieć magii przeciwko sobie, ale kiedy jest używana z korzyścią dla mnie, to co innego, wtedy traktuję ją jak każdą inną broń.

— Jeśli używa się magii — rzekł z powagą — to cena zawsze okazuje się wyższa niż korzyść.

— Mów co chcesz — odparła wzruszając niedbale pięknie zarysowanymi ramionami. —

Mnie nie to nie przeraża. Oto jesteśmy.

Weszli na podeptany mnóstwem śladów szlak i skręcili ku południowi. Gdy zobaczyli

wielbłądy, zatrzymali się. Poprzez ich nogi mogli dostrzec błyski niezwykłego ognia. Połowa zwierząt klęczała.

— Dobrze byłoby podejść bliżej pomiędzy wielbłędami — rzekł Conan. — Oprócz nich nic nie daje odpowiedniej osłony.

— Żeby tylko nie spłoszyły się, bo to nas zdradzi — Achilea nadal nie czuła się pewnie wśród tych zwierząt. Nie miałyby takich obaw zakradając się pomiędzy konie.

— Teraz pewnie już nie różnimy się od nich zapachem — zapewnił ją. — Poza tym

wielbłądy wciąż wydają jakieś odgłosy. Nie powinni nic zauważyć, jeśli będziemy ostrożni.

Strażnik chodzi po sto kroków w jedną i drugą stronę. Zbliżę się i przebiegnę, gdy będzie zawracał. Ty pójdziesz za mną, gdy będzie robił drugi zwrot.

— A jeśli nas spostrzegą?

— Jest ich zbyt wielu, żebyśmy walczyli. Wybierz wtedy jakiś kierunek i uciekaj.

Spotkamy się w obozie.

Cicho jak skradający się kot, Cymmerianin zbliżył się do strażnika. Gdy był tuż przy nim zauważył, że nie jest to człowiek urodzony na pustyni. Nosił długie spodnie i kurtę, to nie był

pustynny strój, a w rękach trzymał kuszę, broń zgoła nie znaną w tych stronach. Chodząc mruczał pod nosem i wzrokiem ogarniał pustynię przed sobą. Także i to wskazywało, że nie był z tych okolic. Były to nawyki żołnierza trzymającego straż na murach twierdzy. Strażnik tutejszych plemion znacznie więcej w takich okolicznościach nasłuchiwałby, a mniej się poruszał. W pustynnej nocy słuch był daleko bardziej przydatny niż oczy. Regularny krok był

kolejnym znakiem braku doświadczenia. Na zamkowych murach nie miało to większego

znaczenia, ale na otwartej przestrzeni był to prezent dla wroga, podpowiedz, w którą stronę idzie i gdzie ma zwrócony wzrok.

Conan odczekał, aż odwrócony do niego tyłem strażnik był o dziesięć kroków od punktu zwrotu i przemknął na brzuchu między wielbłądy. Kilka zwierząt spojrzało w jego stronę, ale zachowały zwykłą znudzoną obojętność.

Zamarł w absolutnym bezruchu. Po kilku minutach Achilea przeczołgała się do niego. Tym razem nie zamienili ani jednego słowa i zaczęli centymetr po centymetrze zbliżać się do paleniska. Conan wyszukał wielbłąda klęczącego wzdłuż ognia i przeczołgał się ostrożnie tak, że leżał teraz przyciśnięty do boku zwierzęcia. Wychylił ostrożnie głowę tuż spod jego szyi.

Widział, że tuż obok niego Achilea robi to samo. Królowa sztukę podchodzenia opanowaną miała na tyle dobrze, że Conan nie miał żadnych zastrzeżeń.

Nakazał sobie na chwilę zapomnieć o tej kobiecie i skoncentrować się na ludziach przed nim, którzy skończyli swój posiłek i siedzieli teraz na dywanach rozciągniętych na piasku.

Opierali się o siodła sącząc ziołową herbatę o ostrym zapachu. Zauważył, że połowę z nich stanowili ludzie pustyni, przypuszczalnie wynajęci tylko z powodu swojego doświadczenia i umiejętności zajmowania się wielbłędami. Nosili stroje charakterystyczne dla co najmniej trzech plemion z tych stron. Reszta, tak jak strażnicy, wyglądała na zwykłych żołnierzy.

Niektórzy z nich polerowali zbroje albo oporzędzali broń. Zobaczył także co najmniej jeszcze trzy kusze. Wszyscy stanowili różnorodną mieszanicę i Conan przyjął, że są najemnikami.

Kusze były celną i potężną bronią, ale bardzo niewygodną do szybkiego ładowania, nie wspominając o używaniu jej z grzbietu wielbłąda. Ludzie pustyni woleli małe szybkostrzelne łuki.

Reszta uzbrojona była w zakrzywione miecze, długie lekkie lance i małe okrągłe tarcze.

Dalej dostrzegł człowieka, który zadowolony, że udało mu się doczyścić napierśnik,

zapakował go w płótno i schował do torby przy siodle. Conan domyślił się, że zbroje podczas drogi

przez pustynię trzymając zapakowane. Teraz zaczął przyglądać się Vladigowi i

człowiekowi w purpurowym turbanie. Tylko żelazna samokontrola powstrzymała

Cymmerianina przed wyskoczeniem, gdy ubrany w purpurę nagle klasnął trzy razy w rękę.

Płomienie znikły zostawiając tylko pulsujący żar. Teraz widać było, że pochodziły z czegoś, co wyglądało jak stosik kryształów rozsypanych na płaskim kamieniu.

— Teraz nie potrzebujemy ogrzewania — odezwał się człowiek w turbanie. — Nie wolno używać magii bez potrzeby.

— Rzekłeś, mój panie — odrzekł Vladig tonem ani w połowie tak pełnym uniżenia i obłudy jak Amram. Mimo to jednak słuch Conana wychwycił w jego brzmieniu służalczość i podłość.

— Jak długo jeszcze? — spytał jeden z najemników. — Magiczne sztuki służyły nam jak dotąd bardzo dobrze, Arcasesie. Nie słyszałem, żeby ktoś kiedykolwiek zabrnął tak daleko w Puste Krainy, ale zbliżamy się do kresu naszych możliwości. Jeśli chcemy powrócić cali i ze wszystkimi zwierzętami, powinniśmy niedługo zawracać.

— Dlaczegoż, mój Daudo? — spytał łagodnie Arcases. — Czy nie zadbałem, byście mieli ogień bez opału? — wskazał na pulsujący żarem stos kryształów. — Czy nie znajdowałem dla was źródeł, gdy ludzie z pustyni twierdzili, że ich nie ma?

— Tak czyniłeś, mój panie, i składamy ci za to dzięki, ale takie ryzyko jest kuszeniem bogów piasku. Jeśli zwrócą swój wzrok w naszą stronę i spostrzegą, że naruszyliśmy zapory, które ustawili, by chroniły ich siedziby, mogą wpaść w straszny i mściwy gniew.

— Przeceniasz swoje przewidywania biegu wydarzeń, Daudo — rzekł Arcases z lekką drwiną. — Bogowie nie zwracają uwagi na poczynania zwykłych śmiertelników, chyba że są wielkimi czarownikami, zdolnymi zakłócić myśli boskich istot.

— Nie tego uczą nas nasi przodkowie, magu — rzekł Dauda z trochę mniejszym szacunkiem. — Uczą nas, byśmy przestrzegali boskich praw i unikali wszystkiego, co mogłoby sprowadzić gniew bogów. Mamy chronić w ten sposób nie pojedyncze istnienia, ale całe plemię.

— Pochwały godna pobożność — odparł Arcases. — Zwłaszcza że wzrosła pomiędzy

rozbójnikami, złodziejami i łotrami, którzy powinni wisieć!

Dauda zdawał się nieporuszony tymi obelgami.

— Cóż obchodzą nas prawa ludzi podlejszych od nas, kupców i mieszczan? Ja mówię o złamaniu praw bogów pustyni i myślę, że ryzykujemy ich zagniewanie.

— Nie ma o czym mówić — Vladig chciał załagodzić sytuację, która stawała się nieprzyjemna. — Dotrzemy do naszego celu w ciągu dnia lub dwóch. Czyż nie, mój panie?

Arcases wpatrywał się przez chwilę w Daudę, po czym rzekł.

— Tak, zaiste, nie dłużej niż dwa dni.

Vladig odwrócił się do pustynnych.

— Widzicie? Jeszcze tylko dwa dni. Nasze wielbłądy mają wciąż tłuste garby, a i my sami dalecy jesteśmy od wyschnięcia. Jeszcze dwa dni i zawracamy. Czy to jest nie do przyjęcia?

Ręka Daudy, która już wędrowała do miecza, powoli opadła.

— Wytrzymamy jeszcze dwa dni, zgoda. Ale ani dnia dłużej.

— Dosyć tego... — Arcases urwał, bo przed nim zaczęły migotać kryształy. Wyglądało to, jakby strzelały maleńkimi iskierkami unosząc się przy tym nad ziemią. — Cóż to jest? —

zamyślił się.

— Co to oznacza, panie? — spytał Vladig.

Czarownik zaczął mrużyć coś pod nosem i kryształy zaczęły poruszać się żywiej.

Conanowi włosy zjeżyły się na głowie ze zgrozy, gdy ujrzał, że rozżarzone kamyki

przybierają kształt człowieka, który rozgląda się próbując dojrzeć coś ukrytego w mroku. W

końcu kształt zatrzymał się i wyciągnął rękę w kierunku gromady wielbłądów. Pustynni zaniepokojeni byli nadprzyrodzonym zjawiskiem i ściskając amulety szeptali zaklęcia

przeciw złu, ale Dauda spojrział w kierunku stada.

— Khazim — rzekł. — Idź i sprawdź, czy nie ma kogoś pomiędzy zwierzętami.

— Szpiega? — spytał Vladig.

— Wielbłądy hałasowałyby bardziej, gdyby to był szpieg — rzekł Dauda. — Ale idź,

sprawdź.

Człowiek nazwany Khazim zbliżył się do gromady zwierząt wyciągając miecz. Przyłączyło się do niego jeszcze trzech innych z bronią w pogotowiu. Jeden z nich kroczył w kierunku wielbłąda, za którym leżał Conan. Cymmerianin wiedział, że w nocy ludzie widzą przede wszystkim ruch, potem kształt, a koloru wcale. Sztuka pozostawania niewidzialnym nocą zasadzała się więc głównie na zachowywaniu zupełnego bezruchu. Gdy Conan wkładał w to całą duszę, potrafił sprawić, że nawet kamień zdawał się bardziej żywy od niego. W razie potrzeby potrafił nie mrugnąć oczami nawet gdy mucha chodziła mu po twarzy.

Człowiek podszedł tuż do niego i nie dostrzegł ani żadnego ruchu, ani ludzkiego kształtu.

Nie zwrócił też uwagi na podłużną postać przytuloną do boku wielbłąda, rozejrzał się wokoło i krzyknął.

— Niczego tu nie ma. A u ciebie, Wakir?

— Tylko mój niesforny wielbłąd. Ale... jest! Auuu! — wykrzyknął nagle odskakując do tyłu. — Piaskowy demon! Stałem na niego!

Coś wystrzeliło z piasku tuż pod jego nogami i Wakir zatoczył się zasłaniając rękami twarz, w którą przed chwilą uderzyła ciężka głowica miecza. Pozostali strażnicy przez chwilę osłupieni zamarli w bezruchu wśród stada.

— To nie demon! — krzyknął Arcases. — To człowiek! Biercie go żywcem!

Vladig rzucił się w kierunku zamieszania, a Conan zaklął pod nosem, bo wielbłąd, przy którym był ukryty, zaczął się podnosić. Teraz wszystkie zwierzęta podnosiły się, przestraszone niespodziewanym ruchem w środku spokojnej nocy.

Conan także wstał starając się cały czas trzymać wielbłąda pomiędzy sobą a szukającymi.

Nie chciał dobywać miecza, żeby błyskiem nie zdradzić swojej obecności, ale rękę trzymał cały czas na rękojeści gotową do szybkiego ruchu.

— Tu jest! — krzyknął ktoś. Conan usłyszał trzask i głośnie sapnięcie, potem brzęk stali.

Nie było wyjścia; mógł łatwo uciec, ale Achilea potrzebowała odwrócenia uwagi. Mężczyźni siedzący dotąd przy ogniu stali już wszyscy z wyciągniętą bronią. Conan pobiegł w ich kierunku z nagim już mieczem, z całych sił wykrzykując cymmeriańskie wojenne zawołanie.

Jego niespodziewane pojawienie się z głębi nocy sprawiło, że wszyscy na chwilę zamarli z otwartymi ustami. Byli to jednak ludzie waleczni i natychmiast jeden z nich stanął przed Conanem z tarczą i z wycelowaną włócznią. Klinga Cymmerianina rozerwała tarczę, jakby to był kawał

parcianej szmaty i dał się słyszeć odgłos łamanych kości, krzyk bólu i zdziwienia.

Drugi człowiek wyskoczył z prawej strony, ale Conan powalił go na ziemię jednym ciosem, a płaz miecza zostawił na szczęce napastnika krwawe znamię.

Arcases stał wykrzykując coś w niezrozumiałym dla Conana języku. Czarownik nie starał

się chwycić broni, tylko ręce miał wzniesione, a palce zakrzywione jak szpony drapieżnego ptaka. Jego krzyki przybrały złowieszcze rytmiczne brzmienie, a na końcach palców ukazało się światło.

Spośród gromady wielbłądów wybiegali ludzie, by stawić czoło nowemu niebezpieczeństwu.

— To on! — krzyknął Vladig. — To ten Cymmerianin! — — i z mieczem w ręku rzucił się naprzód.

Ze wszystkich stron nadbiegali ludzie. Conan uznawszy, że odwrócił już uwagę od Achilei, o ile jeszcze w ogóle żyła, postanowił uciekać. Cios mieczem, drugi pięścią odrzucił dwóch napastników na boki i Conan rzucił się w wolną przestrzeń pomiędzy nimi. W kilka sekund był już poza kręgiem ludzi. Usłyszał za sobą jęk kuszy i strzała zaszeptała tuż nad jego ramieniem. Całe ich przygotowania poszły na marne.

Z obozu dochodziły dźwięki zakłęk Arcasesa. Zastanawiał się, gdzie teraz może być

Achilea.

Jeszcze przez chwilę słyszał za sobą odgłosy pościgu. Zaraz potem doszedł go głos, który, jak mu się zdawało należał do człowieka zwanego Daudą.

— Wracać! On biega jak antylopa, nie złapiecie go. Straże! Czy wyście się pospali?

— A co z tym drugim? — dobiegł słaby głos z oddali.

— Też uciekł — odpowiedział inny głosem, w którym brzmiała bezsilność.

— To na pewno był demon!

— Demony nie walczą stałą, głupcze! — rzekł Dauda.

— Ten, który na nas napadł, to ten sam, z którym rozmawiałem w Zardas — rzekł Vladig.

— Idę o zakład, że tym drugim z mieczem była kobieta.

— Na pewno nie zrobiła mi tego kobieta! — krzyknął ktoś głosem nabrzmiałym z bólu.

Conan zaśmiał się cicho zwalniając krok. Jeśli niewiele udało im się zdziałać podczas tej eskapady,

to przynajmniej spowodowali konsternację w całym obozie. Wiedział już, że

Achilei udało się uciec, ale martwił się, czy nie była ranna. Nikt z tamtych nie pochwalił się, że komuś udało się zadać jej cios, ale w zamieszaniu wiele może się zdarzyć, zwłaszcza w ciemności.

Odrzucił jednak te przypuszczenia, nie było sensu martwić się czymś, czego jeszcze nie sprawdził. Wszystkie dźwięki ucichły. Wszystkie, prócz jednego. Conan stanął zastanawiając się, co to może być. Dźwięk był ostry i przenikliwy, inny niż wszystkie, jakie dotąd słyszał, i przyprawiał go o nieprzyjemne dreszcze. Wtedy zdał sobie sprawę, co to było — zakłęcia Arcasesa, które osiągnęły nieludzką skalę głosu.

Najlepszym pomysłem wydał mu się jak najszybszy powrót do obozu. Conan przyspieszył

kroku. Potem zaczął biec. Wiedział, że bieganie nocą po tak zdradliwym terenie było

niemądre; nawet człowiek o wielkiej sile i poczuciu równowagi mógł upaść, gdyby pod jego nogami nagle trafił się kamień. Mógł wpaść w niewidoczną dziurę i strzaskać sobie kostkę.

Mógł też nadepnąć na jadowitą żmiję i zapłacić życiem za zakłócenie jej spokoju. Najgorsze wreszcie, co mogło mu się przytrafić, to ruchome piaski, które bez trudu połykały ludzi nawet na wielbłądach. Biegając tak szybko mógłby się znaleźć bez szansy wydostania się na pewny grunt.

Teraz jednak gotów był narażać się na mniejsze niebezpieczeństwo, by uniknąć większego.

Wiedział bowiem, że czarownik przygotowuje coś specjalnie dla niego. Mag nie wiedząc, gdzie dokładnie był Cymmerianin, mógł mieć trudności ze skierowaniem swoich czarów. Tak przynajmniej pocieszał się Conan. Nie miał wyboru. Nie obawiał się żadnego wroga

atakującego go stają, ale magia — to było coś zupełnie innego.

Gdy tak biegł, rozświetlony księżycem krajobraz zaczął ciemnieć mu przed oczami. Tego się nie spodziewał. Spojrzał w górę i krew zastygła mu w żyłach, bo srebrna kula zmieniła się w krwawoczerwoną. Zobaczył, jak gwiazdy na niebie gasną po kolei. Najpierw te blade, potem jaśniejsze. Zwolnił, aż w końcu zaczął iść, bo wokół robiło się coraz ciemniej. Jeśli nierozsądne było biec przy świetle księżyca, robienie tego w zupełnej ciemności zakrawało na szaleństwo.

Zapadała bowiem bez wątpienia najczarniejsza noc. Czy czarownik był aż tak potężny, że potrafił zgasić księżyc i gwiazdy? Przecież tylko najwięksi bogowie byli do tego zdolni!

Wtem poczuł, że coś się po nim zsypuje. Przesunął ręką po skórze nasmarowanej tłustą sadzą, do której to coś się przyklejało. Zdziwiony potarł palcami drobny proszek i poczuł, że był to piasek.

Zrozumiał, że czarodziej wywołał burzę piaskową bez wiatru. Co to mogło zwiastować?

Jedno wiedział: na pustyni piasek, nie tylko ten ruchomy, mógł stać się największym zagrożeniem.

Cymmerianin szedł dalej w kierunku obozu. Nie zatrzymując się, ze szmat owijających miecz sporządził zawój na usta i nos, żeby nie połykać piasku.

Szedł teraz powoli, stawiając ostrożne kroki, z przymkniętymi powiekami tak, aby rzęsy zatrzymywały ziarna piasku. Niewiele to pomagało przy tak małych drobinach i co chwila musiał mrugać oczami, by pozbyć się cząsteczek, które dostawały się do środka. Co gorsza, nie był już pewny kierunku. Od urodzenia obdarzony był niemal nadprzyrodzonym zmysłem orientacji, daleko bardziej rozwiniętym niż u innych. Doskonalił go jeszcze przez lata spędzone w rozmaitych trudnych warunkach — od lodowych pól Asgardu po gęste dżungle

południa. Jednak nawet tak niesamowicie wyrobione instynkty miały swoje ograniczenia.

Bez światła, bez punktów orientacyjnych, bez możliwości rozpoznania siły wiatru nie miał żadnego punktu odniesienia. Miał jedynie wewnętrzny zmysł, na którym coraz mniej mógł polegać. Zdawał sobie sprawę, że czarownik nie będzie w stanie bez końca utrzymywać tej nienaturalnej burzy, ale nie leżało w jego naturze czekać biernie, aż warunki się poprawią.

Miał nieodparty wewnętrzny nakaz, by nie dać się pokonać i iść do przodu, by stawić czoło wyzwaniom. Jednakże tym razem taka walka nie przyniosłaby żadnych efektów. Istniało nawet niebezpieczeństwo, że straciwszy orientację trafiłby z powrotem do obozu czarownika.

Zdecydował zatrzymać się, póki jeszcze choć trochę orientował się, gdzie jest. Zaznaczył

nogą piasek przed sobą i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, obrócony twarzą w stronę, w którą miał ruszyć dalej, gdy tylko będzie mógł cokolwiek widzieć. Pasem ze szmaty

przewiązał sobie oczy, by ochronić je podczas oczekiwania. Skoro i tak nie mógł widzieć, nie było sensu ryzykować utraty wzroku.

Skupił się teraz, by oddychać ostrożnie i niepotrzebnie nie wdychać piasku. Było coś żalospnego w takim beczynnym siedzeniu. Conan marzył, żeby mieć teraz na sobie tunikę i nakrycie głowy. To na pewno sprawiłoby mu ulgę. Nie miał jednak możliwości przewidzenia tego, co się stanie, i pozostawało mu tylko cierpliwie przeczekać, tak jak wiele innych okropności, które przeżył.

I wtedy właśnie, gdy myślał już, że przystosował się do przetrwania najgorszego, usłyszał dźwięk. Natężył słuch, by wychwycić coś poprzez nieustanny szept ziaren piasku i usłyszał

go jeszcze raz: pisk i szelest jakby nietoperza. Ale nietoperze nie mogły latać w takiej zawierusze. Wtedy dźwięk przybliżył się i tym razem był głośniejszy niż głos nietoperza.

Conan odsunął ostrożnie przepaskę z oczu, ale nie zobaczył nic prócz przepastnych

ciemności. Odgłosy dochodziły najpierw z prawej, potem usłyszał je także z lewej strony.

Cokolwiek to było, nie było to pojedyncze. Powoli i bezgłośnie wyciągnął miecz i jeszcze ostrożniej zaczął wstawać nie podpierając się rękami jedynie dzięki sile swoich potężnych nóg. Stanąwszy nasłuchiwał, starając się wychwycić każdy dźwięk.

Wtedy stało się coś, co przyprawiło jego serce o mocniejsze bicie. Tym razem nie był to dźwięk, lecz zapach — ostry i mocny jak kwas z warsztatu grawera. Zrozumiał, że są to te same stwory, które zmasakrowały wędrowne plemię. Zacisnął zęby i przygotował się na

śmiertelną walkę. Z odgłosów, które słyszał, wywnioskował, że były dwa. Najwidoczniej także oślepiął je piasek, bo nie zaatakowały bezpośrednio. Coś jednak przyciągało je, jeśli nie dźwięki to może ciepło ciała.

Jeden zdawał się być minimalnie bliżej. Conan nie lubił walki w ciemności, nawet z

człowiekiem. Zbyt wiele znaczył wtedy przypadek. Jego barbarzyńskie zmysły potrafiły wyczuwać wroga poprzez ciemność, ale w takich warunkach nietrudno było nadzieć się nawet na niezdarne cios trzeciorzędnego przeciwnika. Teraz miał zmierzyć się z czymś, czego nie mógł dostrzec, nigdy przedtem nie widział i czego słabych punktów, jeśli w ogóle były, nie znał. Nie miał nawet wyobrażenia, czym owo coś walczyło — kłami, pazurami czy może

chwytnymi kończynami. Na pewno jednak walczyło napadając zniemacka i mordując bez litości.

Conan miał jednak pewną przewagę nad pustynnym plemieniem. Nie osłabiała go

przekonanie o niezwyciężoności piaskowych demonów, a jego uwagi nie rozpraszała

świadomość, że w pobliżu jest ktoś bliski, o kogo się lęka. Nade wszystko miał swoją siłę, szybkość, niezrównane waleczne usposobienie i cymmeriańskie serce. Umiał bić się bez lęku do ostatniego tchnienia.

Ściskając miecz w obu rękach oczekiwał pojawienia się bestii. Pisk przybrał na sile.

Znalazły go! Dał się słyszeć chrzęst i Cymmerianin poczuł falę przemieszczającego się powietrza. Obrócił się błyskawicznie w półprzysiadzie i opuścił miecz pionowym cięciem z całą siłą ramion. Ostrze natrafiło na coś, wyszarpnął je. Odskakując w bok przetoczył się i stanął znów twarzą w stronę, skąd przyszedł potwór.

Usłyszał rozzwierający uszy wrzask i poczuł ogromne zadowolenie, gdyż okazało się, że jego stwora można był zranić! Jednemu na pewno zadał ranę, a wszystko, co można zranić, można też zabić. Powietrze znów się poruszyło i Conan ciał mieczem, ale tym razem w nic nie trafił. Coś przesunęło się pod ostrzem, ale nie marnował sił na przekleństwa. Z ogromną szybkością zmienił kierunek i

spuścił klingę, ostrze zanurzyło się w momencie, gdy coś uderzyło go w korpus. W tej samej chwili Conan został przewrócony i poczuł rozdzierający płomień bólu w plecach.

Chwycił stwora za skórę pokrytą i włosami, i łuskami. Zaczął mocować się waląc mieczem w miejsce, w który powinna znajdować się głowa bestii. Coś ustąpiło z trzaskiem pod jego ciosami i poczuł na sobie ciepłą, smrodliwą ciecz. Ze zdwojoną siłą rąbał teraz i ciął, a cuchnący płyn zaczął palić mu skórę, sprawiając ból gorszy niż ogień.

Conan cofnął ramię i pchnął z całą siłą coś, co mogło być kością w miękkich wnętrznościach. Znów rozległ się straszny wrzask i potwór puścił. Teraz Cymmerianin upadł na piasek i tarzał się próbując zetrzeć z siebie palący płyn. Piasek szybko wchłaniał większość kwasu razem z farbą maskującą.

Wstał i czekał ściskając w potężnych rękach miecz. Słyszał, że bestie są jeszcze w pobliżu, wściekłe i zranione. Zgrzytliwe piski jednej z nich powoli cichły aż do ostatniego jęku. Conan uśmiechnął się — nie żyła. Druga krążyła wokół niego jęcząc i zawodząc, ale było też słyhać odgłos powłóczenia, jakby jeden z jej członków był okaleczony. Po jakimś czasie zapadła cisza.

Conan jeszcze przez chwilę stał bez ruchu, trochę odurzony kwaśnym odorem. Potem kucnął i powoli raz za razem wtykał miecz w piasek, by zetrzeć z niego ślady śmierdzącego płynu. Postanowił jeszcze czekać.

Po godzinie, przez przepaskę wyczuł słabe światło. Odsunął ją palcem i okazało się, że widoczność była lepsza, choć zaledwie na parę kroków. Światło było rozproszone, ale

wiedział, że jego źródło znajduje się z lewej strony od niego, więc wywnioskował, że patrzy na południe. Parę minut później piasek opadł i Conan mógł zdjąć bandaż z oczu, ust i nozdrzy. Na wschodzie poranne słońce wstawało nad wydmami i jego oczom ukazał się

krajobraz pozbawiony jakichkolwiek śladów zwierząt czy ludzi. Nieludzkiem sposobem wzniesiony kurz przykrył wszystko grubą warstwą.

Zanim zaczął ustalać, gdzie się znajduje. Cymmerianin coraz szerszymi spiralami

przeszukał piasek wokół, starając się znaleźć ślady walki. Zauważył, że jego pierś i ramiona pokryte są czerwonymi punktami, z których wiele miało pośrodku pęcherzyki. Obejrzał

materiał, którym przewiązał sobie oczy i głowę i spostrzegł niewielkie dziurki w załamaniach materiału. Zrozumiał, jak mało brakowało, by oślepl. Stwory, które go napadły, miały kwas w żyłach albo w ślinie.

Wszedł na górę piasku i wyciągnął miecz chcąc przekopać piasek. Zauważył, że niedawno błyszcząca stal, teraz jest pokryta czarnymi, niebieskimi i brązowymi zaciekami, na jej powierzchni było

mnóstwo małych wgłębień. Kolejny skutek działania kwasu. Szybko i dokładnie oczyścił ostrze, bo mogło zostać mocniej nadżarte.

Gdy sprawdzał piasek, natrafił na dziwne szczątki. Jeśli przypominały mu cokolwiek, to był to strzaskany pancerz kraba. Jednak ta skorupa cała pokryta była małymi garbami i gdzieś miała na sobie strzępy skóry, z której miejscami, wyrastały kępki tłustych włosów. Znalazł też kończynę z pazurami i zrozumiał, że to właśnie tym potwór zadrapał mu plecy. Z kości tego ramienia zwisał twardy strzęp przypominający obumarłe skrzydło nietoperza.

Pojedynczy, długi palec nogi zakończony był pazurem z mlecznej półprzezroczystej substancji, jak z alabastru. Wyglądał delikatnie, ale gdy Conan potarł jego końcem o miecz, w stali został wydrapany jasny ślad. To te szpony zostawiły ślady na kamieniu w miejscu śmiertelnej zasadzki na owe nieszczęsne plemię.

Ostatnim pchnięciem w piasek natrafił na czaszkę potwora. — Na Croma i Lyra! — zaklął Conan. Czaszka z kształtu i proporcji przypominała ludzką. Jednak zamiast szczęk miała rząd pionowych, palcowatych macek jak u owada, a w miejscu oczodołów były dwa płytkie zagłębienia o powierzchni dwukrotnie większej niż oczy ludzkie. Nie było nosa ani śladu nozdrzy. Wgniecenie z jednej strony wskazywało miejsce, gdzie Conan uderzył głownią miecza w chitynę.

Stwór zdawał się łączyć w sobie cechy kilku zwierząt: nietoperza, owada, a nawet gada.

Pod zwłokami leżała szklista masa. Czy był to efekt działania kwasu na drobiny piasku, czy też może efekt rozkładu miękkich części organizmu? Rozkład następował niesłychanie szybko.

W przeszłości Conan miewał aż zbyt wiele niemiłych okazji obcowania z nadnaturalnymi istotami i wiedział, że przyzywane z innego świata tutaj nie umiały utrzymać swojej cielesnej powłoki. Gdy tylko ustępowała magiczna siła, która je wywołała, uciekało z nich ich prawdziwe życie, zostawiając puste ciała na świecie, do którego nie należały.

Schował swój miecz i odwrócił się od odrażających szczątków. Był najwyższy czas, by poszukać towarzyszy.

ROZDZIAŁ VIII

Słońce było już wysoko nad horyzontem, gdy Cymmerianin zatrzymał się i zaczął kłać.

Najpierw szeptał, potem mruczał, a już za chwilę kłał głośno, by w końcu wykrzykiwać z całą wściekłością. Panteon Cymmerianina nie był zbyt liczny więc szybko przerzucił się na bóstwa Asgardu i Vanaheim — patronów rozbójników o niewyszukanych imionach. Wymienił cały

skomplikowany system religijny Nemedii i zabrał się za naprawdę dekadencjki i szorstkich bogów Zamory. Czuł się nie tylko wściekły, ale i zawstydzony.

Bo był to jeden z niewielu przypadków w życiu Conana, gdy nie wiedział, gdzie jest.

W którymkolwiek kierunku spojrział widział tylko bezkresne wydmy. Brnął na południe

przez cały ranek będąc pewnym, że zmierza prosto do obozu, ale po pierwszej godzinie wiedział już, że pomylił się w swoich rachubach. Postanowił więc iść w tym samym kierunku, ale robiąc zygżaki jak statek łapiący wiatry, miał nadzieję, że przetnie im drogę. Jednak bez sukcesu. Nie mając wyboru szedł dalej na południe. Tam zmięrzali i był to jedyny sposób, by odnaleźć swoich ludzi. Nawet nie przeszło mu przez myśl, by zawrócić na północ. Jeśli komuś mogło się to udać, to właśnie jemu, ale nie był człowiekiem, który porzucił

towarzyszy w złych obrotach losu.

Gdy tak szedł, myślał o Achilei. Czy ona też zgubiła drogę? Tęgo się obawiał. Jeśli tak było, znajdowała się w jeszcze większym niebezpieczeństwie, bo słońce wzeszło, a na pustyni słońce jest bezlitosne. Prawie nagą promienie mogły zabić przed zapadnięciem zmroku. On sam również nie miał okrycia, ale miał za sobą doświadczenie wielu lat w najgorętszych stronach świata, a dla niej była to pierwsza pustynna wyprawa. Dopiero teraz mogło się okazać, jak bardzo przyzwyczajona była do północnego klimatu.

Ze wszystkich szmat, jakie miał, sporządził zawój na głowę. Był to jedyny sposób, by nie dopuścić promieni. Ciało zostawił odkryte licząc na łut szczęścia. Tu nie było drzew ani krzaków, ani skrawka płótna, by sporządzić namiot, ani nawet skały dającej choć odrobinę cienia. Głęboka pustynia była wyprazonym słońcem pustkowiec, gdzie jedynym cieniem był

jego własny.

Przed nim nad piaskami falowało powietrze. Zagłębienia wypełniały srebrzyste jeziora —

miraże. Conan wiedział, że te złudzenia będą przybierały na sile wraz z pragnieniem. Nawet najbardziej doświadczeni pustynni podróżnicy ginęli podążając za fatamorganą, gdy brak wody mieszał im zmysły.

Z milczącym zacięciem brnął dalej nie zwracając uwagi na słońce, skwar i wzrastające pragnienie. O głodzie w ogóle nie myślał. Człowiek umiera z pragnienia wcześniej, niż zdąży odczuć głód. Gdy mordercze promienie słońca zmusiły go do mrużenia oczu — mimo resztek czarnej farby wokół — urwał pas materiału ze swojej pierwszej przepaski na oczy i

przewiązał je. Działanie kwasu sprawiło, że bardziej przypominała gazę. Dzięki temu miał niezłą widoczność, jednocześnie ograniczył dostęp promieni słonecznych.

Słońce było już nisko na zachodzie rzucając długi cień sylwetki Conana na piasek, gdy znalazł ślady stóp. Skręcały z północnego wschodu i Cymerianin przykucnął, by przyjrzeć im się uważniej. Były zbyt duże na kobiece, ale on rozpoznał w nich stopy Achilei. Nigdy nie nosiła żadnego obuwia, a podczas wyprawy Conan miał wiele okazji, by nauczyć się rozpoznawać jej ślady.

Te dodały sił i popędził prosto wzdłuż nich już bez żadnych zygzaków. Jego towarzysze mogą sobie próbować sił bez jego pomocy, on chciał teraz odnaleźć królową Amazonek.

Przez wiele mil ślady wskazywały, że szła zwyczajnie, potem jakby zaczęła słabnąć.

Zobaczył długie wgłębienia, nie miała siły już podnosić nóg. Potem ślady zaczęły nakładać się.

Najwyraźniej robiła krótkie kroki już całkiem powłócząc nogami. Szybko traciła siły.

Wkrótce zaczął znajdować ślady, gdzie upadła, doły wyciśnięte kolanami, odciski rąk, gdy starała się znów podnieść. Niedługo potem zaczęła upadać całym ciałem. Do tej pory szła prosto na południe, a dalej widać było, że zaczyna się wahać. Raz, całkowicie straciwszy orientację, zrobiła parę kroków na północ, ale musiała zobaczyć swoje własne ślady i zawróciła z powrotem na południe. Gdy Conan zobaczył ślady świadczące, że się czołgała, wiedział, że nie może być daleko. Dolna krawędź słońca dotykała już horyzontu, gdy

wreszcie znalazł Achileę.

Leżała w niewielkim zagłębieniu, skulona na boku. Nawet on, przyzwyczajony do różnych widoków, skrzywił się, gdy zobaczył jak okrutnie słońce spaliło jej ciało. Jej dotąd brązowa skóra była teraz czerwona jak cegła. Całe szczęście, że jeszcze oddycha. Rzucił się i przykucnąwszy przy jej boku delikatnie przewrócił ją na plecy.

— Zostaw mnie — powiedziała ledwie słyszalnym głosem. Patrzyła do góry, ale zdawała

się go nie widzieć. — Nie chcę, żeby ktokolwiek widział mnie w takim stanie. Odejdź. Nie, lepiej zasyp mnie piaskiem i pozwól umrzeć. Nawet po śmierci nie chcę być oglądana.

Conan uśmiechnął się z podziwem. Jeszcze był w niej duch walki.

— Zbyt łatwo poddajesz się, kobieto. Przejdziemy przez to.

— Cymmerianin? Nie, ja nie przeżyję. Nie chcę przeżyć. Jestem ślepa. Gdyby zostało mi trochę sił, sama skończyłabym ze sobą.

Conan przesunął ręką przed jej oczami, ale nie było reakcji. — Kiedy straciłaś wzrok?

— Tuż zanim upadłam po raz ostatni. Może godzinę temu. Zaniewidziałam po południu.

Słońce wypaliło mi oczy. To nie jest moja kraina i ona nie chce mnie tu. Słońce jest tu jedynym panem.

— Tylko godzina? Więc nabierz otuchy; to tymczasowe. Po prostu oślepił cię blask. Nie zdarzyło ci się to nigdy przedtem wśród śnieżnych pól oświetlonych słońcem?

— Tak, ale nigdy tak nie bolało.

— To jest to samo. Do rana odzyskasz wzrok i zrobimy ci przepaskę taką samą, jak noszę ja.

— Naprawdę? — spytała słabo, a w jej głosie dał się słyszeć cień nadziei.

— Obiecuję. Słońce już prawie zaszło. Gdy będzie zupełnie ciemno, ruszymy dalej. Na razie odpoczywaj.

— Muszę odszukać swoje kobiety i Jeybę — wyszeptwała. — Jestem ich królową i nie mogę zostawić ich w tym piekielnym miejscu.

— Trzymaj się tej myśli, że nie jesteś zwyczajną kobietą i nie zginiesz jak zwyczajna kobieta — rzekł Conan z podziwem.

Nie odpowiedziała już nic, straciła przytomność w jego ramionach. Wreszcie słońce zaszło za horyzont dając wychnienie od swoich morderczych promieni. W szybko znikającym

świetle obejrzał ją dokładniej. Nie zauważył innych ran, oprócz zadanych przez słońce. Jej stopy nie krwawiły; miały skórę twardą jak powleczenie tarczy. Wszystko to rokowało

dobrze.

Pozwolił jej spać trzy godziny, w czasie których i on regenerował siły. Potem delikatnie nią potrząsnął. Szarpnęła się gwałtownie, zaskoczona, i odruchowo sięgnęła po broń. Obróciła głowę z szeroko otwartymi oczami. Po chwili jej ramiona opadły.

— Wciąż jestem tu i wciąż jestem ślepa — powiedziała z rezygnacją.

— Przejrzyj — zapewnił ją jeszcze raz wstając i ujmując za rękę. — Teraz wstań, musimy iść.

Stanął w całej okazałości z twarzą zastygłą w grymasie, by tylko nie krzyczeć. Conan zdawał sobie sprawę, że Achilea czuje, jakby odarto z niej każdy centymetr skóry. On sam nie czuł się wiele lepiej.

— Wiem — powiedział — że czujesz się, jakby zanurzono cię we wrzącym oleju. Od tego jednak nie umrzesz, nawet gdybyś chciała.

— Jak mogę iść nie widząc? — spytała już nieco mocniejszym głosem.

— Połóż rękę na moim ramieniu i idź za mną — rzekł. — Będę cię ostrzegał przed przeszkodami na drodze.

I tak wyruszyli przez oświetloną księżycem pustynię, pod niebem z milionami gwiazd.

Conan szedł pewnie. Prowadzenie Achilei nie spowalniało jego kroku. Ona zaś była zbyt dumna, by nie starać się dorównywać mu.

— Czy widzisz choć trochę blasku księżycy? — spytał ją.

— Ani trochę — odrzekła i pokręciła głową tak, że Conan poczuł na plecach muśnięcie jej włosów.
— Jak ty to znosisz tak dobrze? Przecież też jesteś z północy.

— Ale ja jestem Cymmerianinem — rzekł tak, jakby to tłumaczyło wszystko.

Parsknęła lekceważąco.

Przez większość nocy jakoś siły jej dopisywały. Brak słońca czynił wielką różnicę. Gdy na zachodzie zachodził księżyc, zatrzymała się na chwilę i wskazała palcem.

— Czy to księżyc?

— Tak, widzisz go?

— Tylko słaby blask — powiedziała niepewnie.

— Ale to znaczy, że wraca ci wzrok. Czyż nie mówiłem że wróci?

— Mówiłeś — powiedziała. — Ale słaby blask to jeszcze nie wzrok orła. To dopiero początek.

Szli dalej. Gdy księżyc zaszedł, już tylko gwiazdy mogły wskazywać drogę, ale na pustyni to Conanowi wystarczało. Gdy słońce zaczęło pojawiać się nieśmiało na horyzoncie, sporządził Achilei przepaskę.

— Widzę świt — powiedziała. — Ale ze wszystkich rzeczy słońce jest ostatnią, którą chciałabym zobaczyć!

Zacisnęła zęby i szła dalej. Tym razem Cymmerianin, by ją prowadzić, położył rękę na jej ramieniu. Szedł po lewej stronie starając się zasłonić ją swoim cieniem. Wkrótce odczuł

pewność jej kroku. Odzyskała wzrok na tyle, by przez opaskę móc widzieć drogę. Zauważył

również z pewnym zadowoleniem, że nie powiedziała mu, by zabrał rękę.

— Ta burza piaskowa — odezwała się, gdy tak brnęli. — Czy była naturalna?

— Nie, to magiczna sztuczka. Nawet na tej pustyni jedyną rzeczą, której nie może zrobić piasek, to unieść się bez wiatru. Czy pustynne demony nie zaatakowały cię w ciemności?

— Pustynne demony?

Opowiedział jej swoją nocną walkę z nieczystymi stworami. Wydawało się, że mu nie dowierza.

— Dwa takie, jak zaatakowały karawanę? A ty zabiłeś jednego, a drugiego przepędziłeś nawet ich nie widząc?

— Nie wyszedłem z tego zupełnie cały. Pokażę ci ślady, gdy poprawi ci się wzrok.

Jeszcze przed południem Achilea zaczęła się chwiać. Szła dotąd tylko dzięki hartowi ducha, a teraz duch zaczynał słabnąć. Gdy słońce znajdowało się dokładnie nad nimi, nogi odmówiły jej posłuszeństwa i siadła na piasku, dysząc.

— To nie ma sensu — jęknęła, niemal przepychając słowa przez spuchnięte gardło i język.

— Ty cały czas możesz jeszcze władać ostrzem. Zabij mnie i idź dalej.

— Wyszłaś trochę? — spytał kucając przy niej.

— Nie drwij ze mnie, zrób użytek z miecza.

— Jeśli tak chcesz, niech tak będzie. — Wyciągnął sztylet, a ona czekała z głową podniesioną dumnie.

Zerwał jej przepaskę; mogła już dobrze widzieć. Conan wyciągnął swoją potężnie umięśnioną rękę przed jej oczy i sztyletem otworzył sobie żyłę na przedramieniu.

— Masz — powiedział — pij.

— Czy myślisz, że jestem wampirem? — w jej oczach widać było wstręt i zdziwienie.

— To cymmeriańska krew, kobieto, najmocniejsza na świecie. Nie marnuj jej. — Chwyił

ją z tyłu za kark i przycisnął do swojego ramienia. Broniła się słabo przez moment, ale w końcu zaczęła pić. Gdy ją puścił, upadła na piasek. Rana zaczęła się już goić, wokół

nacięcia krzepła krew.

— Dziwnym jesteś człowiekiem, Conanie — rzekła już pewniejszym głosem.

— A ty nie jesteś jak inne kobiety. Tego nie zrobiłbym dla byle kogo.

Spojrzała na niego i nagle wybuchnęła śmiechem.

— Co cię tak śmieszy? — spytał zaskoczony.

— Wyglądasz jak nakrapiany kot! — wskazała na jego pierś pokrytą małymi plamkami oparzeń.

— Tak kończy się walka z demonami po ciemku. Czy teraz mi wierzysz?

— Dobrze, tym razem ci wierzę — rzekła — Idziemy dalej? Czuję się już lepiej.

— Możemy. Słońce pali, czy idziemy, czy stoimy.

Wstali i poszli dalej. Późnym popołudniem jej siła z wypitej krwi uleciała i Achilea upadła raz jeszcze, zbyt wycieńczona, by się odezwać. Conan także nie był w nastroju do mówienia.

Bez słowa pochylił się, wziął ją w ramiona i zarzucił sobie na plecy. Była ciężka, ale on był silny i ciepły ciężar ciała nie zwalniał jego kroku. Co godzinę przekładał ją z jednego ramienia na drugie, przez cały dzień i całą gwieździstą noc.

Szedł jak automat w niczym nie zakłóconym rytmie, nie zwracając uwagi na bolące oparzenia i ciężar na ramionach. Myślał tylko o jednym: musi przeżyć, donieść Achileę do cienia i wody, i to szybko. Nie przeżyłaby jeszcze jednego dnia w słońcu pustyni. Wysilek ten był tak ogłupiający, że gdy nadszedł świt, nie zauważył przed sobą jeźdźców.

Conan szarpnął gwałtownie głową, gdy usłyszał nawoływania i zobaczył cztery wielbłądy zmierzające w ich kierunku. Słońce dopiero co ukazało się nad horyzontem. Ułożył Achileę delikatnie na piasku i wyciągnął miecz. Usłyszał radosne pokrzykiwania trzech kobiet i karła.

Wszyscy czworo niemal chcieli skoczyć z wielbłądów, by stanąć przy swojej królowej. Ku zdziwieniu Conana mieli ze sobą grube bukłaki z wodą.

Kobiety uniosły swoją królową w ramiona. Całowały jej twarz, polewając obficie wodą i wtykając naczynie do ust. Achilea piła spragniona, krztusząc się i pijąc znowu. Na twarzach jej towarzyszek łyzy rzeźbiły czarne ślady.

— Spokojnie — rzekł Conan ledwie wymawiając słowa przez spuchnięty język. — Zbyt wiele wody naraz może ją zabić.

Kobiety nie zwracały na niego uwagi rozpościerając nad nią tunikę i podnosząc ją na jedno ze zwierząt. Karzeł podszedł do Conana i podał mu bukłak.

— Z jak daleka ją niesiesz?

Cymmerianin wziął łyk wody i przepłukał usta. Zmusił się, by wypluć ją na piasek. Wziął jeszcze jeden mały łyk i przełknął go. Rozkosz była mocniejsza niż cokolwiek, co dotąd przeżył.

— Całą noc i większość wczorajszego dnia. Była ślepa przez jakiś czas. — Wziął jeszcze jeden ostrożny łyk i przełknął. Ku jego zaskoczeniu krępy człowieczek objął go ramionami i mocno ścisnął.

— Uratowałeś naszą królową! Jesteśmy twoimi niewolnikami na całe życie!

— Skąd to macie? — spytał Conan podnosząc bukłak.

— Zobaczysz, to niedaleko. Chodź. — Kobiety załadowały Achileę na wielbłąda, a Lombi prowadziła go za uzdę. Conan dosiadł drugiego zwierzęcia, a za nim karzeł. Gdy jechali.

Conan nieustannie pociągał z bukłaka. Czuł, jak błogosławiony płyn spływa przez żołądek do wyschniętych tkanek.

— Gdzie są pozostali? — spytał.

— Czekają na nas — odrzekł krasnolud. — Przynajmniej niektórzy — poprawił się. —

Teraz powiedz, co wydarzyło się, odkąd opuściliście obóz.

Więc Conan opowiedział o wyprawie, walce i ucieczce z obozu, o burzy piaskowej i swojej na ślepo prowadzonej walce z pustynnymi demonami.

Dwie godziny po nadejściu niespodziewanej pomocy bukłak Conana był prawie pusty, a on sam czuł się znacznie wzmocniony. Wracał także głód. Wtedy stanęli na szczycie wydmy i jego oczom ukazało się miasto.

Leżało w idealnie okrągłym zagłębieniu, dokładnie tak, jak opisał Amram. Nie było duże, ale składało się wyłącznie ze wspaniałych budowli, prawie bez wolnych przestrzeni wewnątrz murów. Przed połyskliwą bramą była rynna z wodą, jak mówił Amram, a obok stały

przywiązane wielbłądy. Tuż obok rozbito namioty.

Gdy zeszli z wydmy, Conan zauważył, że nie ma dwóch wysokich wielbłądów.

— Gdzie są bliźnięta?

— Chyba w środku — odpowiedział karzeł. — Niedługo wszystkiego się dowiesz.

Nadbiegali Hyrkańczycy.

— Dobrze znów cię widzieć, Conanie! — rzekł Kye–Dee z uśmiechem.

Cymmerianin zsiadł zeszywniały z konia, cierpiąc z powodu poparzeń.

— Jakoś nie wyruszyliście nas szukać — rzekł kwaśno.

Kye–Dee uśmiechnął się znowu.

— Zdawało się, że tutejsi bogowie opuścili cię. Bardzo niemądrze jest prowokować bogów.

— Cromie! Ratuj przed tymi, co mają religijne zasady — rzucił Conan idąc do pojnika.

Woda bez przerwy wylewała się z jednej strony i wypływała z drugiej. Mimo że chciał obejrzeć nowe niezwykle miejsce i dowiedzieć się, co się stało, bardziej przyciągała go woda.

Odrzuciwszy pas z mieczem ukucnął w miejscu, gdzie z rynny woda odpływała. Dawał jej po sobie spływać, żeby zmyła piasek i resztki tłustej farby. Ból był potworny, ale gdy się wyprostował czysty po raz pierwszy od wielu dni, czuł się jak nowo narodzony.

Kobiety przeniosły Achileę do pojnika i ostrożnie opuściły ją do wody. Gdy woda objęła jej poparzone ciało, otwarła szeroko oczy i zaczęła krzyczeć.

— Ostrożnie! — warknął Conan. — Jest ciężko poparzona.

— Wiemy! — ostro odcięła się Payna. Ale zaraz zawstydziła się i rzuciła na kolana. Czoło przycisnęła do stóp Conana. — Wybacz, panie! Ocaliłeś naszą królową i winniśmy ci cześć!

Karzeł uśmiechnął się do niego i zauważył.

— Niełatwo im jest zachowywać się tak wobec mężczyzny.

— Są istotami pełnymi skrajności, to pewne — rzekł Conan. Pomógł kobietom ustawić

parawan dla Achilei, która jeszcze była zanurzona w wodzie. Potem poszedł w cień i jadł z zapasów, każdy kęs przepijając obfitym łykiem wody. Krasnolud przyłączył się do niego, a gdy Conan skończył posiłek, opowiedział mu, co zaszło podczas ich nieobecności.

— Gdy wy dwoje wyruszyliście ze swoim zadaniem, czekaliśmy. Hyrkańczycy spali, a bliźniaki pograżyły się w rozmowie z Amramem...

— Właśnie, a gdzie Amram? — spytał Conan.

— Usłyszysz i o tym. Oczekiwaliśmy powrotu Achilei, gdy wielka chmura pyłu przesłoniła księżyc. Objęła nas, nim zdążyliśmy zorientować się, co to jest. Wtedy zobaczyłem, jak Amram i bliźniaki

dosiadają wielbłądów i odjeżdżają na południe, prosto w burzę.

Przesiedzieliśmy to nieziemskie zjawisko w wielkim smutku wołając na głos imię naszej królowej w nadziei, że usłyszysz i dzięki temu łatwiej nas znajdziesz, ale nie przyszła. Rano pył

opadł; byliśmy sami. Kobiety chciały od razu rozpocząć poszukiwania, ale ja nalegałem, by najpierw znaleźć wodę, a dopiero potem szukać was.

Conan pokiwał głową.

— Bardzo rozsądnie.

— Tak. Wydawało mi się, że w ciemności mogła nas minąć i przez to szukanie jej na

południu miało taki sam sens, jak ruszenie na północ. Jeśli bliźniaki i Amram nas opuścili, to dlatego, że miasto z wodą było niedaleko. W połowie dnia złapaliśmy ich ślad, a parę godzin później znaleźliśmy to miejsce. Daliśmy wielbłądom pić i wypocząć, napełniliśmy bukłaki i zaczęliśmy przeczesywanie pustyni na północy.

— I nie widzieliście ani bliźniaków, ani Amrama?

— Podążaliśmy ich śladami aż do tej bramy — odrzekł wskazując wielkie drzwi w murach miasta.

— Bardzo nieuprzejmie z ich strony, że opuścili nas tak bez słowa — rzekł Conan. — Gdy Achilea dojdzie do siebie i wypocznie, będziemy musieli wejść tam i ich upomnieć. — To powiedziawszy Cymmerianin ziewnął, rozciągnął się na kocu i mocno zasnął.

Spał przez resztę dnia i całą noc, budząc się dopiero o świcie dnia następnego. Pierwsze światło barwiło wschodni horyzont, gdy wyszedł z namiotu, minął uśpione wielbłądy i

wsadził głowę do rynny. Wyprostował się, parsknął i potrząsnął głową rozpryskując wodę ze swoich długich czarnych włosów.

Podszedł do namiotu Achilei i zajrzał do środka. Trzy dzikie kobiety spały na siedząco z wyciągniętymi nogami. Achilea, której poparzoną skórę drażniłby koc, leżała naga na ich udach, z głową na kolanach Payny. Stopy opierała na brzuchu Jeyby, który chrapał głęboko uśpiony. Jej twarz i ciało nasmarowane były olejkami i w porannym świetle dawało miękki odblask. Wycofał się z namiotu zadowolony, że oddech Achilei był mocny i regularny.

Wiedział, że na pewno wyzdrowieje. Była najsilniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znał.

Hyrkańczycy spali na kocach, spokojnie niczym psy, bez żadnych snów i trosk. Przy rynnie, podlewana spływającą wodą, rosła trawa. Było jej dość, by zapewnić wielbłądom paszę przez kilka dni, mimo że wokół nie było ani drzew, ani nawet krzaków. Nadszedł czas, by się rozejrzeć.

Najpierw przyjrzał się otoczeniu. Niepokoiła go nieskazitelna regularność zagłębienia, w którym znajdowało się miasto. Nie wyglądało to na jakikolwiek naturalny twór pustyni, bo wydmy

znajdowały się w ciągłym ruchu. Wiatr zdmuchiwał piasek z ich szczytów w podnóża następnych i w ten sposób wydmy przypominały powolne fale morza. Nie tworzyły idealnie okrągłych kraterów. Wyglądało to, jakby wokół miasta wznosiła się jakaś bariera.

Wtedy przypomniał sobie, gdzie już widział coś podobnego: granica na trawie wokół zrujnowanej świątyni, gdzie podejrział rodzeństwo rozmawiające bezgłośnie z dziwnym starcem. Tam niewidzialna linia tworzyła kwadrat, tu była okrągła, ale przeczuwał między nimi powiązanie.

Podszedł do wysokiej bramy i zaczął się przyglądać. Historia z opalami była prawdziwa.

Lśniły pomiędzy skomplikowanymi rzeźbieniami, których krawędzie wciąż były ostre i wyraźne, jakby ukończono je parę dni temu. Nie było na nich śladu działania czasu. Jeszcze bardziej zdumiewał stan bram, gdyż nawet najbardziej trwałe drewno powinno rozpaść się w takim klimacie. Jedno było pewne: to nieostatnia tajemnicza sprawa, więcej mieli napotkać w Janagarze.

Powoli obszedł mury dookoła, przyglądając się uważnie każdemu kamieniowi, szukając jakichś obniżen, pnączy, czegokolwiek, co mogłoby pomóc wspiąć się. Jednak mury były idealnie równe i nie zobaczył na nich żadnych śladów zieleni. Nie były bardzo wysokie, mógł przerzucić przez nie pętlę, ale nie dostrzegł ani blank, ani wykończeń, o które można by to zahaczyć. Ani jemu, ani nikomu innemu nie przyszło do głowy wieść ze sobą haki, nie wieźli też kowalskich narzędzi, by wykuć je z metalu, który mieli.

Miasto stanowiło dziwne zjawisko pośród bezkresnej pustyni. Nie było jednak tak wielkie, jak inne, które Conan widział podczas swoich wędrówek. Skończył obchód i wrócił do

swoich. Hyrkańczycy i karzeł siedzieli jedząc śniadanie. Kye–Dee rozpromienił się ujrawszy Conana.

— Znalazłeś nam tylne drzwi?

— Nie, nie miałem zresztą żadnej pomocy, bo wy, łotry, spaliście długo całe rano. Każdy mógł się tu podkraść i poderżnąć wam gardła.

— Niektórzy rodzą się, by wstawać wcześniej i pracować — rzekł Kye–Dee. — Inni wiedzą, jak cieszyć się życiem. Co znalazłeś?

Conan opowiedział więc, co widział. Hyrkańczyk pokiwał głową.

— O was, Cymmerianinach, mówi się, że jesteście najbliższymi krewnymi kozic — powiedział. — Próbowaleś wspiąć się na mury?

— W paru miejscach. Kamienie są jednak zbyt idealnie dopasowane, zupełnie nie są zwietrzałe i nie mają żadnych nierówności. Gdybym mógł oprzeć choćby czubki palców, wspiąłbym się, ale nie znalazłem nawet tego. To nie jest normalne, by tak stare kamienie pozostały tak gładkie.

— To miejsce zaczarowane — rzekł Jeyba marszcząc brwi. — Nic dobrego z tego dla nas nie wyniknie.

— To się jeszcze okaże — rzekł Conan. — Nie wyjadę stąd nie dowiedziawszy się wszystkiego — odwrócił się do Jeyby. — Jak zdrowie waszej królowej?

— Odpoczywa. Obudziła się na chwilę dziś rano i daliśmy jej trochę wody. Teraz znowu śpi.

— To dobrze, niech śpi. Dzięki temu szybciej wróci do zdrowia — powiedział

Cymmerianin i wstał. Chodź ze mną, Jeyba, przyjrzymy się bramie.

Podeszli do bramy i karzeł kopnął ją mocno, jakby sprawdzając, czy nie jest ruszona przez termyty. — Moglibyśmy spróbować ją spalić — zaproponował.

— Tak grube drewno niełatwo łapie ogień — odrzekł Conan. — Zajęłoby wiele dni, zanim zetlałoby dostatecznie. Ale to nie dlatego odwołałem cię od reszty.

— Dlaczego więc?

Conan utkwiał swoje niebieskie oczy w karła.

— Jak to się stało, że straciła swoje królestwo, Jeyba? Jak stała się wędrownikiem bez plemienia?

Karzeł zmarszczył czoło i odwrócił wzrok.

— Nie wiem. Nigdy o tym nie wspominała, nawet mnie, a jestem jej wierny od wielu lat.

— A kobiety, one też nic ci nie mówiły?

— Raz... parę słów. — Jeyba kopał piasek w zakłopotaniu.

— Jakich słów? — nalegał Conan.

— Więc... — rozejrzał się, czy nikt nie podsłuchuje — ...mówię ci to tylko dlatego, że dowiodłeś swojej lojalności.

— Rozumiem — przerwał Conan niecierpliwie. — Mów!

— Więc raz, wiele lat temu, Lombi upiła się w winiarni, we wsi, którą łupiliśmy.

Powiedziała mi, że gdy Achilea była od dwóch lat królową, ciężko zgrzeszyła przeciwko swojemu ludowi i prawie wszyscy odwrócili się od niej pod przywództwem jej młodszej

siostry. Jedyne, które stanęły za nią to „siostry z dziczy” — młode kobiety, z którymi wspólnie spędziła rok, gdy zostały porzucone w pustkowiu. Ten rok wiąże je potem na całe życie. Wypędzono je z plemienia, a młodsza siostra Achilei została królową. Gdy przyjęła mnie do siebie, było ich razem jeszcze dwadzieścia. Teraz zostały jej tylko trzy.

— I Lombi nie powiedziała ci nic więcej? — spytał Conan.

Karzeł potrząsnął masywną głową.

— Nie miała szansy. Przyszła Payna i podsłuchiwała kilka słów. Ciężko pobiła Lombi i

zagroziła, że ze mną zrobi coś o wiele gorszego, jeśli powtórzę komuś choć słowo z tego, co usłyszałem. Tak więc, Cymmerianinie, moje życie jest w twoich rękach, bo ona nie żartowała.

— Nie masz się czego obawiać — zapewnił go Conan. — Teraz martwią mnie inne rzeczy.

— Jak dostać się do tego miasta?

— To jedna z nich. Drugą jest grupa, która podąża naszym śladem. Gdzie oni są? Zdążali tutaj, a jednak nie przybyli. Powinni wyprzedzić mnie, gdy szedłem pieszo, a jednak tego nie zrobili. Co oni knują?

— Może zadusiła ich burza — zaryzykował Jeyba. — Nas omal nie udusiła!

— Wątpię — rzekł Conan poważnie. — Czy ten czarownik wywołałby burzę, która by ich

zabiła? Nie, z jego słów wynikało, że umie czekać i obserwować, jak inni pokonują

niebezpieczeństwa, by potem zakraść się i plądrować. Myślę, że może być niedaleko stąd i nas obserwuje.

Cały dzień odpoczywali, naprawiali zepsuty sprzęt i doglądali wielbłądów. Wieczorem

pojawiła się Achilea wciąż obolała, ale już o własnych siłach.

— Jutro wejdziemy do tego miasta — obwieściła.

ROZDZIAŁ IX

Conan nie potrafił ukryć uśmiechu szczęścia, gdy następnego ranka zobaczył Achileę wynurzającą się z namiotu.

— Jesteś pewna, że czujesz się wystarczająco dobrze? — spytał.

— Trzeba czegoś więcej niż małego poparzenia słońcem i odrobiny pragnienia, żeby powstrzymać kogoś takiego jak ja, ty cymmeriański psie — krzyknęła na niego.

Conan głośno się roześmiał. Poruszała się sztywniej niż człowiek w zbroi, a jej skóra schodziła płatami i ciało pod spodem było różowe jak u dziecka. Próbowwała utrzymać srogi wyraz twarzy, ale zamiast tego uśmiechnęła się tylko.

— No dobrze, wyglądam jak umierająca jaszczurka, nie jak królowa. Wciąż jednak jestem jeszcze wojownikiem i jestem gotowa złupić to miasto — wskazała monumentalny zarys

Janagaru.

Conan spojrział na bramę.

— Nie musimy tego robić — rzekł. — Zgodziliśmy się eskortować ich i chronić podczas drogi i to właśnie zrobiliśmy. Możemy zatem zabrać tyle wody, ile zdołamy unieść i odjechać, nasze zadanie zostało zakończone z honorem.

— Tak, moglibyśmy — powiedziała marszcząc brwi — ale to by mnie nie zadowoliło.

Wspominali coś o większej nagrodzie, udziale w skarbach. Ja zamierzam ich poszukać, choćby miały okazać się wytworem ich szalonych umysłów — zmarszczyła brwi jeszcze

bardziej. — Jednak najmniej podoba mi się sposób, w jaki nas potraktowali. Odjechali w burzę, jakbyśmy byli warci tyle co psy. Nie lubię, gdy ktoś traktuje mnie w ten sposób.

— Ani ja — przytaknął, Conan.

— Więc poszukajmy ich.

— Chodź ze mną — rzekł Conan. — Mam pomysł. — Podeszli do murów, gdzie stał Jeyba

trzymając w rękach zwiniętą linę. Kye-Dee stał i przytrzymując wielbłąda za uzdę wpatrywał się pożądlivym spojrzeniem w nabijaną klejnotami bramę. Pozostali Hyrkańczycy czekali na rozwój wypadków z zaciekawieniem. Kobiety nie odstępowały Achilei na krok.

— I co teraz? — spytała.

— Jeyba twierdzi, że jest silny — rzekł Conan. — Mam zamiar przekonać się, jak bardzo.

Jeyba, dosiądź wielbłąda i stań na jego grzbiecie. Jeśli weźmiesz garb między nogi, będziesz mógł

oprzeć stopy na jego kręgosłupie.

— Jak sobie życzysz — karzeł dosiadł zwierzęcia i stanął na jego grzbiecie. Wielbłąd nie lubił nieznanych sytuacji i szarpnął się, ale Kye–Dee przytrzymał go mocno za uzdę.

— Czy zamierzasz zrobić to, co ja myślę, że chcesz zrobić? — spytała Achilea, mimo odczuwanego jeszcze bólu na twarzy miała ślady rozbawienia.

— Patrz! — zawołał Conan i jak prawdziwa górską kozica, do której porównał go Kye–Dee, wskoczył lekko na wielbłąda i stanął na jego grzbiecie. — Teraz ostrożnie — rzekł wdrapując się na masywne ramiona karła. Jeyba skrzywił się, ale uchwycił Conana za kostki i utrzymał równowagę.

Stojąc już pewnie na ramionach krasnoluda, Conan wyciągnął się w górę, jak tylko mógł wysoko, tak że czubkami palców dotknął masywnego kamienia wieńczącego bramę. — Teraz puść! — powiedział do karła. Mając swobodę ruchu, Conan podciągnął się trzymając tylko czubkami palców. Z zaciśniętymi zębami podnosił się powoli, aż przycisnął twarz do

rzeźbionej powierzchni kamienia. Cały jego tułów zrobił się szkarłatny z wysiłku, a mięśnie uwydatniły swoją rzeźbę, sprawiając wrażenie twardych jak kamień, po którym się wspinał.

Stojący na dole wzdychali z podziwu nad tak ogromną siłą. Przekładając ręce Cymmerianin podciągał się nad rzeźbioną powierzchnię, aż był w stanie postawić nogę na występ w

kamieniu. Potem wchodzenie było już znacznie łatwiejsze i wspinał się po ścianie niczym mucha. Gdy tylko palce chwyciły parapet, przerzucił swój cały ciężar na drugą stronę, na pomost dla straży.

Conan rozejrzał się wokół, nic zwracając uwagi na oklaski dochodzące z dołu. Zobaczył wiele budynków i mały placzyk, tuż przy bramie. Wszystko zupełnie opuszczone.

Zadowolony, że nie czekała na niego żadna zasadzka, wychylił się z powrotem i zawołał: —

Rzuć mi linę — karzeł zrobił, to natychmiast. Conan przywiązał jej koniec do kamiennego słupa, który wyglądał, jakby kiedyś służył za podporę dla katapulty. Zrzucił linę po murze.

— Wchodźcie! — zawołał.

— Czy nie powinniśmy zostawić kogoś z wielbłądami? — spytał Kye–Dee.

— Nie, one nie odejdą od wody. Zostałyby tu całe życie, gdyby tylko wystarczyło trawy.

— A co z tymi, co jechali za nami? — spytała Achilea.

— Jeśli przyjadą, to jeden człowiek nie obroni siebie ani wielbłądów. Weźcie za to prowiant, możemy zabawić tu przez jakiś czas.

Pierwsza wspięła się Payna, za nią Lombi, a na końcu Ekun. Wszystkie wchodziły zgrabnie przytrzymując linę i przebierając nogami po murze. Achilea uparła się, by zrobić tak samo, choć daleko było jej do wyzdrowienia. Kobiety obserwowały z niepokojem, jak ich królowa powoli wspinała się w górę. W chwili gdy już siły ją opuszczały, Conan nachylił się i chwycił ją za nadgarstki. Jednym potężnym ruchem podniósł ją w górę i postawił na pomoście.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech, gdy objęła wzrokiem widok za murami, a oczy zapłonęły z podniecenia. — Nareszcie! Miasto skarbów!

— W każdym razie miasto — skwitował Conan. — No, wchodźcie, koniojady! — krzyknął do Hyrkańczyków na dole.

— Czy my jesteśmy małpy, żeby wspinać się po linach? — powiedział Kye-Dee z niepokojem obejmując wzrokiem mur.

— Nie bądź taki strachliwy — rzekł Conan z rozdrażnieniem. — Po prostu zawiąż pętlę na końcu liny i stań w niej. My cię wciągniemy.

— Co może być bardziej bezużytecznego niż Hyrkańczyk bez konia? — spytała Ekun z pogardą.

— Słyszałem! — krzyknął Kye-Dee.

W końcu wszyscy Hyrkańczycy stanęli na murze. Ostatni wszedł Jeyba, uprzednio przywiązując prowiant i bukłaki z wodą.

— A niech to! — rzekł Kye-Dee. — Chciałem wyłupić kilka opali w drodze na górę.

— Jak? — spytała Lombi spluwając z muru na placzyk na dole. — Trzymałeś linę obiema rękami i miałeś zamknięte oczy.

— Chodźmy — ponaglił Conan. — Niech każdy weźmie część prowiantu. Musimy kogoś poszukać.

— I zabrać skarby — dodała Achilea.

— To też — zgodził się Conan.

Podczas gdy inni zbierali swoją część bagażów, Conan po raz ostatni spojrzął na krater.

Dziwny to był krajobraz jak na pustynię: idealnie równa połać piasku, jakby rzeźbiona w kamieniu.

— Niesamowite — zadumał się.

— Co? — spytała Achilea.

— Gdzie są jakiegokolwiek ślady? Sporo ludzi i wielbłądów przeszło tędy w ciągu ostatnich paru dni. Nie było ani odrobiny wiatru, a jednak wszystko jest gładkie jak emaliowana glina.

Podążyła za jego wzrokiem i lekko się wzdrygnęła. — Wiedzieliśmy w końcu, że w tym miejscu jest coś dziwnego.

— Chyba tak... — Wzrok Cymmerianina pochwycił niewielki błysk na krawędzi krateru.

Wskazał w tamtym kierunku. — Widzisz tam coś?

Achilea zmrużyła oczy.

— Tym razem to nie stal i leży bezpośrednio na piasku. Wydaje się purpurowe, jak

barwione szkło, albo... — rzuciła mu niespokojne spojrzenie. — ...jak kryształy, którymi bawił się czarownik.

Conan pokiwał głową. Jego oczy były bystrzejsze i dostrzegł kształt człowieka.

— To kryształowy człowieczek — sprawdził, czy miecz jest gotowy do użycia. —

Nieważne. Gdyby ten mag miał w sobie ducha, byłby tutaj, zamiast wysyłać za nami tego stwora, żeby nas szpiegował. Chodźmy, mamy zadanie do wykonania.

Kilka metrów od bramy znaleźli schody prowadzące w dół na placyk. Minutę później stali już na nim i Cymmerianin zauważył, że nic tu nie przypominało żadnego z opuszczonych miast, które widział do tej pory. Ani jeden liść nie zalegał na bruku, nie było śladu kurzu ani ziemi, żadnych śladów przechodzących zwierząt, nawet pióra upuszczonego przez

przelatującego ptaka. Mogło to być miasto, w którym wszyscy mieszkańcy schronili się przed upałem, tyle że żadne zamieszkane miasto nigdy nie było tak czyste.

— Widzieliście kiedyś dziwniejsze miejsce? — spytała Achilea opierając rękę na głównej rękojeści miecza.

— I tak ciche? — dodała Lombi.

— Albo tak nudne? — rzekł Kye-Dee. — Dlaczego stoimy tu gapiąc się jak jakie kmioty, które nigdy nie widziały miasta, a już na pewno żadnego nie złupiły ani nie spaliły?

Znajdźmy jakiś pałac i zabierzmy się za to co trzeba.

Podążając za tą błyskotliwą radą opuścili plac i udali się w głąb miasta. Od bramy wiodła wykładana białym, polerowanym kamieniem droga, kończąca się schodkami prowadzącymi na mały otwarty dziedziniec, otoczony wysokimi budynkami o ozdobnych balkonach.

— To nie ma sensu — odezwał się karzeł patrząc w niebo. — W środku wielkiej pustyni

tyle wody przyciągnęłoby każdego przelatującego ptaka, a jednak zdaje się, że żaden nigdy tu nie usiadł.

— Przekonasz się, że dokładnie tak właśnie jest — powiedział Conan.

— Co?

— Wyjaśnię ci to później. Chodźmy.

Minęli wiele wspaniałych budowli, wszystkie jak nowe. Żadna z ulic nie prowadziła prosto przez miasto. Zamiast tego wiele krótkich uliczek i schodów kończyło się na placach i dziedzińcach, bez widocznego planu. Czasami kończyły się ślepo i musieli przechodzić przez budynki. Gdzie indziej znajdowali tunele prowadzące pod mniejszymi budowlami i czymś, co przypominało hale targowe kryte alabastrem.

Wnętrza przyozdobione były mozaikami, freskami, reliefami i rzeźbami, ale nie znaleźli nic, co można by wynieść. W zdecydowanej większości były to wizerunki pełne lubieżnych treści bądź rozlewu krwi i najpewniej miały znaczenie rytualne, jakby religia mieszkańców Janagaru oddawała cześć bogom wojny i płodności.

— Kim byli ci ludzie? — zastanawiała się na głos Achilea, przyglądając się jednemu z fresków przedstawiającemu nagie ciała ludzi i demonów splątanych w tak zawiłą kombinację, że śledzenie jej przyprawiało o ból głowy. Conan wzruszył ramionami.

— Widywałem podczas wędrówek świątynie i miejsca święte wielu ludów, od dębowych

gajów Asgardu, poprzez sanktuaria czarnych ludzi w dżungli, do ołtarzy cywilizowanych ludów. Większość próbuje kupić sobie życzliwość swoich bogów modlitwami, rytuałami i ofiarami, mając nadzieję zdobyć ich opiekę albo odwrócić gniew. Ich prośby są proste: dobre zbiory, zdrowe dzieci, zwycięstwo w bitwie. Są też jednak i inne, stare i bogate narody, które zapomniały o głodzie i niepowodzeniach i od wielu pokoleń znają tylko dobrobyt. Oni sami chcą być bogami i rytuały mają im zapewnić potęgę, a nawet nieśmiertelność. Lud Janagaru mógł być właśnie taki.

— Może właśnie dlatego ulegli zagładzie — rzekła Achilea.

— Zagładzie? — spytał karzeł z niedowierzaniem przyglądając się nie naruszonym w najmniejszym stopniu fasadom domów.

— Tak musiało być — powiedziała Achilea. — Miasto jest nietknięte i nie ma w nim śladu życia. Tak jak mówiły bliźnięta — wszyscy mieszkańcy uciekli podczas jednej nocy i żaden z nich nigdy nie powrócił.

To, co powiedziała, nie tłumaczyło niczego i nie zadowalało Conana.

— To całe miejsce jest labiryntem — obwieścił. — Wejdźmy na szczyt jednej z wież, stamtąd lepiej się zorientujemy.

Podeszli do jednego z wielkich budynków o czterech wieżach, wyrastających z narożników i weszli do wnętrza. Znaleźli się w długim pomieszczeniu, zwieńczonym niską kopułą.

Wypełnione było rzeźbami z metalu, szkła i ceramiki, które przedstawiały skomplikowane sceny miłości i najstraszliwsze rzezie. Efekt dawał wrażenie niezwykłego realizmu.

— Wreszcie! — wykrzyknął Kye-Dee wskazując rzeźbę przedstawiającą kapłana w

prerażającej masce i jego ofiarę. Była nią piękna związana kobieta, z jej poderżniętego gardła tryskała krew w postaci kaskady rubinów i ametystów. Na widok prawdziwych

skarbów jeden z Hyrkańczyków podszedł do rzeźby i otwierając torbę sięgnął po klejnoty.

Także w Conanie ten widok wzbudził chciwość, ale coś w tych odrażających scenach powodowało, że czuł się nieswojo.

— Zaczekaj — powiedział. — lepiej nie... — ale tamten nie zwracał na nic uwagi

opanowany pożądaniem. Chwycił klejnoty i w tym momencie całe jego ciało zeszytniało z wyjątkiem głowy, która z makabrycznym chrzęstem kości odskoczyła do tyłu. Język z

krzykiem bólu wysunął się z ust, a gałki oczne wypadły z oczodołów. Z zaciśniętej na klejnotach ręki uniosła się smuga dymu i gęsty tłusty kłęb rzucił się przez otwarte usta.

Na oczach wszystkich przerażonych jego ciało zaczęło bulgotać i sycząc odpadać od kości, trawione niewidzialnym ogniem. Po kilku minutach została tylko kupka poczerniałych kości w kałuży skwierczącego tłuszczu. Ciało i krew zostały strawione.

— Ci ludzie może dawno umarli — rzekła Achilea głosem równie twardym, jak wtedy, gdy na pustyni trawiło ją pragnienie. — Ale ich klątwa wciąż działa. Nie dotykajcie niczego, zanim nie upewnimy się, że to jest bezpieczne.

— Wyprawimy mu ceremonię pogrzebową, gdy wrócimy do domu — rzekł Kye-Dee do

pozostałych Hyrkańczyków. — Chyba że któryś z was chce teraz pozbierać jego kości? —

tamci przecząco pokręcili głowami.

— Chodźmy — rzekł Conan. Jego obawa przed miastem wzrosła w dwójnasób. Przeszli w róg pomieszczenia i weszli do wieży. Drzwi wychodziły na kręcone schody, po których zaczęli wchodzić. Skręcały w lewo i wydało się to Conanowi dziwne. Wszystkie tego typu schody, jakie widział do tej pory, skręcały w prawo. W zamkowych wieżach projektowano je specjalnie tak, by miecz atakującego zawadzał o mur, podczas gdy obrońcy mieli pełną swobodę ruchu.

Schody, początkowo szerokie, dalej stawały się coraz węższe i ciasne. Wieża najwyraźniej zwężała się od podstawy. Założeniem architektów było, by patrzącym z dołu stworzyć iluzję, że jest wyższa niż w rzeczywistości. Jednocześnie zmniejszyli jej ciężar i oszczędzili na materiale. Gdy przejście stawało się już zbyt wąskie dla szerokich ramion Conana, wyszli na platformę okalającą wieżę, zaopatrzoną w niską marmurową balustradę, rzeźbioną w roślinne ornamenty. Weszli na nią ostrożnie, nie mając zaufania do wytrzymałości tak delikatnej konstrukcji po długim okresie nieużywania.

— Najpierw — rzekł Conan — przekonajmy się, czy ci, co podążali za nami, kręcą się gdzieś w pobliżu. — Spojrzał daleko poprzez mury miasta. — Na Croma! — wykrzyknął z niedowierzaniem. Inni wyjrzeli także. Ręce powędrowały natychmiast do amuletów, a usta ułożyły się w odczyniające zaklęcia.

Widok stąd rozciągał się na wiele mil wokoło, a za murami nie było pustyni tylko nie kończące się połacie zaoranej ziemi, podzielonej na poletka niskimi kamiennymi murami i równo poprowadzonymi miedzami. Krajobraz przecinały proste kanały melioracyjne. W

wielu miejscach stały żurawie do czerpania wody nawadniającej pola. W oddali widać było domy wyglądające jak siedziby posiadaczy ziemskich.

— Co to jest? — wykrzyknęła Achilea.

Conan oparł dłonie na poręczy i wyjrzał w dół na ulice miasta. Pozostali uczynili podobnie.

Po ulicach spacerowali ludzie ubrani w kolorowe stroje. Przyglądając się dłużej zobaczyli przejeżdżającą procesję wojowników, ich zbroje i brązowe rynsztunki koni rzucały świetlne refleksy.

Powoli przeszli dookoła wieży. Ujrzeli jak z wielopoziomowych tarasów największych

budynków opadają bujne winne grona. W ogrodach drzewa — cyprysy i cedry — strzelały w niebo. Na podwórcach rosły wonne krzewy mirry i uginające się od daktyli palmy. Z ołtarzy świątyn wznosiły się pasma dymów.

— Co tu się dzieje? — powiedziała Achilea.

— To przekłete miejsce — wykrzyknęła Payna zdenerwowana. — Odejźmy stąd, królowo!

Conanowi także nie podobał się ten niezwykły obrót spraw, ale nie czuł lęku.

— To jakaś iluzja. Widzimy Janagar takim, jakim był przed wieloma wiekami.

Posłuchajcie. Słyszycie jakikolwiek dźwięk? Ja nie. Jest tak cicho, jak było, gdy szliśmy przez ulice.

— Bo jesteśmy bardzo wysoko — rzekł Kye-Dee niepewnym głosem, nigdy przedtem nie był na tak wysokiej wieży.

— I tak coś byśmy słyszeli — upierał się Conan. — Bywałem na wieżach o wiele wyższych niż ta i było słychać stukot kopyt. Czy ktoś czuje zapach dymu? Ja nie, a wszędzie widać ogień.

— Zakładając, że masz rację — rzekła Achilea — gdzie powinniśmy pójść?

— Tam — Conan wskazał ogromną budowlę, widniejącą na szczycie wzgórza. Wyglądała

na niewysoką, ale tylko przez swoją masywność. Zwieńczyła ją kopuła wyższa niż

jakakolwiek inna w mieście. Zrobiona była, jak się zdawało, z niezliczonej ilości szklanych płytek.

— Jeśli mamy w ogóle szukać bliźniąt, to będą na pewno tam.

— Spójrzcie! — jeden z Hyrkańczyków wskazywał na dół. U podstawy ich wieży

przechodził ogromnych rozmiarów słoń. Jego boki okrywała kolorowa tkanina, a kły

wysadzane miał złotem. Na grzbiecie ustawiony był przerażający posąg demona o wielu

oczach. Za nim kroczyły inne słonie dźwigające rzeźby bóstw równie dziwnych. Wokół słoni tłoczyli się muzykanci grający na piszczałkach i tamburynach, tancerze przybrani w futra i pióra płasali w ekstazie, a inni czciciele zadawali sobie rany nożami rzucając kawałki ciała na posągi idoli.

Wszystko odbywało się w idealnej ciszy.

— Nie wiem, kim oni są ani co robią — rzekł Conan posępnie. — Ale wiem, że obrócili się w pył wiele tysiącleci temu. Jakaś magiczna siła sprawia, że widzimy ich takimi, jakimi byli wtedy.

— Chodźmy — ponaglała Achilea, którą ogarnął mroczny nastrój. — Te wizje dawno

umarłych osaczają mnie. Nie jestem już nawet pewna, czy chcę jeszcze tego skarbu. Chcę po prostu rozwikłania zagadki.

Zaczęli schodzić i nikt nie odezwał się ani słowem, zanim nie znaleźli się poza budynkiem.

Na ulicy wszystko było tak jak przedtem. Wojownicy i czciciele, rumaki i słonie — wszystko

zniknęło, jak gdyby nigdy nie istniało.

— Tędy — odezwał się Conan po to bardziej, by przerwać ciszę, niż nadać kierunek. Gdy tak szli w milczeniu, coś, co trapiło go od dawna, skryształizowało się w jego umyśle.

— Nie tak dawno — rzekł do Achilei — powiedziałaś, że miasto wygląda dokładnie tak, jakby jego mieszkańcy opuścili je uciekając.

— Tak i co z tego?

Miał wzrok wbity w rzeźbiony balkon, który właśnie mijali. Jego poręcz przyozdabiał rząd waz, brakowało w nich tylko kwiatów.

— Czy byłaś w wielu miastach?

— W kilku — odparła marszcząc czoło — ale w żadnym tak wspaniałym. Dlaczego pytasz?

— Ja byłem w wielu — odpowiedział Cymmerianin. — I żadne nie było tak doskonałe!

Nikt nie buduje od razu miast tak idealnie kompletnych we wszystkie szczegóły, a potem się do niego wprowadza. Miasta wzrastają stopniowo jak wielkie zwierzęta. Rodzą się młode przy wioskach przy strumieniu albo ujściu rzeki, albo na skrzyżowaniu szlaków. Niektóre rozrastają się w spore miasta, a bardzo nieliczne w tak wielkie jak to... — przerwał i poprawił

się — jak to było. Zawsze jednak rosną miarowo i są ulepszone. Burzy się stare, podupadłe budynki, by wznieść nowe. Pożary zmiatają całe dzielnice — domy i sklepy — zmieniając krajobraz.

Widywałem miasta, gdzie świątynie były w ciągłej budowie, bo wyznawcy różnych bogów

prześcigali się, by jego była największa. Świeżo pomalowane domy sąsiadują z innymi, z których dawno złuszczyła się farba. Nigdy nie są tak doskonałe!

— Za dużo myślisz, Conanie — rzekła Achilea. — Nie spodziewałabym się tego po tobie.

Puścił jej uszczypliwość mimo uszu.

— Jakoś nie wydaje mi się, żeby mieszkańcy Janagaru, uciekając w panice, zatrzymali się, by posprzątać swoje miasto i wykończyć wszystkie budowle, zanim zamkną za sobą bramy.

— Ta kobieta ma rację, Conanie — odezwał się Kye-Dee. — Zbyt dużo myślisz. — Dla

dzikiego Hyrkańczyka miasta były równie obce co gwiazdy, więc także i w tym nie mógł

dopatrzeć się niczego nadzwyczajnego. Mamy proste pragnienia, a jedyne, czego naprawdę chcemy, to ograbić miasto bez narażania się na nagłą śmierć.

Idąc dalej w miasto, szli pod górę. Im bliżej centrum, tym więcej było schodów niż ulic.

Wielokrotnie gubili się w labiryncie, wchodzili do budynków, które miały tylko jedno wyjście, albo byli zmuszeni przeskakiwać z dachów na balkony sąsiednich domów, ale

zawsze zbliżali się do wielkiej budowli. Wiele razy natrafiali na drogocenne przedmioty, które kusily i wystawiały na próbę, ale los nieszczęsnego Hyrkańczyka powstrzymywał ich chciwość.

W końcu przeszli przez niski tunel i wyszli na wielki plac przed głównym gmachem. Tam zatrzymali się i zamarli z podziwu. Z oddali budowla wyglądała na bardzo dużą, ale gdy znaleźli się tuż pod nią, jej wielkość zdawała się nie do pojęcia. Fasada wznosiła się tak wysoko, że nie mogli dostrzec wieńczącej jej kopuły. Na parapecie okalającym szczyt

ustawione były posągi podobne do tych, które widzieli na grzbiecie słoni w wizji Janagaru sprzed tysiącleci. Z miejsca, w którym stali, posągi zdawały się naturalnych rozmiarów, ale Conan dokonał szybkiej oceny wysokości fasady i stwierdził, że mają około trzydziestu stóp.

Tak gigantyczna budowla burzyła naturalne poczucie proporcji.

Każdy metr kwadratowy kamiennych ścian budynku pokryty był niewiarygodnie

skomplikowanymi wzorami. Z miejsca, gdzie stali, niemożliwe było dostrzec poszczególnych postaci ani całej kompozycji, ale pierwsza myśl, jaka powstawała, musiała dotyczyć

wykonanej tu niewyobrażalnej pracy.

Wszystko zrobione było z różnokolorowego marmuru, wypolerowanego tak doskonale, że

odnosiło się wrażenie, że budynek jest ze szkła podświetlanego od wewnątrz.

— Czy kiedykolwiek widziałeś równie wielki budynek? — rzekła w końcu Achilea.

— Kilka — odrzekł Conan. — W Stygii, ale nawet tam nie były tak wysokie. A to przecież jest dopiero fronton. Pamiętasz, co widzieliśmy ze szczytu wieży. Kopuła jest dwa razy wyższa od budynku.

— Jak ręce śmiertelników mogły zbudować coś takiego? — zastanawiała się.

— Nieśmiertelników — rzekł Kye-Dee. — Dla mnie jest jasne, że to dzieło olbrzymów albo bogów.

Conan był skłonny przyznać mu rację. Myśl o zwykłych ludziach, trudzących się przez

niezliczone lata, a może nawet pokolenia, by wznieść coś tak ogromnego, zdawała mu się nie do ogarnięcia. Efekt był wspaniały, ale odstręczała świadomość, że poświęcano całe życie tylko na to. Z pewnością — myślał — ludzie ci mieli naturę mrówek.

— Nie zyskamy nic stojąc tutaj — rzekł mocując miecz przy biodrach. Przeszli przez szeroki plac wyłożony czarnymi i białymi płytami, ułożonymi w uderzający w oczy geometryczny wzór. Zdawało się, że trzeba wieczności, by przemierzyć cały ogromny budynek, zupełnie jakby narastał wraz z ich krokami. Po chwili stali już pod stromą fasadą oczarowani bogactwem ornamentów umieszczonych w rzędach jeden nad drugim, przedzielonych jedynie oknami i pojedynczym, ogromnym wejściem.

Każdy rząd wypełniony był naturalnej wielkości figurami i jeśli rzeźby w świątyni, w której zginął jeden z Hyrkańczyków, można było nazwać przerażającymi, to na te brakło już określenia. Ekun podeszła do jednej szczególnie splątanej rzeźby i zaczęła przyglądać się z bliska.

— To niemożliwe — oznajmiła w końcu. — Trzeba by mieć trzy nogi.

— Niektórzy bogowie i demony mają nadmiar kończyn — rzekł Kye–Dee — może niektórzy mieszkańcy Janagaru byli podobnie zbudowani.

Conana rzeźby nie interesowały. Podeszedł do wielkiej bramy i przyglądał się jej. Podwójne drzwi były prawie tak samo masywne, jak brama wejściowa do Janagaru. Miały wysokość dwudziestu kroków i kształt ostrego łuku. Otaczał je pas płaskorzeźb, które na pierwszy rzut oka przedstawiały splecione winorośle, wzór częsty w tym mieście. Przy bliższym oglądaniu okazywało się, że są to węże o oczach z błyszczących klejnotów. Były tak naturalistyczne, że Cymmerianin spodziewał się zobaczyć rozdwojone języki wysuwające się z ich paszcz. Po chwili przyłączyła się do niego Achilea.

— Potrzebny byłby taran, żeby sforsować te drzwi — odezwała się.

— Może będziemy mogli dostać się przez dach — zastanawiał się Conan. — Tu przynajmniej łatwo będzie się wspiąć.

— Ty możesz się wspinać — odezwał się Kye–Dee — a ja tylko ci przyklasnę, ale nie zamierzam nigdzie włączyć, choćby nie wiem, jak wiele oparcia było dla rąk — pozostali Hyrkańczycy przytaknęli ochoczo.

— Tchórze! — prychnęła Achilea.

— Ludzie w przeciwieństwie do jaszczurek nie zostali stworzeni do wspinania się po murach! — odciął się obrażony Kye–Dee.

Jeyba podszedł do wielkich drzwi i przyłożył do nich dłoń. Pchnął niezbyt mocno, a wydając z siebie tylko ciche skrzypnięcie rozsunęły się łatwo, jak dobrze naoliwione wejście każdego domu.

— Może nie będzie tak trudno, jak myśleliśmy — zauważyła Achilea.

— Nie mów tego, dopóki nie przekonamy się, co jest w środku — przestrzegł ją Conan.

Wyciągnął miecz i podszedł do wejścia. Achilea uczyniła to samo i poszła za nim. Przy niej stanęły kobiety i karzeł, a na końcu Hyrkańczycy ze strzałami przyłożonymi do cięciw.

Czujni i gotowi na niespodzianki, jak koty weszli w wysoko sklepione przejście, przypominające tunel pomiędzy grubymi ścianami budynku. Tak jak na zewnątrz jego ściany przyozdobione były płaskorzeźbami, ale było zbyt ciemno, by móc zorientować się, co przedstawiają. Gorąco i blask pustyni pozostały za nimi. Powietrze wewnątrz było stęchłe, ale dało się nim oddychać. Przed nimi korytarz prowadził do ogromnego pomieszczenia, gdzie było więcej światła.

Gdy doszli do końca korytarza, stanęli jak wryci na widok rozmiarów komnaty. Zanim ochłonęli, usłyszeli ryk i wielki kosmaty kształt zamajaczył za nimi. Jeden z Hyrkańczyków obrócił się na pięcie i napiął łuk, ale Conan mieczem odtrącił go na bok. Strzała zniknęła w ciemności i uderzyła gdzieś w ścianę.

— To był wielbłąd, głupcze! — warknął Conan. Hyrkańczyk zaskoczony reakcją Conana uśmiechał się zawstydzony swoją pomyłką.

— Myślałem, że to demon — powiedział niedbale.

Wielbłąd, któremu Conan ocalił życie, był wysoki i biały.

Drugi identyczny stał razem z mniejszym, zwykłym wielbłądem, takim, na jakim jechał

Amram. Zwierzęta beznamiętnie żuły swoją paszę. Wyglądały lekko obrażone pojawieniem się intruzów.

— To pierwszy ślad naszej trójki — odezwała się Achilea. — Miałeś rację, Conanie.

Powoli weszli do środka komnaty. Światło padające na mozaikową podłogę było wielokolorowe i rzucało na podłogę ładne geometryczne wzory. Spojrzeli w górę i

spostreśli, że gigantyczna kopuła cała składa się ze szklanych płytek oprawionych w metalowe obwódki. Odległość czyniła poszczególne płytki małymi, ale Conan ocenił, że każda mogła mieć powierzchnię małego pokoju. Nigdy w życiu nie widział tak wielkich

powierzchni szkła.

Byli w połowie drogi, gdy zdali sobie sprawę, że wielki kształt mający w oddalonym końcu sali nie był częścią budowli, ale ogromnym bożkiem. Kąt padania światła pozostawiał

ją w dużym stopniu w cieniu i stąd nie rozpoznali od razu, z czym mają do czynienia. Conan wywnioskował, że posąg w tym miejscu całkowicie oświetlony jest tylko o zachodzie słońca.

— Czy to bóg? — spytał Kye-Dee.

— Bogini, jeśli już — odparła Achilea sucho.

Posąg miał kształt lekko piramidalny — naga, antropoidalna postać o wielu rękach, siedząca ze skrzyżowanymi nogami. Jedne ręce trzymały broń, inne narzędzia o niejasnym

przeznaczeniu. Dwa ramiona wyciągnięte były do przodu, a dłonie otwarte i puste. Tors dźwigał wiele piersi ułożonych w potrójny rząd pomiędzy ramionami i pępkiem. Twarz

posągu była spokojnie piękna, ale wąskie oczy miały zły wyraz. Ogromne klejnoty błyszczały na czole, w oczach i pępku. Podchodzili do niego pełni lęku i grozy.

— Dlaczego ktoś wznosił tu coś takiego? — spytała Achilea. — Między jednym kolaniem a drugim jest ze sto kroków.

— Nie wiem — odparł Conan — ale budzi to mój niepokój. — Wziął głęboki oddech i

krzyknął — Monandas! Yolathe! Amram! Wyjdźcie do nas! Chcemy porozmawiać!

Jego głos odbijał się echem od ścian świątyni jeszcze przez jakiś czas. W końcu zamarł i zapanowała martwa cisza.

— I co teraz? — spytał karzeł. Ostrożnie dotknął palcami gigantycznego golenia bogini. W

większej części idol zrobiony był z brązu, choć nie było widać łączeń pomiędzy

poszczególnymi częściami. Metoda, jaką go wykonano, pozostawała taką samą tajemnicą, jak wszystko, co widzieli w mieście.

— No więc — rzekła Achilea z irytacją w głosie — gdzie... — urwała nagle, bo z głębi

posągu dobył się głęboki i długi pomruk.

— Co to? — Jeyba był przestraszony. Odgłosy skrzypienia i warkotu powtórzyły się, jakby coś wielkiego poruszyło się wewnątrz. Odsunęli się od kolosa i spojrzeli w górę. Spodziewali się z lękiem, że wielkie ramiona, pobudzone do życia dosięgną ich. Nad nimi rozległo się tajemnicze syczenie i omal nie wpadli w panikę.

Z oślepiającym błyskiem, z otwartych i dotąd pustych dłoni bogini wybuchły płomienie.

Zakrzywione palce obejmowały kule ognia, a świetliste języki ognia rzucały ruchome cienie na twarz kolosa nadając mu jeszcze bardziej złowrogi wygląd. Ku ich przerażeniu wąskie powieki otwały się szerzej odsłaniając szkarłatne tęczęwki z wieloma czarnymi źrenicami.

Oczy z klejnotów zapłonęły wewnętrznym ogniem. Hyrkańczycy wykrzyknęli zaklęcia przeciwko złu i zrobili ruch do ucieczki.

— Stójcie! — krzyknął Conan — To nie żadna bogini! To wielki automat, poruszany przez mechanizm!

— No to co? — rzekł Kye-Dee. — Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— Ja nie będę uciekała przed żadną kukłą — rzekła godnie Achilea. — Nawet jeśli to

największa kukła na świecie! — Kobiety skuliły się za nią, a Leyba stanął przed nimi, ściskając w dłoniach swoją maczugę.

Conan stał wyczekująco gotów do walki lub ucieczki, zależnie od okoliczności. Czy to bliźniacy spowodowali to, co się teraz działo? Czy siedzieli wewnątrz sterując tą starożytną maszyną, która wbrew wszelkiemu rozsądkowi jeszcze działała.

Rozległ się tupot nóg i brzęk uprzęży i zza posągu wybiegł podwójny szereg ludzi. W ciągu kilku sekund otoczyli intruzów. Conan ocenił, że była ich co najmniej setka, a stale wychodzili następni. Byli tam mężczyźni i kobiety częściowo odziani we fragmenty

dziwnych zbroi, a oprócz tego nie mieli na sobie ubrań. Wszyscy mieli broń, a niektórzy trzymali w rękach sieci i liny. Na twarzach mieli maski.

Ten sam Hyrkańczyk, który o mało nie zabił wielbłąda, wyciągnął łuk i strzelił. Z całą siłą puszczone strzała przebiła bez trudu pancerz z czarnej skóry i posrebrzanego metalu, a trafiona kobieta upadła w kałuży szkarłatu.

— Nie! — krzyknął Conan. — Jest ich zbyt wiele!

Ale Hyrkańczycy byli zbyt podnieceni, żeby go usłuchać. Na widok krwi już dwóch

następnych wyciągnęło łuki, zanim pierwszy zdążył nałożyć następną strzałę. W jednej chwili Hyrkańczycy znaleźli się w zarzuconej sieci, za którą nadeszły oszczepy o okrutnie

ponacinanych ostrzach. Padający rzucali się jak rozjuszony pantery, zanim nie zadławili się własną krwią. Kye-Dee krzyknął i już wyciągnął miecz, ale Cymmerianin powalił go na

ziemię jednym ciosem swojej potężnej pięści.

— Uspokój się, idioto! — syknął.

— Ale oni zabili moich ziomków! — jęknął Kye-Dee.

— Twój ziomkowie byli głupcami i zginęli jak głupcy — powiedział bezlitośnie Conan. —

Jeśli chcesz żyć lepiej słuchaj rozkazów.

Dziwni wojownicy otoczyli ich wszystkich. Byli niewysocy ale dobrze umięśnieni, a ich skóra była zadziwiająco biała. O twarzach nie dało się powiedzieć nic, bo wszystkie

przybrane były w groteskowe maski. Wykonane były, jak się zdawało, z kutego metalu,

niektóre miały długie ptasie dzioby, inne pyski zwierząt, jeszcze inne wykrzywione małpie twarze. Zbroje zrobione były z polerowanego metalu i skóry. Żaden z żołnierzy nie miał na sobie pełnej zbroi, jedynie napierśniki i naramienniki, wszystko najeżone kolcami i pełne ozdobnych ornamentów.

Conan wątpił, czy jego ludzie będą w stanie przedrzeć się przez rząd tych wojowników.

Dosięgłyby ich włócznie, zanim zdążyliby dotrzeć do drzwi.

Podszedł do nich człowiek w szczególnie ozdobnej zbroi. W rękach trzymał topór

wyposażony w znaczną ilość szpikulców i haków i tą bronią wskazał Conana.

— Rzućcie broń! — krzyknął tak niewyraźnie, że Conan ledwie go zrozumiał. Człowiek

powtórzył słowa, tym razem bardziej przenikliwym głosem.

— Czego on chce? — spytała Achilea.

— Chce, żebyśmy rzucili broń — odparł jej Conan.

— Nigdy! Niech ta walka skończy się śmiercią, ale ja nigdy nie zostanę bezbronna

pomiędzy obcymi!

— Po prostu trzymaj ręce z daleka od broni — rzekł Conan. — może to wystarczy.

Człowiek warknął coś do swoich i nagle w ich kierunku poszybowała sieć, rozwinęła się w powietrzu i zasłoniła Achileę. Conan zaczął wyciągać swój miecz, ale długi bicz uchwycił

jego nadgarstek i zatrzymał rękę. Za chwilę i na niego spadła sieć. Rzucił się w jej splotach, ale nawet jego żelazne mięśnie nie pomogły, by zerwać mocne włókna. Usłyszał krzyki, odwrócił głowę i zobaczył, że pozostali zostali równie skutecznie unieruchomieni.

Wojownicy mieli wyraźną wprawę w takich operacjach, bo wszystko zrobili szybko i swoje ofiary mocno związali. Wielu trzeba ich było, by opanować Cymmerianina. Ale było ich właśnie wielu,

więc po kilku minutach leżał na brzuchu z rękami związanymi na plecach i kostkami spętanymi długim łańcuchem. Gdy wszystkim pozostałym podobnie związane ręce i nogi, postawiono ich i zdjęto sieci.

— Oto, do czego doprowadziły nas twoje rozkazy, Cymmerianinie! — Kye-Dee splunął. —

Trzeba było wywalczyć sobie drogę odwrotu!

— Zginąłbyś bez dwóch zdań — rzekł Conan. — A jeszcze żyjesz i z pewnością wyjdziemy z tego cało. To twoim ludziom zawdzięczamy, że nas tak potraktowano. Kto wychodzi na spotkanie nieznanym intruzów bez broni? Nie trzeba było zabijać tamtej kobiety. — Conan hamował się, choć wewnątrz kipiał złością.

— Ale tu miało nikogo nie być! — protestował Kye-Dee.

— Ci tutaj mają inny pogląd na tę sprawę — zauważył Jeyba.

Mężczyzna, który wydawał rozkazy, ustąpił miejsca kobiecie, która zaczęła przyglądać się jeńcom z uwagą. Nosiła maskę otoczoną białymi piórami z czernionej stali w formie

jastrzębiej głowy. Krótki płaszcz z czarnych i srebrnych łusek okrywał jej ramiona, na nogach poniżej kolan miała gęsto pokryte kutymi ornamentami nagolenniki. Przedramiona miała podobnie osłonięte. Wokół powabnych bioder owinięty był pas ze srebrnych i czarnych łusek, do którego przymocowany miała sztylet i krótki miecz. Poza tym była naga.

— Kim jesteście? — zapytała głosem stłumionym przez maskę. Była drobnej, ale kształtnej budowy.

— Ja jestem Conan z Cymmerii, a to jest Achilea, królowa Amazonek. Pozostali są naszą drużyną. Przybyliśmy szukać naszych towarzyszy, których wielbłądy stoją tam. — Conan odwrócił głowę wskazując zwierzęta.

— I żeby ich znaleźć musieliście zabić jedną z nas? — wskazała martwą kobietę, której ciało właśnie wynoszono w kierunku wielkiego posągu.

— To był błąd — rzekł Conan. — Nie spodziewaliśmy się tu nikogo i jeden głupiec

spanikował. Zginął za to, tak jak jego dwóch towarzyszy. Reszta z nas nie próbowała was krzywdzić. — Nie wiedział, czy te argumenty przemówią do jej poczucia sprawiedliwości, ale uznał, że warto spróbować.

Kobieta podeszła bliżej, aż znalazła się o krok od potężnego Cymmerianina. Wskazującym palcem smukłej dłoni przesunęła po wielkich mięśniach jego piersi.

— Nie jesteś podobny do ludzi pustyni, którzy czasem zbłądzą do Zakazanego Miasta.

Gdzie jest twoja kraina?

— Cymmeria leży daleko, daleko na północ stąd — odparł.

— Czy twoi ziomkowie są równie wielcy i silni jak ty?

— Niewiele mniejsi.

Podeszła równie blisko do Achilei i przyglądała jej się uważnie. Lekko dotykała muskularnego brzucha i badała sprężyste mięśnie jej ramion i nóg, jakby była wielbłądem, którego kupno się rozważa. Wierzchem dłoni pogładziła policzek Achilei.

— Nigdy nie widziałam kobiety takiej jak ty. Twoja ziemia musi leżeć jeszcze dalej niż jego — głowa kobiety w masce ledwie sięgała ramion Achilei.

— W swojej ziemi jestem królową — powiedziała Achilea przez zaciśnięte zęby. — Nie wolno traktować mnie w ten sposób.

Zamaskowana kobieta roześmiała się przenikliwie, a pozostali jej zawtórowali.

— Jesteś zbyt dobrze ubrana, niewolnico! — powiedziała pociągając z całej siły za płaszcz Achilei. Sznurek przytrzymujący płaszcz u szyi pękł. Potem zerwała jej pas i przepaskę z lisa pozostawiając tylko nogi owinięte w futro.

— Teraz lepiej — powiedziała z zadowoleniem. — Wyglądasz nawet ładnie na swój barbarzyński sposób. — Ignorując resztę zwróciła się do dziwnych wojów stojących za nią.

— Na dół z nimi — warknęła — niedługo przekonamy się, z czego zrobione są te dziwne stworzenia.

Wojownicy ruszyli do przodu i zaczęli popychać jeńców w kierunku ogromnego posągu.

Pomiędzy skrzyżowanymi nogami bożka otwarły się trzeszcząc szerokie brązowe drzwi i cała drużyna została wepchnięta do wnętrza.

ROZDZIAŁ X

Conan popatrzył w górę. Mroczne wnętrze posągu oświetlone było tylko kilkoma

pochodniami. W ich świetle można było zobaczyć rusztowanie z grubych, drewnianych bali i metalowych prętów, zbitych razem bretnalami grubości ludzkiej nogi. Były tam wielkie przekładnie i dźwignie, do których poruszenia trzeba było co najmniej pięciu ludzi. Metalowe rury biegły nie wiadomo, skąd i dokąd. Górne końce ciężkich łańcuchów, powiązanych w pętle ginęły w ciemnościach. Poczł pchnięcie twardym końcem jakiegoś przedmiotu.

— Nie patrz tam — rozkazała zamaskowana kobieta. — Wielka Bogini nie lubi czuć

wzroku profanów penetrujących jej święte wnętrze.

Conan nie wiedział, czy w jej głosie brzmiała ironia. Ledwo rozumiał, co mówiła, bo obcy akcent zniekształcał słowa. Czy ona naprawdę wierzyła, że ten kolos jest boginią? Już nawet oni zorientowali się, że to tylko mechanizm. Postanowił nie zastanawiać się nad tym dłużej.

Jeśli tak było rzeczywiście, to ta religia jest najgłupsza, z jaką do tej pory spotkał się w swych podróżach. Poniżej środka posągu znajdowały się kręcone schody, wystarczająco szerokie, by dwóch ludzi mogło iść obok siebie. Zaczęli schodzić po nich w dół. Towarzyszki Achilei szły tuż za nią, by ochronić ją przed poniżającymi pchnięciami włóczy. Same musiały znosić popychania w plecy, pośladki i uda. Przed Achileą szedł karzeł wyprostowany, jakby

wyzywał kogoś na pojedynek.

Zejście zdawało się nie mieć końca. Schody były z gładkiego kamienia, a ich powierzchnia odbijała światło dziwnych, bezdymnych latarni, które oświetlały drogę z lekkim sykiem co kilka kroków. Gdy tak szli, Cymmerianin zorientował się, że strażnicy nie są już tak spięci i zdyscyplinowani. Ich mięśnie na ramionach i plecach, dotąd naprężone, teraz rozluźniły się, a krok stał się swobodniejszy. Wyglądało na to, że w świątyni, na zewnątrz posągu byli w stanie najwyższego napięcia, a teraz poczuli się wolni i bezpieczni, jak u siebie. Conan gubił

się w domysłach. Czyżby ten dziwny lud zbyt rzadko wychodził na zewnątrz?

Spiralna droga kończyła się szerokim korytarzem, oświetlonym większą liczbą takich

samych bezdymnych latarni. Ściany i strop korytarza były bogato zdobione motywami, które widzieli już w mieście — splecione liście, skomplikowane wzory geometryczne, kopulujące pary ludzi i demonów.

Przeszli do ogromnych komnat, gdzie ocienione postacie odprawiały niezrozumiałe rytuały i czynności, ale przechodzili zbyt szybko, by móc dokładnie przyrzeć się. Dalej

Cymmerianin zobaczył małych bladych mężczyzn i kobiety z obręczami na szyjach,

nadgarstkach i kostkach połączonych cienkimi, ale wyglądającymi na mocne, łańcuchami. Ich zadaniem było najwyraźniej doglądanie latarni i dbanie, by nie gasły. Jeden z tych ludzi czyścił małym narzędziem wygaszoną latarnię. Gdy zbliżyli się, właśnie skończył swoje zadanie, zakręcił okrągły kurek i krzesał iskry nad miedzianym kielichem za pomocą

krzemienia i stali. Płomienie trysnęły z lampy tak nagle, że człowiek ledwo zdążył cofnąć ręce.

— Co to za dźwięk? — spytała Achilea otrząsając się z melancholii, którą spowodowało pojmanie ich i kolejne upokorzenia.

Conan także coś słyszał. Był to szelest przypominający odgłos wiatru wydobywającego się z podziemnych jaskiń.

— Nie wiem — rzekł — jakiś ruch powietrza.

— Cisza! — powiedziała kobieta w masce i lekko uderzyła Cymmerianina otwartą dłonią w twarz.

Korytarz doprowadzał do ogromnych komnat, gdzie na podłodze wokół okrągłych stołów

siedzieli posilający się ludzie. W innych odziani w tuniki alchemicy doglądali naczyń z gotującymi się płynami, żarzących się palenisk i rur, przez które przepływały jakieś ciecze.

Jeszcze dalej mężczyźni i kobiety płąsali w lubieżnym tańcu przed posągiem

przypominającym kolosa na górze, lecz nieporównanie mniejszym. Około jednej trzeciej napotkanych mieszkańców zakuta była w łańcuchy niewolników. Spośród wolnych połowa

miała na twarzy maski. Wszyscy przyglądali się nowo przybyłym z zaciekawieniem, ale nie zaczepiali ich i nie zadawali żadnych pytań.

W pewnym momencie podłoga korytarza zamieniała się w most, który przechodził przez

obszerną komnatę pełną skrzypiących bali i metalowych części. Wszędzie znajdowały się gigantyczne pionowo ustawione koła, obracające się nieustannie i napędzane przez setki niewolników, którzy nieustrudzenie poruszali wewnętrzne szprychy. Tu szelest stawał się wyraźniejszy i Conan zrozumiał, że jest to napęd systemu wentylującego podziemne miasto.

W cywilizowanych krainach widywał ogromne miechy, obsługiwane przez niewolników,

spełniające tę samą funkcję w głębokich kopalniach. Raz czy dwa widział takie miechy napędzane przez koła wodne, tu jednak maszyna była znacznie bardziej skomplikowana.

— To obrzydliwe miejsce — skomentowała Achilea.

Conan nie miał zamiaru spierać się, ale mężczyzna, który najwyraźniej dzielił dowództwo z zamaskowaną kobietą, uderzył ją. Dzikie kobiety odwróciły się do niego z obnażonymi zębami.

— Przestańcie! — rozkazała Achilea. — Niepotrzebnie zginiecie.

— Wielka kobieta potrzebuje chłosty — powiedział tamten.

— Ja będę o tym decydowała — odparła ostro kobieta w masce, dając w ten sposób do zrozumienia, kto tu naprawdę dowodzi.

W końcu skręcili z szerokiego korytarza i zeszli schodami do obszernej, wysoko sklepionej komnaty, z której stropu zwisały przedmioty kształtem przypominające żyrandole. Skłębione zwoje miedzianych przewodów tworzyły koszyczki, a każdy z przewodów kończył się małym kwiatkiem, z

którego wystrzeliwał pojedynczy biały płomień. Wszystkie razem sprawiały, że pomieszczenie było oświetlone jak w dzień.

Oprócz mężczyzny i kobiety, którzy dowodzili, tylko dziesięciu wojowników weszło z nimi do pilnowania więźniów. Reszta czekała na zewnątrz.

Komnata była pozbawiona mebli, leżało zaledwie kilka dużych poduszek, a ze ścian zwisały łańcuchy z obręczami na końcach.

Kobieta stojąc na niewielkim podwyższeniu podniosła giętki pręt długości ramienia i włożyła rękę w pętlę do trzymania. Końcem bicza wskazała trzy kobiety, karła i Kye–Dee.

— Zakujcie tych niewolników tutaj. Niech pięciu strażników zostanie, żeby ich pilnować. A tych dwoje — wskazała Conana i Achileę — zaprowadźcie do mojego pokoju przyjąć.

Kobiety załkały nie chcąc rozłączać się ze swoją królową, ale nie mogły nic zrobić.

Bezlitosne żelazne obręcze zamknęły się na ich szyjach.

— Zostańcie tu — powiedziała im Achilea cicho, jakby to była kwestia ich wyboru. —

Niedługo wszyscy będziemy wolni. — W tym momencie bicz uderzył ją przez plecy, ale jej twarz nie zdradziła bólu.

Popychani włóczniami Cymmerianin i Achilea wspięli się na kolejne schody, do mniejszego pomieszczenia, podobnie oświetlonego i wyłożonego jedwabnymi poduszkami. Były tam

niskie stoły, a na nich piękne szklane naczynia. Cztery niewolnice stały w gotowości, wszystkie piękne i młode o niezwykle białej skórze i białych włosach przystrzyżonych krótko.

Oczy miały spuszczone, a skute ręce splecione przed sobą.

Strażnicy zakuli Conana i Achileę w metalowe obroże i przypięli łańcuchami do pierścieni z brązu, umocowanych w podłodze. Łańcuchy były zbyt krótkie, żeby mogli stać, więc

zmuszeni byli usiąść na jedwabnych poduszkach, a młode niewolnice obsługiwały swoją

panią. Strażnicy wycofali się z komnaty zostawiając tylko dowodzącego mężczyznę.

Niewolnice uwolniły kobietę ze zbroi zakładając jej krótką suknię ze srebrzystego

materiału. Nie wstydziła się swojej nagości, natomiast odwróciła się tyłem, gdy służące zdejmowały jej metalową, ozdobną w pióra maskę i zamieniły ją na inną, także ze srebrnego materiału. Conan zastanawiał się, gdzie w tym niezwykle podziemnym mieście pośrodku pustyni udało im się znaleźć tak wspaniałe pióra. Skąd znalazły się tu tak ogromne bale drzewa?

Kobieta odwróciła się. Maską osłaniała tylko jej podbródek. Widać było usta o pełnych wargach i oczy o tęczęwkach tak bladych, że z trudem można było odróżnić je od

otaczających białek. Źrenice były bardzo małe i ciemnoczerwone, nie czarne. Jej włosy, teraz rozpuszczone, opadały miękkimi falami na ramiona. Jedna z niewolnic podała jej kryształowy róg, z którego sączyła jakiś płyn. Jednocześnie uważnie przyglądała się swoim jeńcom.

— Rzadko trafiają do Zakazanego Miasta interesujący intruzi — powiedziała lekko

przybliżając się w ich stronę. W jednej ręce trzymała róg, w drugiej bicz. — Zazwyczaj są to ludzie pustyni, którzy trafiają tu wycieńczeni z pragnienia, głodu i spalenia bezlitosnym słońcem. Ręką trzymającą bicz nakreśliła w powietrzu skomplikowany znak, zaraz

powtórzony przez mężczyznę. Był to chyba znak, że przeklinają słońce.

— Ostatnio jednak przybyli znacznie dziwniejsi ludzie. Czyżby był to początek spełniania się dawno przepowiedzianego losu? — końcem bata podniosła podbródek Achilei. — Niegdy nie myślałam, że może istnieć kobieta taka jak ty; wielkie silne zwierzę, nie pozbawione jednak piękna — nagle spojrzała na zamaskowanego mężczyznę — Zgadzasz się, Abbadasie?

— Myślę, że jest brzydka — powiedział, ale Conan uchwycił ton kłamstwa w jego głosie.

Zdawało mu się, że tamten przez cały czas oblizuje wargi pod osłoną maski. — To z

pewnością nie są ludzie, a jakiś gatunek pustynnych małp, które zabłądziły ze swoich siedzib aż tutaj.

— Myślę, że jednak nie — powiedziała kobieta, chichocząc. — I nie próbuj mnie zwieść.

Odczuwasz do niej pociąg i nie winię cię za to. Tak dojrzałe i pełne życia ciało to o wiele więcej, niż może zaoferować nasz blady lud — odwróciła się do Conana. — Ten barbarzyńca też ma swoje zalety — nagle zwróciła gwałtownie twarz w kierunku zamaskowanego

mężczyzny. — Ale na razie nie próbuj nawet ich dotknąć! Są moi i mogę zrobić z nimi, co zechcę.

Mężczyzna skłonił się ze źle ukrywaną złością.

— Nigdy nie sprzeciwiłbym się twoim życzeniom. Omio.

— Pamiętaj, aby tak się nie stało. Idź już. Pomówimy o tym później.

Mężczyzna odwrócił się niechętnie i wyszedł z komnaty. Kobieta patrzyła za nim z

uśmiechem na swoich pełnych wargach. Potem usiadła na poduszkach naprzeciwko swoich jeńców. Gdyby mieli wolne ręce, bez trudu mogliby ją zabić.

Conan zastanawiał się, czy ona zdaje sobie sprawę, że on może zabić ją jednym potężnym

wymachnięciem nogi. Ale i tak pozostałby przykuty do podłogi. Nic by mu z tego nie

przyszło i ona to wiedziała.

— Moi goście potrzebują czegoś dla orzeźwienia — odezwała Omia.

W kilka sekund cztery niewolnice kucnęły przy Conanie i Achilei, po dwie przy każdym z nich. Jedna trzymała kubek, druga tacę z przysmakami. Achilea odwróciła głowę, ale Conan ją przekonywał.

— Jedz — rzekł — siła jest ważna.

Niechętnie napiła się z kubka, a potem ugryzła kawałek słodkiego mięsa. Cymmerianin

uczynił to samo. Wino dawało się pić, ale miało gorzki posmak. Jedzenie było lekko słodkie, prawie bez smaku i przypominało smakiem grzyby.

— Teraz lepiej — powiedziała kobieta. — Chcę, żebyście byli zdrowi — uśmiechnęła się ciepło. — A teraz powiedzcie, czego szukacie w Błogosławionym Janagarze?

— Mówiłem wcześniej — powiedział Conan. — Szukamy towarzyszy.

— Kłamiesz! — wrzasnęła siekąc go biczem przez twarz. — Nikt nigdy nie przyszedł do

Janagaru szukać towarzyszy!

— Niech cię Crom przeklnie, kobieto! — krzyknął Conan — mówię ci prawdę!

Przybyliśmy tu z ludźmi, którzy czegoś tu szukali, ale zniknęli na pustyni i doszli tu sami.

Kobieta znów się uśmiechnęła.

— Teraz lepiej. — Zwróciła się do Achilei. — A czegoż to szukali tutaj wasi towarzysze?

Achilea wzruszyła ramionami.

— Mówili, że skarbu, który został tu porzucony przed tysiącami lat. Teraz już nie jestem tego pewna.

Omia zaśmiała się i klasnęła w dłonie.

— Skarby! Tak, rzeczywiście mamy ich tu aż w nadmiarze! A także coś o wiele bardziej wartościowego!

— Co to za miejsce? — spytała Achilea. — Jak ludzie mogą żyć pod ziemią jak mrówki, nigdy nie widząc słońca? — W tym momencie bicz przeszedł ze świstem przez jej twarz pozostawiając czerwoną szramę.

— To ja zadaję tu pytania, nie ty! — Omia wpadła w ślepią furję. Dziwnie szybko jednak uspokoiła się i pogładziła palcami ranę, którą przed chwilą zadała. — Wy najlepiej

powinniście zrozumieć złą naturę słońca — znów uczyniła tajemniczy znak. — Widzę jego ślady na was. Dawno, dawno temu uciekliśmy przed tym złem. Teraz i wy musicie to zrobić i zostać z nami tu na dole. Wyjdzie wam to tylko na dobre, jeśli okażecie się godni.

— Co masz na myśli? — spytała Achilea i skrzywiła się pod kolejnym ciosem przez drugi policzek.

— Wolno się uczysz! — Omia wstała. — Twój przerośnięty przyjaciel wie przynajmniej,

kiedy zachować milczenie. Być może jesteście tacy, jak wyglądacie: parą bezmózgich

zwierząt. — Znów obdarzyła ich swoim ciepłym uśmiechem. — Ale nie zgadzam się z

Abbadasem. Myślę, że oboje jesteście na swój sposób piękni. — Klasnęła w dłonie. —

Straże! — Dziesięcioro uzbrojonych kobiet i mężczyzn weszło do komnaty. — Weźcie ich do zagród. Niech ich umyją.

Ich łańcuchy odpięto od podłogi i zostali wyprowadzeni. Każde było prowadzone przez

kobietę trzymającą ich za łańcuch jak psa na smyczy. Ostre włócznie z tyłu popychały ich do przodu.

Ze starego przyzwyczajenia Conan zrobił w myślach inwentarz broni. Chciał wiedzieć, co chwycić, gdyby przydarzyła się okazja do ucieczki. Oprócz włócznie niektórzy mieli także miecze i sztylety. Paru także topory na krótkich trzonkach. Topory miały lekkie zaokrąglone w półksiężyc ostrza i wyglądały dziwnie znajomo. Potem jego uwagę przyciągnął krótki miecz kobiety trzymającej go za łańcuch. Był zakrzywiony tak, że rękojeść wystawała jej tuż ponad biodro, a schowane półmetrowe ostrze sięgało jej pośladków. Po charakterystycznym kształcie rozpoznał stygijską broń. Dodatkowym śladem były stygijskie hieroglify

ozdabiające pokrowiec.

Głównym korytarzem szli krótko, doszli do ciężkich drzwi, strzeżonych przez dwóch

strażników. Drzwi otworzyły się ukazując niski tunel. Popchnięto ich do środka. Tunel pozbawiony był dekoracji a ślady tępych narzędzi wskazywały, że został wykuty w litej skale.

Światło dochodziło z takich samych jak wcześniej miedzianych kielichów oświetlających tylko odrobinę więcej niż zwykłe świece. Świeże powietrze gwizdało przez zakratowane otwory w podłodze.

Przechodzili obok wielu niskich drzwi, za którymi Conan widział ludzi obojga płci

przykutych do ścian. Prawie wszyscy mieli krótko przystrzyżone włosy.

— Tu karzą nieposłusznych niewolników — powiedział.

Zabrano ich do pomieszczenia, gdzie ze ściany tryskała woda. Wpadała do szerokiego koryta i znikła gdzieś odpływając. Powietrze było tu ciężkie, wilgotne i stęchłe.

— Do środka! — warknął strażnik.

Było to pierwsze słowo, jakie usłyszeli od tych ludzi. Wprawne ręce rozebrały ich z resztek ubioru, jaki jeszcze mieli na sobie. Weszli do koryta, a niewolnicy za pomocą szczotek wskazali im, że mają zanurzyć się pod wodę.

— Sądząc po zapachu przysięgłbym, że to rzeczna woda — powiedział Conan przed zanurzeniem się pod powierzchnię.

— Wstać! — powiedział niewolnik, gdy wynurzyli się, by zaczerpnąć powietrza. Usłuchali.

Gdy stali, woda sięgała im do połowy uda. Niewolnicy weszli do koryta i zaczęli wylewać na ich głowy i ciała wonne olejki i wcierać je za pomocą szczotek. Achilea z zaciśniętymi zębami znosiła twarde dotknięcia szczotek na swojej wrażliwej skórze.

— Ostrożnie tam! — powiedział Conan. — Ona jest poparzona. — Niewolnica myjąca

Achileę kiwnęła głową i zamieniła szczotkę na materiał. Przynajmniej, pomyślał, niewolnicy potrafią ich zrozumieć, jeśli nie mogą, lub nie chcą mówić.

Dokładnie umyć wyszli z koryta i osuszono ich szorstkimi ręcznikami, po czym popchnięto dalej w głąb więzienia. Przeszli obok komnaty, gdzie trzy kobiety, karzeł i Kye-Dee stali przykuci do ścian. Na widok swojej królowej rzucili się w jej kierunku, na ile pozwoliła im długość łańcuchów i głośno wyrażali swoją radość, że jest cała i zdrowa. Hyrkańczyk

pozostał apatyczny.

Gdy Achilea wypowiadała słowa otuchy, Conan nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Oczyszczone ze swoich malunków na skórze dzikie dziewice okazały się nawet całkiem ładne.

Conana i Achileę zabrano do nieco większego pomieszczenia, gdzie ich łańcuchy przypięto do przeciwległych ścian. Potem strażnicy rozwiązali im ręce i wyszli. Rozcierając nadgarstki i rozprostowując palce oboje przyglądali się swojemu otoczeniu. Płomień za drzwiami był

jedynym źródłem oświetlenia. Gdy napięli łańcuchy, dzieliły ich jeszcze jakieś dwa kroki, więc bezradnie siedli na zimnej kamiennej podłodze.

— Conanie, czy my trafiliśmy między szaleńców? — spytała Achilea.

— Trudno powiedzieć. Gdy pierwszy raz znalazłem się w mieście to też myślałem, że

wszyscy tam są szaleńcami, tak bardzo różnili się od wieśniaków i moich współziomków, z którymi wzrastałem. Z pewnością jednak życie w takim, jak tu mrowisku może przyprawić o utratę zmysłów.

— Jeszcze nigdy nie byłam w okowach! Muszę się stąd wydostać! — Achilea szarpnęła swój łańcuch, a w jej głosie brzmiała złość i zdenerwowanie, które dotychczas ukrywała.

— Ja byłem skuwany wiele razy — pocieszał ją. — I wiem, że bezcelowa jest walka ze

stalowymi łańcuchami, jeśli nie ma się narzędzi. Zachowaj spokój i powiedz sobie, że to przeczekaasz. Bądź czujna, zwracaj uwagę na każdą szansę, każdy błąd strażnika. W ten sposób wygrywałem wolność wiele razy. Tym, którzy poddają się rozpaczycy albo szaleją z wściekłości, nigdy nie udaje się uciec.

— Naprawdę? — spytała. Jego słowa wyraźnie ją pocieszyły. — Więc postaram się zrobić, jak mówisz. Nie będzie to jednak łatwe. Jestem królową nie dość że na wygnaniu, to jeszcze teraz tak mnie traktują. To gorsze dla mojej dumy niż słońce dla mojego ciała.

— Teraz lepiej — powiedział Conan z bladym uśmiechem. — Schładzanie dumy w zimnej wodzie, od czasu do czasu, nie jest złe.

— Moja królowo! — był to głos Payny. — Czy mnie słyszysz?

— Tak! — odkrzyknęła Achilea i opisała im sytuację. Przekazała też radę Conana. Kobiety były spokojniejsze, jeśli nic złego nie działo się z ich królową.

— Jak sądzisz, co ta podła kobieta miała na myśli mówiąc, że mamy dowieść swojej wartości? — zapytała Conana.

— Nie wiem — odpowiedział rozbawiony słysząc, jak Achilea nazywa tamtą podłą. — Ale nie wątpię, że wkrótce się o tym przekonamy. Bardziej interesuje mnie ta woda.

— Rzeczywiście pachniała jak w rzece. Nie jak ze źródła. Jak to możliwe w środku pustyni?

— Może pochodzić tylko z jednego miejsca — zapewnił ją. — Spod ziemi. To jest

możliwe. I jeszcze mam coś: kobieta, która mnie prowadziła, nosiła przy pasie stygijski miecz. To oznacza, że ci ludzie mają jakiś kontakt ze światem zewnętrznym. Wydaje mi się, że także ich topory

były stygijskie.

— A jeśli ta broń jest bardzo stara? — zapytała.

— To możliwe, ale pochwa na pewno nie była stara. Jest skórzana i są na niej stygijskie znaki.

Wzruszyła ramionami.

— I co z tego wynika dla nas? Kobieta mówiła, że czasem ludzie dotrą tu i umierają z pragnienia i upału. Może w ten sposób broń trafiła tutaj.

— Może — zgodził się Conan. — Ale pamiętaj, co ci mówiłem: bądź czujna i wypatruj

okazji. Każda najmniejsza informacja może pomóc nam wydostać się stąd. Tu gdzieś płynie rzeka, a przez Stygię płynie największa rzeka świata.

— Jeśli wydostaniemy się z tych podziemi, czy będziesz potrafił znaleźć drogę na powierzchnię?

— Tak — odparł bez wahania. — Nigdy nie zapominam, skąd prowadziły mnie moje kroki.

— Ja także wychowałam się w krainie, gdzie ważną cechą był silnie rozwinięty zmysł orientacji. Ale jeszcze nigdy nie byłam w takiej królikarni. Tu nie ma ani gwiazd, ani księżycy, ani wiatru. — Conan widział, że wydarzenia ostatnich dni podkopały jej wiarę w siebie.

— To pomaga — rzekł — jeśli spędziło się dużo czasu w lasach Piktyjskiej Dżicy albo w dżungli na południu. Miasto jest po prostu innego rodzaju dżunglą, nawet podziemne tak jak to.

— Co sądzisz o tych latarniach, które palą się bez dymu? Czy to czary?

— Nigdy nie widziałem podobnych — przyznał — ale jakoś nie wydaje mi się, żeby były

magiczne. Gdy nas tu prowadzono, widziałem niewolnika czyszczącego jedną, jak czyści się lampę oliwną. Może działają dzięki spalaniu niewidzialnych oparów. Widziałem alchemików, którzy spalali parę w swoich laboratoriach, a chyba każdy widział parę z kotłów, gdzie wypala się węgiel drzewny.

— No dobrze — rzekła z niedowierzaniem — może i tak jest. Ale i tak mi się to nie

podoba. — Przez chwilę milczała, po czym powiedziała. — Ile czasu upłynęło, od kiedy wstaliśmy? W tych przeklętych zaświatach nie da się zachować rachuby czasu.

— Jeśli o to chodzi, to nie wiem więcej niż ty — odparł Conan ziewając. — Ale myślę, że nam obojgu dobrze zrobiłby sen.

Położyli się, a ona powiedziała:

— Byli tak mili kąpiąc nas, że można by spodziewać się, że dadzą nam też jakieś przyzwoite posłanie.

Conan zaśmiał się.

— Myślę, że kąpiel była dla ich wygody, nie dla naszej. Chyba bardzo dbają o higienę. Poza tym nie interesuje ich nasza wygoda. — Wyciągnął się, założył ręce za głowę i zapatrzył się w sufit. — Myślę, że brak posłania to nie jest jeszcze najgorsze, co nas tutaj spotka.

Spał długo i bez snów. Obudziwszy się zobaczył Achileę oglądającą swoją skórę w świetle dziwnej latarni. Delikatnie wodziła palcami po swoich ramionach i udach, potem po zarysach swoich piersi.

— Czy wszystko jest na miejscu? — spytał. Zaśmiała się cicho.

— Myślałam, że śpisz. Tak, wszystko na miejscu i w lepszym stanie, niż myślałam. Olejki, którymi nas natarli, muszą mieć właściwości lecznicze. Oparzenia już mnie nie pieką i spalona skóra już się złuszczyła. Nawet wargi nie są już popękane.

— To dobrze — powiedział wstając i przecierając oczy. — Nie możemy być słabi podczas ucieczki. A jak twoje oczy?

— Widzę znakomicie jak na takie półmroki.

— Tak, wyglądasz dobrze — powiedział szczerze. Jego spojrzenie chłonęło każdy centymetr jej ciała. — Gdyby te łańcuchy były dłuższe...

Spojrzała na niego wyniośle.

— Twoje szczęście, że nie są dłuższe, bo musiałabym złamać ci twój sztywny cymmeriański kark.

— Widzę, że odzyskujesz dumę — rzekł kwaśno. Wydawało mu się jednak, że w jej głosie jest nuta przekory.

Niewolnik przyniósł pojedynczą wazę dymiącego płynu i naczynie z wodą. Postawił to przed nimi i wyszedł. Conan podniósł naczynie i pił, Achilea przechyliła wazę do ust i skrzywiła się.

— Znowu coś z grzybami — powiedziała podając wazę Conanowi, a biorąc od niego naczynie. — Czy ci ludzie nie znają zwykłego mięsa?

Conan nabrał pełne usta słodkiego wywaru, w którym pływały kawałki grzybów jak z

gumy.

— To nas wzmocni — rzekł. — A poza tym nawet gdyby mieli mnóstwo mięsa, nie marnowaliby go na więźniów. Czerstwy chleb i twarde ser to zwykła więzienna porcja. To przynajmniej jest ciepłe.

Skończyli skromny posiłek i Achilea na chwilę poświęciła się rozmowie ze swoją świtą.

Wydawało się, że dźwięk jej głosu jest im potrzebny.

— Czy któryś z więźniów tam mówił wam coś? — spytał Conan.

— Nie odpowiadają nam — powiedział Jeyba.

— I tak nie mieliby nic do powiedzenia — dodał Kye-Dee. — Oni są na wszystko obojętni.

Niewolnicy, którzy żyją jak robaki.

— Ale może mogą powiedzieć nam coś o naszej sytuacji — powiedział Conan. Dotąd

jednak nie słyszał, by mówili cokolwiek, nawet między sobą. Postanowił zbadać tę sprawę dokładniej.

Niedługo po posiłku przyszli strażnicy, by jeszcze raz zabrać ich do łaźni. Gdy przyniesiono im następny posiłek, Conan chwycił niewolnicę za ramiona. Achilea spojrzała zdziwiona.

— Powiedz coś, kobieto — rozkazał. Nie odpowiedziała nic, wpatrując się tylko w niego swoimi bladymi, przerażonymi oczami. Złapał ją za dolną szczękę i zmusił do otwarcia ust.

— Nie ma języka — oznajmił. — Być może wszystkich tak potraktowano. — Achilea parsknęła z odrazą.

— Cywilizowani ludzie nazywają nas barbarzyńcami, bo żyjemy jak drapieżniki. Ale to jest naturalny i czysty sposób życia. A to, co oni robią, jest okropne i wypaczone.

— Nie będę się spierał — rzekł Conan.

Kilka godzin później nadszedł oddział strażników. Związano im ręce i wyprowadzono z

celi. W komnacie, niedaleko łaźni spotkali trzy kobiety, karła i Kye-Dee. Niewolnicy ubrali Conana w jego wilczy płaszcz i wybijany pas, a Achileę w jej przybranie z lisa. Ich

pustynnych ubrań nie było, ale Conan zauważył, że stroje, które im oddano zostały

skrupulatnie wyczyszczone.

Payna podeszła do swojej królowej i powiedziała cicho.

— Czy ten mężczyzna próbował cię napastować?

Achilea uśmiechnęła się.

— Zrobiłby to, ale łańcuch był za krótki.

— Ha! — rzekł Conan. — Ona swój rozciągnęła o dobre centymetry starając się do mnie dostać!

— Cisza! — warknęła kobieta ze straży. Jeyba uderzył ją głową w goły brzuch, aż wydała jęk. Upadła do tyłu, wypuszczając z rąk włócznie.

— Trochę szacunku dla naszej królowej, dziewczko! — wrzasnął.

Natychmiast w jego gardło wymierzyło dziesięć włóczy.

— Spokój, Jeyba — uspokajał Conan, ale w jego głosie wyczuć można było aprobatę dla karła. — Nie ma sensu dać się zabić tak wcześnie.

Popychani, opuścili lochy.

ROZDZIAŁ XI

Zaprowadzono ich do nowej części labiryntu. Odkryli, że główny korytarz w wielu miejscach krzyżował się z innymi, mniejszymi. W pewnym momencie schody doprowadziły

ich do miejsca, gdzie zapach rzeki był szczególnie silny. Przechodzili przez naturalne groty, gdzie w dużej obfitości rosły grzyby. Niektóre wyglądały jak groteskowe muchomory, inne przypominały kształtem rozgałęziające się koralowce, jeszcze inne zwisały ze stropu tworząc cienkie zasłony, zbite grupy bądź kształty poskręcane niczym rogi barana.

Tutaj nie było już bezdymnych latarni. Nie były konieczne, ponieważ grzyby wydzielały swoje własne zimne światło: purpurowe, czerwone i chorobliwie zielone. Ta przerażająca iluminacja sprawiała, że ludzie wyglądali jak chodzące trupy.

— Czy cały czas pamiętasz, jak tu doszliśmy? — spytała Achilea, gdy minęli grzybowe komnaty.

— Tak — odparł — ale chętnie znalazłbym jakiś skrót.

— Cisza tam! — zawołał strażnik.

— Usiądź na swojej włóczni, psie — rzekł pogardliwie Conan. — Wasza królowa, czy ktokolwiek to jest, chce nas żywych, więc nie marnuj czasu na czcze groźby.

Jeyba roześmiał się na te słowa.

— Nigdy jednak nie wspominała, że macie być cali — powiedział kobieta, którą uderzył

Jeyba. Ukłuła krasnoluda dotkliwie w pośladek, aż wrzasnął z bólu. Tym razem roześmiali się strażnicy.

— Przynajmniej mają poczucie humoru — rzekł Kye-Dee.

Idąc w dół bocznym korytarzem dotarli do miejsca, gdzie rozlegał się dźwięk bardzo

niezwykły w tych okolicznościach. — Dźwięk piłowanego drewna. Gdy przeszli przez portal, Conan przystanął i spojrzał. Grupa niewolników długimi piłami, po dwóch przy każdej, dzieliła duże bale drewna na deski i kloce. Powietrze przepelnione było przyjemnym

zapachem drzewnego pyłu i żywicy.

— Grzyby mogą rosnać bez światła — odezwała się Achilea — ale drzewa? Jak oni... —

Strażnik pchnął ją włócznią w kręgosłup, ukazała się krew.

— Dość! — warknął Conan. Z zadziwiającą szybkością podciął strażników nogi. Zupełnie nie przeszkodziły mu w tym skuwające nogi łańcuchy. Krótkie kopnięcie w brzuch

unieruchomiło człowieka, po czym noga Conana spoczęła na jego szyi. Wyczuł pod stopą tchawicę i lekko nacisnął. Tymczasem dowódca straży wyciągnął miecz i przyłożył go do gardła Jeyby.

— Jeśli go zabijesz, on zginie — powiedział. — Królowa jest zainteresowana tylko dużą kobietą i tobą. Jeszcze jedna niespodzianka ze strony któregoś z was i mały człowiek zginie.

Po nim tamten — wskazał głową Kye-Dea. — Po nim trzy mniejsze kobiety, jedna po drugiej. Zrozumiałeś?

— Tak — odparł Conan zdejmując nogę. Uwolniony człowiek dysząc i charcząc przeturlał się na bok zwijając w kulę. — Pamiętaj, jestem cierpliwy, ale moja cierpliwość ma granice.

Nic więcej nie zostało powiedziane, ale uśmiech, którym obdarzyła go Achilea, przypawił

Conana o dobry humor. Droga skończyła się w obszernej, okrągłej grocie. W podłodze

wykuto parę rzędów siedzisk otaczających owalny dół. Siedziska były suto wyłożone

jedwabnymi poduszkami. Nad głowami wisiał największy żyrandol, jaki kiedykolwiek widzieli, dający światło z setek bezdymnych palników. Nie było tam nikogo.

Wprowadzono ich do szczęsiennej klatki, zamykanej na żelazne sztaby. Stała nad krawędzią dołu. Była tam pojedyncza ławka. Popychając w plecy włóczyniami wepchnięto ich do wnętrza, a dowódca straży zamknął drzwi.

— Co to jest, moja królowo? — odparł Payna.

— Nigdy nie widziałaś dołu do walk? — spytał Conan.

— Tak — odezwała się Achilea — w kilku miastach i wioskach i na targach. Ale tamte były byle jakie, zbudowane z darni i drewna. Kto mógł zbudować dół tak wielki i trwały?

— Ludzie, którzy lubią widok krwi — odpowiedział — tacy wolą raczej oglądać walki, niż walczyć.

Wyglądało na to, że mają przed sobą dłuższe czekanie.

— Drewno, skóra, materiał — zamyślił się Conan. — Takie rzeczy muszą pochodzić z powierzchni i założę się, że nie były sprowadzane przez pustynię. Bale, które cięli niewolnicy, były świeże, pełne żywicy.

— Nie masz się o co zakładać — zażartowała Achilea — a w dodatku zgadzam się z tobą.

— Może wyprawiają ludzką skórę — rzekł Kye-Dee. — W moim plemienu bębny wojenne wyrabia się ze skóry wrogów.

— Jedwab robią pająki — odezwał się Jeyba — a pająki żyją w ciemnych, pozbawionych słońca miejscach. Może tkają jedwab z pajęczyn.

— To wciąż nie wyjaśnia tych drewnianych bali — upierał się Conan.

— Ci ludzie są potężnymi magami — rzekł Kye-Dee — może drewno też mają dzięki sztukom.

Conan nie mógł się z tym zgodzić. Jak do tej pory nie zaobserwował niczego, co

wskazywałoby na czarodziejski kunszt tego dziwnego ludu. Przeciwnie, zdawali się być prozaiczni jak mrówki. Tylko miejsce, które wybrali sobie do życia, było niezwykle.

Dalszą rozmowę przerwali im ludzie wchodzący do groty przez liczne wejścia. Schodzili przejściami

dzielącymi rządy na sektory w kształcie klinów i zasiadali na wyłożonych poduszkami miejscach. Conan zauważył, że w szczególny sposób przestrzegają porządku. W

każdym sektorze siedzieli ludzie o wyraźnie odmiennym stroju. W jednym byli w płaszczach z czegoś przypominającego papier i mieli ogolone głowy, w innym siedziały kobiety w

maskach węży. Jeszcze w innym mężczyźni i kobiety mieli maski przykrywające tylko lewą połowę twarzy, w rękach trzymali zakończone kryształem różdżki. Czy te insygnia

rozdzielały ich hierarchię i status czy zajęcie, nie mógł ustalić.

Wszyscy podnieśli się ze swoich miejsc, gdy weszła Omia w towarzystwie Abbadasa.

Kroczył tuż za nią ubrany w tę samą zbroję, którą miał na sobie w momencie ich pojmania.

Za Abbadasem wszedł mały, bezwłosy człowieczek w prostym, sięgającym ziemi płaszczu z jedwabiu. Rysy jego twarzy zdawały się dziwnie znajome.

— Kim jest ten za Abbadasem? — spytała Achilea. — Wygląda na jednego z nich, a mimo to wydaje mi się, że go znam.

— Znasz — odrzekł Conan z ponurą satysfakcją. — Poczernij jego skórę farbą, przypraw mu brodę i ubierz w pustynny strój i będziesz miała naszego starego znajomego, Amrama.

— Amram! — powiedziała. — Jest jednym z nich?

Conan pokręcił głową.

— Myślę, że nie. Jego kotyjski akcent był zbyt wyraźny, a opowiadanie przekonujące.

Pewnie jest tu już dostatecznie długo, by się do nich upodobnić.

Rzeczywiście, człowiek, którego znali jako Amram, był tak blady jak reszta mieszkańców.

Jego oczy jednak były brązowe, tak jak ciemne były odrosty na ogolonej głowie.

Cymmerianin domyślał się, że zgolił głowę, by zlać się z motłochem, bo ci, którzy mieli włosy, byli biali jak albinosi. Najwyraźniej Amramowi udawało się przeżyć w ciężkich warunkach dzięki talentowi: jak kameleon przeobrażał się i stapiał z otoczeniem.

— Kto następny? — zastanawiała się Achilea. — Może bliźniaki?

Jednak tajemnicza para najwyraźniej nie miała się pojawić. Obok jaskini i nad areną

znajdowała się niewielka platforma. Tam, na suto wyłożonych siedzeniach, miejsca zajęli Omia i Abbadas. Amram stanął za nimi, wśród grupy usługujących niewolników. Gdy

rozgościli się już w swojej loży, rząd niewolników zaczął grać na strunowych instrumentach z drewna i metalu. Muzyka była ostra o metalicznym dźwięku i przenikliwych piskach. Grupa młodych, ładnych niewolnic weszła do dołu i zaczęła odprawiać skomplikowane tańce, pełne akrobatycznych popisów.

— Może nie będzie tak źle — rzekł Kye–Dee z nerwowym uśmiechem.

— Uwierzę w to, gdy będzie już po wszystkim — odparł Conan. Spojrzał na Omię. —

Dlaczego tu jesteśmy?

W jej oczach pojawiło się szalone światło.

— Mówiłam wam, że nie wolno wam zadawać pytań.

Rzucił głową w kierunku areny na dole.

— Wnosząc z wyglądu tego miejsca, nie mam wiele do stracenia zadając pytania.

Abbadas uśmiechnął się dyskretnie, a Omia nabrała jeszcze bardziej wściekłego wyrazu.

Amram pochylił się i powiedział jej do ucha.

— Moja królowo i pani, ten wielki zbój jest zuchwały, ale czy właśnie jego zuchwalstwo nie było jednym z powodów, dla których chciałaś go mieć?

Opadła na swoje poduszki.

— Tak, rzeczywiście. Mam szczerą nadzieję, że nas nie zawiedzie.

— Czy zaczniemy od niego? — spytał Abbadas.

— Nie, on i opalona kobieta są najlepsi — spojrzała leniwie na jeńców, ale i z

okrucieństwem. — Ci dwaj — wskazała na Kye–Dee i Leybę — wydają się być gorszej

jakości. Niech oni będą pierwsi.

— Co? — krzyknął Conan. — Walczymy tylko razem!

— Znów mi się sprzeciwiasz! — głos Omii przeszedł w krzyk, a w jej oczach zapłonęły

ogień. — Nie ma żadnego „razem”! Wszyscy jesteście moimi niewolnikami i mogę robić z wami, co zechcę. Ze wszystkimi naraz i z każdym osobno! Straże, oddzielcie go od

pozostałych i obezwładnijcie.

Przez kraty wepchnięto długie kije, którymi zmuszono Conana do przemieszczenia się w róg klatki,

gdzie przytwierdzono do prętów jego obrozę. Teraz nie mógł się ruszać dalej niż o krok. Kłął, był wściekły ale bezsilny.

Drzwi otworzyły się na oścież.

— Wy dwaj! Wychodzić! — powiedział dowódca straży do Karła i Hyrkańczyka.

— Jeyba! — odezwała się Achilea chwytając człowieka za rami. — Ja...

— Czy ty też domagasz się krótszego łańcucha, moja piękna królowo–niewolnico? — spytała władczo Omia.

Karzeł poklepał rękę swojej królowej.

— Lepiej już pójdę. Pomścij mnie, jeśli będziesz mogła, ale przede wszystkim wyjdź stąd cała — mówił cicho tak, by tylko najbliższej stojący towarzysze mogli go usłyszeć. Wskazał

wzrokiem na Cymmerianina. — Jeśli będziesz mogła, trzymaj się go — poprosił Achileę — jeśli w ogóle ktoś jest w stanie stąd cię zabrać, to na pewno on. — Z tymi słowami karzeł wyszedł z klatki.

Kye–Dee nie chciał być gorszy i też dumnie przyjął swój los.

— Ha! — krzyknął z szyderstwem. — Pokażę tym obrzydliwym larwom, że wojownik z

Klanu Żółwi jest lepszy od innych ludzi! Chcę tylko broni. Potem możecie wpuścić swoich wojowników, bestie i demony!

— O, dostaniesz broń — rzekł Abbadas. — Inaczej dostarczyłbyś niewielkiej rozrywki.

Omia klasnęła w dłonie dwukrotnie i muzyka ustała. Tancerze przerwali swoje pląsy w

połowie dźwięku i wybiegli przez to samo wejście, którym się pojawili — przez zakratowany łuk naprzeciw platformy Omii. Gdy ostatni z nich przeszedł, kratę opuszczono.

Krótkie schody obok klatki zaprowadziły Kye–Dee i Jeybę na poziom areny, gdzie

zaryglowane drzwi broniły dostępu. Rygle podniesiono i obaj zostali wepchnięci do środka.

Strażnik wszedł razem z nimi i rozwiązawszy im ręce szybko wyszedł i drzwi ponownie zaryglowano.

Na arenę wkroczyła niewolnica niosąc broń. Wręczyła im obu: Jeybie jego własną, okutą w metal pałkę i krótki topór, a Kye–Dee jego długą szablę z zakrzywionym ostrzem.

Hyrkańczyk ujął rękę i zaczął nią kręcić, by rozgrzać rękę.

— To wspaniała broń i dobrze nią władam — oznajmił. — Ale gdzie mój łuk?

— Zdaje ci się, że dalibyśmy ci broń, którą mógłbyś nas pozabijać? — spytała Omia ze śmiechem.

— Nie — przyznał Kye-Dee — ale warto było spróbować.

Karzeł nie odezwał się ani słowem stojąc twardo na swoich krótkich nogach niczym pień drzewa. W jednej ręce ścisnął maczugę, w drugiej topór. Sprawiał wrażenie gotowego na wszystko.

— Zaczynać! — odezwał się Abbadas.

Zakratowane drzwi, którymi wyszli tancerze podniosły się jeszcze raz. Conan przyjrzał się czterem wojownikom, którzy przez nie weszli. Byli bez wątpienia niewolnikami, na co

wskazywały ich krótkie włosy, ale byli więksi i o wiele lepiej zbudowani niż ktokolwiek na widowni. Doszedł do wniosku, że byli to specjaliści niewolnicy albo skazani obywatele, trenowani do walk ku uciesze publiczności. Na rękach i nogach nosili najprzeróżniejsze fragmenty zbroi, z których żaden nie pochodził z tej samej. Na szyi mieli ochraniacze z czarnej stali. Żaden z nich nie nosił hełmu ani osłon na torsie. Każdy natomiast w lewej ręce trzymał małą tarczę o niewielkiej średnicy. Prawą ręką trzymali krótkie proste miecze o podwójnym ostrzu.

— Czterech przeciwko dwóm! — splunęła Achilea. — To żadne współzawodnictwo!

— Współzawodnictwo? — rzekł Abbadas ospale. — Nie znam tego słowa.

— W to nie wątpię — odezwał się Conan. — Pozwólcie im przynajmniej walczyć jeden na jednego, po kolei.

— Dlaczego? — spytała Omia. — Ci dwaj mają zginąć, a my chcemy się zabawić. Wasze życzenia nie mają tu znaczenia. — Odwróciła się do tłumu i wstała. Oni uczynili podobnie.

— Ludu świętego Janagaru! — krzyknęła. — W wieku, który dawno minął, nasi bogowie

uchronili nas przed okropnością słońca i nauczyli, jak powinni żyć prawdziwi ludzie! — Po sposobie, w jaki recytowała swoje, słowa Conan domyślił się, że jest to jakaś rytualna formuła. — Raz jeszcze złożymy podziękowania sposobem naszych przodków — krwią. Tym

razem... — tu jej głos stracił już swoje rytualne brzmienie — tym razem jednak ofiarujemy krew nie tylko swoją, ale także tych, co mieszkają pod słońcem. Niech będzie ono przeklęte!

— Niech będzie przeklęte! — wrzasnął tłum widzów głośno.

— Jeszcze kilka dni temu przyłączyłabym się pewnie do tych przekleństw — powiedziała Achilea.

— Teraz dałabym słońcu spalić się jeszcze raz, byle choć przez chwilę na nie spojrzeć.

Omia usiadła na swoim miejscu i podobnie uczynili widzowie.

— Zaczynać! — krzyknęła.

Achilea i jej kobiety przyciskając twarze do krat z zimnego żelaza oczy utkwili w rozwijający się przed wszystkimi dramat. Conan, choć przykuty w rogu, miał dobry widok.

Jego twarz pozostawała nieruchoma, ale w sercu płonęła nienawiść i szal.

Czterech niewolników utworzyło szyk, starając się zająć ofiary z boku i z przodu.

Krasnolud i Hyrkańczyk stali ramię przy ramieniu, ale w ich oczach pojawił się niepokój.

— Złączmy się plecami? — zasugerował Kye–Dee.

— Tak będzie najlepiej — mruknął karzeł — zostaw mi tylko miejsce.

I tak stanęli, przytuleni do siebie, podczas gdy ich wrogowie krążyli wokół. W końcu dwóch rzuciło się na Jeybę, po jednym z każdej strony. Jeden pchnął mieczem karła w twarz, ale Jeyba schylił się i zamachnął maczugą na kolano przeciwnika. Niewolnik zdołał nadstawić tarczę i rozległ się dźwięk podobny do gongu, a tarcza wygięła się do wewnątrz. Atakujący odskoczył do tyłu z grymasem na twarzy i bezwładną lewą ręką.

W tym samym momencie drugi pochylił się i zadał pchnięcie. Myśląc, że krasnolud

pochłonięty jest swoim przeciwnikiem, nie osłonił się prawidłowo i grube ostrze topora podniesione się w górę rozłupało mu szczękę od podbródka po nos. Jego broń zdołała jednak zostawić niewielką ranę na ramieniu Jeyby.

Achilea i jej kobiety wydały z siebie okrzyk zadowolenia. Kye–Dee trzymał przeciwników na dystans i swoim długim mieczem wywijał przed ich oczami koła i ósemki. Conan wiedział, że takiej taktyki nie można utrzymywać długo z powodu nieuniknionego zmęczenia.

Hyrkańczycy byli wspaniałymi wojownikami na koniach, w innych okolicznościach byli

mniej skuteczni. Kye–Dee jednak władał mieczem najlepiej wśród swoich ziomków.

— Ha! — krzyknął wykonując skok do przodu w kierunku napastnika po prawej stronie.

Niewolnik po lewej chciał natychmiast wykorzystać powstałą wolną przestrzeń, ale skok był

pozorowany i Kye–Dee wycofał się siekąc przeciwnika. Tamten podniósł tarczę, ale tym ruchem skierował ostrze na swoją twarz i upadł z krzykiem. W tym momencie drugi rzucił się do przodu wbijając miecz w bok Hyrkańczyka. Ostrze trafiło na żebra i odbiło się, ale rana była poważna i

krwawiła. Kye–Dee uderzył niewolnika łokciem w twarz, a mieczem przeciął

arterie i ścięgna na przeciwnika szyi. Ten zachwiał się do tyłu i upadł, a z jego rozciętej tchawicy trysnęła obrzydliwa piana.

Tłum wydał z siebie pomruk, gdy skończyła się ta gwałtowna wymiana ciosów i walka wkroczyła w następną fazę.

Teraz każdy z nich miał przeciwko sobie jednego i wszyscy czterej byli ranni.

Pierwszy ponowił atak przeciwnik Jeyby. Cios, który otrzymał od karła tylko zachwiał mu rękę trzymającą tarczę, podczas gdy Jeyba otrzymał cięcie bardziej poważne: z rany lała się krew, a mięsień ramienia był rozerwany.

Jeyba odepchnął spadający na niego miecz maczugą i zamierzył się toporem na szyję

nieprzyjaciela, ale rana osłabiła go i tamten zdążył uniknąć ciosu. Karzeł jednak nie ustawał

w atakach mierząc maczugą w nie osłoniętą głowę to z jednej, to z drugiej strony. Niewolnik odpierał ciosy tarczą, ale ręka mu słabła, co wywoływało grymas bólu na twarzy. W końcu wyprowadził cios dołem i trafił Jeybę w pierś, ale nawet tak zraniony karzeł zdołał, zamachnąwszy się toporem, zmiażdżyć miednicę przeciwnika. Obaj upadli przy rykach

tłumu.

W tym czasie Kye–Dee przeszedł do ataku. Był ranny ciężiej od krasnoluda i wiedział o tym. Musiał szybko zakończyć walkę, zanim zacznie opadać z sił. Z donośnym hyrkańskim okrzykiem wojennym rzucił się na swojego przeciwnika zasypując go ciosami. Tamten upadł

do tyłu zalany krwią ze zranionego ucha, policzka i nosa.

Kye–Dee wyprowadził jeszcze jeden, poziomy cios. Niewolnik zamiast zasłaniać się tarczą, wciągnął brzuch i ostrze minęło ciało zaledwie o grubość palca. Natychmiast przeszedł do kontrataku. Uderzył Hyrkańczyka tarczą w twarz i pchnął mieczem. Wolną ręką Kye–Dee zdołał odepchnąć cios od serca, ale metal dosięgnął go tuż pod obojczykiem.

Zdołał jeszcze odepchnąć napastnika potrząsając głową, by odzyskać normalne widzenie.

Niewolnik myślał, że już z nim koniec i rzucił się, by dokończyć dzieła, ale Kye–Dee przeciął mieczem jego drogę odrąbując mu nogę. Niewolnik upadł i następny cios przebił jego szyję.

Jeyba z trudem wstał na nogi i przytrzymawszy stopą szczękę trupa wyciągnął topór z jego czaszki. Teraz obaj stali śmiejąc się triumfalnie. Jeyba podniósł zakrwawioną broń salutując swojej królowej, podczas gdy Kye–Dee śpiewał dziką, hyrkańską pieśń zwycięstwa. Obaj byli bliscy

śmierci, teraz jednak stali zwycięsko pomiędzy powalonymi wrogami i nie bali się niczego.

— Oto widzicie, zwyrodniałe psy! — krzyknął Cymmerianin. — Oto, jacy ludzie wyrastają pod słońcem!

— Tak — rzekła Omia. — Jestem z nich zadowolona.

— Daj im bardziej znakomitego przeciwnika! — ponaglał Abbadas, a jego głos przepełniony był żądzą krwi.

— Nie, ci dwaj są skończeni — powiedziała. — Zabić ich.

Natychmiast arena wypełniła się zbrojnymi. Nie byli to już niewolnicy szkoleni do walki, a zamaskowani strażnicy. Było ich co najmniej dziesięciu i otoczyli skrwawionych zwycięzców z wymierzoną w nich bronią, po czym zabrali się do dzieła. Jeyba i Kye-Dee walczyli z całych sił, jakie im pozostały, ale ich męstwo nie zdało się na nic. Długość broni napastników uniemożliwiała osiągnięcie któregośkolwiek, a przewaga liczebna była przygniatająca.

Zginęli przeklinając poprzez własną krew napastników.

Achilea tępo wpatrywała się w dół, gdy wynoszono skrwawione trupy. Na arenę weszli

teraz niewolnicy, by posprzątać krew. Jej ręce, przyzwyczajone do trzymania miecza, teraz zaciśnięte były na kratkach. Stała tak objęta przez trzy swoje kobiety.

— On był w końcu tylko mężczyzną, królowo — rzekła Payna, mając na myśli karła.

Hyrkańczycy znaczyli dla Amazonek jeszcze mniej.

— Nie po to uratowałam go, by zginął w ten sposób — powiedziała głosem bez wyrazu.

Oderwała oczy od areny i wpatrywała się teraz w Conana.

— Jak możesz patrzeć na to nieporuszony, Cymmerianinie? To byli twoi przyjaciele.

— Byli wielkimi wojownikami i zginęli stojąc na nogach tak, jak mężczyźni przystoi —

odparł Conan twardo. — Wśród moich uważa się, że nie można dostąpić większej chwały.

Oddaję im cześć i zrobię wszystko, by ich pomścić.

Mówili cicho i ich głosy nie były słyszane na podium. Omia i Abbadas przypatrywali się swoim więźniom z zastanowieniem.

— Kto następny, jak myślisz? — spytała Omia.

— Te trzy mniejsze kobiety mogą zapewnić nam dobrą zabawę — rzekł Abbadas. —

Wyślijmy na nie kilka trenowanych w walkach niewolnic. Po ostatnim przedstawieniu myślę, że powinniśmy zwiększyć przewagę. Niech każda walczy z trzema.

— To brzmi kusząco... — Omia potarła podbródek w zastanowieniu. — ...ale wtedy będzie ich dwanaście naraz. Będzie tłoczno i przez to trudno będzie obserwować poszczególne walki. Oczywiście, moglibyśmy wysłać je pojedynczo.

— Nie! — krzyknęła Achilea. — Ja jestem dla was bardziej interesująca! Poślijcie mnie przeciwko swoim niewolnicom, jeśli chcecie zobaczyć krew!

Omia uśmiechnęła się.

— To prawda, że najbardziej intryguje mnie ona i ten duży mężczyzna. Myślisz, że zapewnią nam odpowiednią rozrywkę?

Abbadas pokiwał głową.

— Tak, a jeśli chodzi o te trzy — popatrzył kolejno na każdą, a pod maską płonęły mu oczy. — To może znajdę dla nich inne zadanie.

— Straże — rzekła Omia. — Zabierzcie tę kobietę na arenę — wskazała Achileę, potem przesuając dłoń w kierunku Conana dodała — i tego mężczyznę. Uważajcie, jeszcze nie zostali oswojeni.

Tym razem strażę zastosowały specjalne środki ostrożności. Za pomocą włóczy zepchnęły trzy łkające kobiety w róg klatki. Potem skierowali Achileę na arenę. Odwróciła się, jakby chciała coś powiedzieć, na chwilę zawahała się, po czym wyszła z wysoko podniesioną głową.

Gdy znalazła się już na arenie, strażę wróciły po Conana. Odpięto obrożę i wypchnięto go z miejsca. Gdy przechodził koło trzech kobiet, Lombi syknęła do niego.

— Cymmerianinie! Nie pozwól zginąć naszej królowej, jeśli nie chcesz śmierci z naszych rąk, o wiele okrutniejszej niż ta, którą mogliby wymyśleć ci degeneraci! — W jej oczach błyszczały jednocześnie strach, wściekłość i nienawiść.

Conan uśmiechnął się ponuro.

— Jeszcze nie nauczyłem się trząść na dźwięk głosu kobiety, ale wam trzem mogłoby się to udać. Mogę obiecać wam jedno: jeśli wasza królowa nie wyjdzie z tego żywa, ja także nie. To moja przysięga, na imię Croma, boga mojego ludu.

Wszystkie trzy pokiwały głowami, ale wściekłość wciąż wyzierała im z oczu. Przeszedł

popychany włóczniami, które czujne straże trzymały tuż przy jego ciele. Odryglowano drzwi i Conan wszedł na arenę. Achilea obserwowała go z bladym uśmiechem. Gdy zdjęto im więzy i gdy straże opuściły arenę, odezwała się do niego tak cicho, że nikt nie mógł usłyszeć tylko on.

— Nie patrz tam od razu, ale zdaje mi się, że coś dostrzegłam, wysoko nad siedzeniami, naprzeciwko naszych gospodarzy. Spójrz tam i powiedz mi, co widzisz.

Cymmerianin zaciekawiony zrobił, jak powiedziała. Pocierał nadgarstki i gimnastykował członki, chcąc pozbyć się sztywności spowodowanej długim siedzeniem bez ruchu. W

rzeczywistości był gotowy do akcji, jak nigdy dotąd, ale wiedział, że nigdy nie jest źle zwodzić nieprzyjaciół. Zaczął robić koła głową, ćwicząc sztywny kark i w trakcie tej czynności spojrzął w kierunku wskazanym przez Achileę.

W ścianie nad siedzeniami były nisze, w których stały posągi bogów czy demonów, może ludzi, Conan nie mógł dostrzec. Wtedy to zobaczył, że w najwyższej niszy, dokładnie

naprzeciw podium Abbadasa i Omii coś świeciło bladym, purpurowym światłem. Wysilając oczy i starając się jednocześnie, by jego wpatrywanie się nie zostało dostrzeżone, zobaczył

mały skulony, kształt, przypominający człowieka w cieniu rzeźby przedstawiającej lubieżną, nagą kobietę.

— Nasz mały znajomy z pustyni — rzekł. — Nasi tropiciele nie ustają.

— Chciałabym wiedzieć, co to znaczy — rzekła.

— Teraz mamy ważniejsze sprawy — odparł. — Na przykład, jak wydostać się z tego dołu żywym i kogo będziemy musieli zabić, by tak się stało.

Tym razem dwie niewolnice weszły na arenę, a każda z nich niosła pas z mieczem i

sztyletem. Conan ujął wdzięcznie swój, czując się znacznie pewniej ze znajomym ciężarem wokół bioder. Achilea również z zadowoleniem zapięła swój pas wokół siebie. Gdy to

zrobiła, podeszła na brzeg dołu i podniosła coś z ziemi. Był to topór Jeyby. Zatknęła go trzonkiem za pas.

— Jeyba mógł bez trudu zabić tę kobietę — rzekła myśląc o Omii — ci ludzie chyba nie zdają sobie sprawy, że toporem można skutecznie rzucać. Nie zrobił tego jednak, żebym ja miała większą szansę.

— To był dobry człowiek — stwierdził Conan. — W ostatnich chwilach żądza zemsty

musiała w nim potężnie wzbierać.

— Nie zmarnujemy jego odwagi — obiecała. — Ale jeśli zostanę śmiertelnie ranna, rozłupię tym toporem jej arogancką, zamaskowaną twarz, zanim wydam ostatnie tchnienie.

— Zrób tak — powiedział Conan. — Ja przebiję sztyłem jej współnika, Abbadasa — dotknął ciężkiej rękojęści. — Umiem celnie rzucać każdą ręką.

— To dobrze — uśmiechnęła się szeroko. — W takim razie nie zginiemy na próżno.

Cymmerianin odwzajemnił jej uśmiech.

— Obydwoje wyglądacie na zadowolonych z siebie mimo okoliczności — drwiła Omia. — Zobaczmy więc, czy będziecie równie zadowoleni z przeciwników.

— Wprowadźcie ich — rzekł Conan rozprostowując palce. — Szybko się nudzę.

Omia klasnęła dwa razy w ręce. Oboje z napięciem czekali, gdy podnoszono kratę.

— Nie wątpię, że będzie ich więcej, skoro nasi przyjaciele walczyli z czterema — szepnął

Conan. — Ale wszyscy muszą przejść przez tę bramę. Nie uda im się sformować więcej niż podwójny rząd. Gdy tylko pierwszy przekroczy wejście, zaatakujemy. Ja zajmę się lewą stroną, ty prawą. Jeśli dobrze wymierzmy czas, będziemy walczyć tylko z jednym naraz.

— Dobry plan — przyznała. — Choć wydaje mi się, że nasi gospodarze mogą czuć się rozczarowani.

— To by mnie najmniej martwiło — odparł Conan z uśmiechem. Wtedy przez bramę doszedł ich dźwięk, na który wyciągnęli miecze. Stali w pozycji gotowości, oparci na piętach, jak ludzie znajdujący się na walce i gotowi na wszystko.

Jednak to, co przedostało przez bramę było wilgotną falą rzeczno-smrodu, potem rzuciła się fala wody. Nie była to przezroczysta woda ze strumienia, lecz zielonkawo-brunatna ciecz z wodorostami, kawałkiem ziemi i innych rozmaitych szczątków.

— Co to ma być? — jęknęła Achilea, gdy chłodna woda dotknęła jej kostek i zaczęła przesiąkać przez futrzane spodnie. — Czy oni chcą nas utopić?

— Mają chyba więcej wyobraźni — miał nadzieję Conan. — Bądź gotowa.

Patrzyli z wzrokiem utkwionym w bramę, a woda wciąż napływała i podchodziła najpierw do kolan, potem już do pasa.

Gdy załaziła ich do połowy, woda przestała lecieć i zmacona pluskała obmywając ściany

dołu. Omia nie zwracała uwagi na żadne krwi pomruki tłumu ani na zachęcające okrzyki trzech dworek Achilei.

— Nadchodzi coś! — szepnęła Achilea.

— Cofnij się — rozkazał Conan. — Zróbmy trochę miejsca.

Niezdarnie, walcząc z oporem wody, zaczęli cofać się krok — po kroku w kierunku

podium. Zrobili nie więcej niż pięć kroków, gdy coś krętego zaczęło wypełzać przez portal.

Pokryty łuskami grzbiet, na którym widać było zarysy czarno-zielonych kręgów, posuwał się po powierzchni, poruszany przez potężny ogon z dużą prędkością, jak na tak wielką bestię. Za długim pyskiem widać było parę bursztynowych oczu, świecących z zimną złością.

— Co to takiego? — spytała Achilea. — Smok?

— Nie — odparł Conan. — Krokodyl ze Styksu. Uważaj na jego szczęki i ogon, staraj się dostać do brzucha! — W tym momencie potwór rzucił się na nich.

Był długi, a z jego nieruchomego spojrzenia nie sposób było wnieść, kogo wybrał sobie za pierwszy cel. Conan i Achilea stali oddzieleni od siebie o kilka kroków, potrzebnych do machania mieczem. Conan wiedział, że bestia będzie musiała dokonać wyboru. Jej mały

gadzi mózg nie był dostatecznie pojemny, by przemyśleć atak. O parę metrów od nich

krokodyl zanurzył się pod wodę i otworzył szczęki. Wybrał kobietę.

Ściskając miecz oburącz, Conan rąbnął ostrzem w szyję, tuż za szczękami w momencie, gdy ledwie nad wodą pokazał się zarys zwierzęcia. Rozorał skórę głęboko i z rany trysnęła krew, ale niezwykle gruba skóra i tylna krawędź szczęki uchroniły potwora przed potencjalnie śmiertelną raną. Mimo to, niespodziewana siła uderzenia odepchnęła go z zamierzonej drogi i rozwarte szczęki złapały wodę zamiast ud Achilei.

Królowa Amazonek z całej swojej siły zamierzyła się na jedyny dostępny sobie cel —

grzbiet. Miecz jednak ześlizgnął się po twardym pancerzu, nie czyniąc szkody większej niż tylko rysa na łuskach. Krokodyl mógł nawet nie poczuć uderzenia. Potężne zwierzę odwróciło się raptownie i Achilea przewróciła się. Teraz olbrzym zamierzał zaatakować swoją potężną naturalną bronią Cymmerianina.

Achilea wstała wypluwając wodę i zobaczyła, jak Cymmerianin zamierza się na napastnika.

Krokodyl z niebywałą szybkością zmierzał prosto na Conana niczym wojenna galera. Chcąc zapobiec, by zwierzę znowu zanurkowało, Cymmerianin rzucił się do przodu i wymierzył

miecz w najbardziej odsłonięte miejsce na czaszce pomiędzy wytrzeszczonymi oczami.

Gdzieś tam był maleńki mózg i Conan miał nadzieję dostać się do niego.

Ostrze wprawdzie nie przebiło kości, ale uderzenie było na tyle mocne, że bestia została na moment obezwładniona i nie mogła rozewrzeć paszczy. Ale tępy pysk uderzył Conana w

brzuch i przygwoździł do ściany tuż pod podium. Siła ciosu zaparła mu dech i upadł

opuszczając miecz. Łuskowaty pysk przygwoździł go do dna. Wtedy poczuł, jak szczęki

powoli otwierają się. Desperacko otoczył ramionami pysk i z całej siły trzymał.

Wielki gad z ogromną siłą rzucił się do góry unosząc zawieszoną na sobie Conana nad powierzchnią wody. Cymmerianin skorzystał z okazji i zaczerpnął powietrza. Krępe przednie łapy, uzbrojone w wielkie pazury, zdolne rozdrapać w każdej chwili jego ciało, zaczęły poruszać się tuż przy jego skórze. Błyskawicznie owinał swoje nogi wokół ciała potwora, tuż za przednimi łapami, by pozbawić go możliwości ruchu. Zastanawiał się, co robi Achilea.

Myślał, że jest nieprzytomna i tonie.

W rzeczywistości starała się znaleźć wrażliwy punkt u atakującej bestii, unikając

jednocześnie bijącego ogona; uzbrojonych i najeżonych łuskami mięśni, które bez trudu mogły zmiażdżyć człowieka, tak jak człowiek zabija muchę. Wiedziała, że uderzenia w

grzbiet nie przynoszą rezultatu, ale zdawała sobie również sprawę, że Cymmerianin jest w rozpaczliwym położeniu, starając się całym swoim ciałem trzymać pysk potwora.

Mięśnie zamykające szczękę krokodyla są niezwykle silne, natomiast te, które je otwierają, są znacznie słabsze. Conan odkrył, że może używać tylko jednej ręki do utrzymania

zamkniętego pyska, a drugą może sięgnąć po sztylet. Zrobił to i zamierzył się na wpatrujące się w niego ślepie, jednakże miotający się potwór zmienił kierunek ciosu i zamiast tego ostrze utkwilo w kości poniżej oka tak mocno, że Conan z trudem wyciągnął go.

Krokodyl raz jeszcze zanurzył się pod wodę. Starając się zrzucić natrętnego „jeźdźca”, zaczął więc się i przewracać, niczym wielki, pokryty łuskami pień. Conan czuł, że trwa to za długo. Ani razu nie wynurzył się na tyle, by móc zaczerpnąć więcej powietrza, a gdyby zwierzę uderzyło o dno albo brzeg dołu, niechybnie zmiażdżyłoby Cymmerianina.

Achilea wykorzystywała każdą okazję, by uderzyć bestię. Pamiętała, co mówił Conan, by atakować brzuch i gdy krokodyl zaczął się obracać, starała się podejść dostatecznie blisko, by wbić mu miecz. Obroty były jednak za szybkie. Widziała tylko blady spód brzucha, ale nie zdołała zadać ciosu. W końcu jednak krokodyl zmęczył się i obracał się wolniej. Achilea przygotowała się do ostatecznego precyzyjnego pchnięcia, wiedząc, że okazja może się nie powtórzyć. Ściskając ręką oburącz wzniosła broń ponad głowę niczym wielki sztylet.

Raz jeszcze nad wodą ukazało się blade podbrzusze krokodyla. Achilea całym ciałem

rzuciła się do przodu prowadząc ostrze w dół. Wbiła je głęboko, tuż obok ściskających krokodyla nóg Conana. Bestia pociągnęła ją za sobą, lecz ona nie wypuszczała rękojeści z rąk. Owinęła się wokół tułowia i ciągnęła miecz dalej, aż zrobiła ogromną ranę. Krew i wnętrzności przemieszane z wodą zaczęły ją otaczać.

Teraz Conanowi udało się uwolnić ostrze sztyletu. Poczuł, że ruchy zwierzęcia zaczynają słabnąć, ale nie mógł dostrzec przyczyny. Wynurzył się na krótko, odchylił rękę jak tylko mógł najdalej i uderzył z siłą meteoru. Zakończony diamentem sztylet wbił się głęboko w źrenicę przebijając prymitywny, zwierzęcy mózg.

Krokodyl rzucał się w ostatnich konwulsjach chcąc uwolnić się od ściskających go

natrętów. Conan zanurkował pod wodę, by odzyskać miecz. Achilea nadal mocno trzymała rękojeść swojego miecza nie pozwalając odrzucić się nawet przy najsilniejszych wstrząsach umierającego potwora. W kilka chwil później oboje stali obok siebie, trzymając w rękach swoją broń i patrząc, jak życie opuszcza potężne zwierzę. Szczęki klapnęły i ciało rzucało się coraz wolniej, a z rozprutego brzucha wylewały się wnętrzności jeszcze długo po tym, jak skonał. W końcu znieruchomiał i tylko woda poruszała ogon leniwie.

Conan i Achilea uśmiechnęli się do siebie triumfalnie. Ku jego wielkiemu zdziwieniu

zarzuciła mu ręce na szyję i złożyła głośny pocałunek na jego ustach. Potem odsunęła się i stanęła znów w pełni gotowości.

— To był wspaniały wyczyn — powiedziała.

— Na Croma, kobieto! — odparł. — Cieszę się, że nie wszystkie kobiety są tak zarozumiałe.

Roześmiała się niemal beztrosko.

— Ja nie jestem jak inne kobiety. Co będzie dalej, jak myślisz?

— Byle to nie były te same stwory, które spotkałem na pustyni — rzekł gorączkowo. Na szczęście ani Achilea, ani Conan nie ucierpieli bardzo w walce. Mieli kilka zadrapań i sińców od ostrych łusek krokodyla. — Jednego jednak jestem pewien, krokodyl nie przyszedł tu sam przez pustynię. Musi tu gdzieś być podziemna rzeka i zamierzam ją znaleźć.

— Najpierw zajmijmy się tym, co tu mamy — przypomniała mu. — Wciąż jeszcze jesteśmy w dole.

Conan spojrział na podium i ku swojemu zdziwieniu zobaczył Omię i Abbadasa

rozmawiających z ożywieniem. Z tego, co mógł wywnioskować z ich zamaskowanych twarzy, śmiali się szeroko szczerząc zęby przy każdym wypowiedzanym słowie. W końcu mężczyzna podszedł do klatki i zaczął przypatrywać się kobietom Achilei wzrokiem kupca.

— Czy daliśmy wam odpowiednią rozrywkę? — spytał Conan.

— O, tak! — odrzekła Omia. — Byliście nawet lepsi, niż się spodziewaliśmy!

— Z kim lub z czym więc będziemy walczyć teraz? — spytał. — Dopiero się rozgrzałem i jestem gotów do prawdziwej walki!

Achilea roześmiała się i zawadiacko odrzuciła mokre włosy do tyłu.

— O nie! — rzekła Omia. — Nie będziemy was więcej narażać. Dla takich okazji jak wy mamy daleko lepsze przeznaczenie. Również dla tych trzech. — Wskazała dzikie kobiety, z którymi wciąż rozmawiał Abbadas. W ich oczach widać było grozę. Inną jednak od tej, jaką powoduje obawa przed bliską śmiercią lub bólem.

— Co masz na myśli, przekłeta? — spytał Conan. Rozległ się trzask i woda zaczęła odpływać. Martwe ciało krokodyla unosiło się z prądem.

— Wszystko w swoim czasie — rzekła. — Straże! Gdy woda odpłynie, rozbroić ich i odprowadzić do cel. Ale przedtem zaprowadźcie ich do łaźni. Oboje potrzebują kąpieli. —

Roześmiała się wesoło, wstała i podeszła do stojącego przy klatce Abbadasa. Ona również zaczęła przyglądać się trzem kobietom.

W kilka minut później woda odpłynęła całkiem i weszły straż. Szybko okrążyły Conana i Achileę. Zmęczeni nie mieli wyboru i rzucili broń na ziemię.

ROZDZIAŁ XII

Tym razem w łaźniach czekał na nich lekarz. Był w masce przypominającej ducha, bez żadnych udziwnień. Kazał dwóm niewolnikom opatrzyć zadrapania. Na długich stołach natarto im ciała wonnymi olejkami. Cały czas mieli zakute ręce i nogi w pierścienie na rogach stołu. Potem zaprowadzono ich do celi, gdzie mieli czekać na dalsze decyzje.

— Tym razem troskliwie się nami zajęli — powiedziała Achilea, z nieufnością patrząc na mizerne sienniki, które dano im do spania.

— Jakoś nie wydaje mi się, żeby nagle nas pokochali — odparł Cymmerianin potrząsając łańcuchami. — Nie narzekam jednak na maści, którymi nas wysmarowali. — Ślady po pazurach zaczynały się goić, a ból zniknął prawie zupełnie. Ruszał ramionami i nie czuł żadnego zeszywnienia. — Ci ludzie naprawdę wiedzą, jak leczyć.

— I to jest chyba jedyny powód, dla którego tacy degeneraci mogą w ogóle istnieć — rzekła wyniośle. Gdzieś w pobliżu słychać było łkania i płacz.

— Twoje kobiety nie zawsze są takie wrażliwe — zauważył Conan. — Co im jest?

— Payna! Ekun! Lombi! — zawołała Achilea. — Co się stało?

— Moja królowo! — załkała Payna. — Czy ludzie–mrówki nie powiedzieli ci, co chcą z nami zrobić?

— Może chcą nas zjeść — zazartował Conan. — Łatwo można sobie wyobrazić, że mają ochotę na zmianę diety po tych wszystkich grzybach.

— Moja królowo! — odezwała się Lombi, nie zwracając na niego uwagi. — Oni chcą się z nami połączyć! Ten człowiek, Abbadas, powiedział nam, że ma zamiar osobiście zapłodnić nasz pierwszy miot! A my spodziewaliśmy się tylko tortur!

— I chcą, byś ty była główną klaczą! — dodała Ekun. — Wielki Cymmerianin będzie ogierem!

— To ma sens — rzekł Conan z niezmaconym spokojem. — Wszyscy widzieliśmy, jak bardzo są zdegenerowani żyjąc pod ziemią od pokoleń. Nieczęsto zdarza im się natknąć na tak wspaniały materiał rozplodowy, jak my.

— Ty możesz być spokojny! — warknęła Achilea. — I tak pewnie pozwalasz sobie na takie zabawy między wojnami! Dla nas to co innego! Pochodzimy z narodu kobiet!

— Nie mów głupstw — zaśmiał się Conan. — Wasze plemię rozmnaża się jak każde inne, a nie za pomocą czarów. Inaczej już dawno byście wymarli.

— Tak — rzekła. — Ale tylko raz w roku i to z mężczyznami, których same wybieramy.

— Wydaje mi się, że to musi być bardzo nudne życie.

— Może ci się tak wydawać, ty półzwierzaku...

Dalszej kłótni oszczędziło im wejście straży. Ktoś wetknął głowę przez niskie drzwi.

— Pozdrawiam was, moje wspaniałe trofea. — Był to Abbadas. Jego oczy płonęły w szparach maski, gdy przyglądał się Achilei.

— Nie będziesz płodził ze mną swojego potomstwa, robaku! — splunęła. — Mogłabym zabić cię jedną ręką!

Pogłodził delikatnie jej policzek.

— Uważaj na to, co mówisz. Wiesz przecież, że sztukę skuwania w łańcuchy mamy opanowaną do perfekcji. Nietrudno będzie cię unieszkodliwić. — Na twarzy Achilei widać było przerażenie, a Conan przymierzał się do potężnego kopnięcia, gdy Abbadas dodał: —

Musisz jednak poczekać. Na razie moja królowa chce porozmawiać z nim — wskazał ręką Cymmerianina.

— Dzień, w którym mnie dotkniesz, będzie twoim ostatnim — rzekła Achilea, nie zwracając uwagi na fakt, że właśnie ją dotknął. Jasne było, co miała na myśli.

Abbadas roześmiał się tylko i zawezwał strażę.

— Weźcie tego. Już wiecie chyba, jak z nim trzeba być ostrożnym — wydawszy rozkaz zniknął w drzwiach.

Conana raz jeszcze dokładnie związano i odprowadzono. Achilea popatrzyła na niego bez słowa, a on uśmiechnął się do niej, ale wewnątrz nie czuł się tak beztrosko, jak udawał. Jemu również perspektywa bycia bykiem rozplodowym wydawała się obrzydliwa. Wolny

wojownik sam wybierał to, na co miał ochotę. Z drugiej strony nie dało się zaprzeczyć, że wolny nie był. I czy jego winą było, że tamta przeklęta kobieta miała dobry gust co do mężczyzn?

Strażnicy prowadzili go drogą częściowo znajomą, a częściowo nową. Stopniowo poznawał

plan tego dziwnego podziemnego miasta. Był prawie pewien, że teraz już udałoby mu się znaleźć drogę powrotną prawie bez trudu. Chciał wiedzieć jeszcze tylko jedno: gdzie jest rzeka?

W komnatach Omii zaprowadzono go do pokoju, niczym namiot przykrytego jedwabnym

materiałem. Ściany także wyłożone były jedwabiem wyszywanym w skomplikowane

ornamenty, które widywał wcześniej wiele razy w tym mieście. Na podłodze leżały

szlachetne dywany i poduszki.

Weszła Omia zamaskowana i w jedwabnej opończy.

— Zostawcie go — rozkazała strażom — ale najpierw zdejmijcie mu więzy.

— Ależ Wasza Wysokość... — zaczął protestować kapitan straży.

— Nie zrobi mi krzywdy — zapewniła ich. — Jego przyjaciele wciąż są uwięzieni, nie zna miasta, a nad nami jest tylko pustynia. Myślę, że zdaje sobie sprawę z ryzyka, gdyby podjął pochopną próbę agresji.

Strażnicy, choć niechętnie, rozkuły masywnego więźnia. Gdy to zrobili, skłonili się i odeszli.

— Jesteś szalona — stwierdził Conan rozcierając nadgarstki. — Dlaczego myślisz, że tamci są dla mnie cenniejsi niż moja wolność?

— Obserwowałam wasze zachowanie — odparła z pełnym spokojem. — Trzy mniejsze kobiety są wyraźnie przywiązane do większej, a ze sposobu, w jaki wy dwoje

zachowywaliście się na arenie, można było zorientować się, że macie dla siebie dużo serca.

— Tak walczą prawdziwi wojownicy — upierał się.

— Nie — odrzekła uśmiechając się. — Tak walczyli karzeł i ten drugi. Z tobą i kobietą było inaczej. — Klasnęła w dłonie i weszła niewolnica z tacą, na której stały dwa puchary zroszone kroplami. Omia ujęła je w dłonie i dziewczyna odeszła. — Napij się ze mną —

rzekła wręczając puchar Conanowi.

Wziął go i napił się bez wahania. Pijąc przyglądał się Omii. Jej maska zrobiona była z materiału i bardziej przypominała welon. Przez nią widać było delikatny i szlachetny zarys twarzy — była piękna. Opończa uszyta z takiego samego materiału niewiele okrywała. Wino miało cierpko-słodki smak, ale Conan był pewien, że nie miało nic wspólnego z grzybami.

Podeszła do ogromnej poduszki i położyła się na boku podpierając łokciem. Wskazując drugą poduszkę powiedziała:

— Przyłącz się do mnie.

Conan chętnie zajął wskazane miejsce mając nadzieję, że się czegoś więcej dowie. W

innych okolicznościach pociągałoby go jej delikatne ciało, teraz jednak interesowała go tylko jedna kobieta.

— Bez wątpienia interesuje cię bajeczny Janagar — odezwała się, jakby czytała w jego myślach.

— Jest tak, jak mówisz — przyznał. — Przeprowadzili nas tu ludzie, którzy posługiwali się spleśniałymi starymi księgami. Podczas podróży docierały do nas legendy przekazywane z pokolenia na pokolenie przez bajarzy. Mówiły o mieście niezwykłych bogactw i tajemniczego nieszczęścia, jakie dotknęło mieszkańców, którzy opuścili swoje miasto. Ci, co nas najęli, mieli nadzieję zastać je nietknięte wraz z jego skarbami — tu poczuł, że nie ma

najmniejszego powodu, by nie być z nią zupełnie szczerym. Nie był już zobowiązany do jakiegokolwiek lojalności wobec bliźniaków, którzy zniknęli w noc burzy piaskowej.

— Jak to się stało, że przeprowadzili ze sobą takich... niezwykłych wojowników? —

spytała Omia.

— Sprawił to przypadek. Wszyscy spotkaliśmy się w zrujnowanej wiosce, gdzie wyrzutki z paru krajów przeczekiwały złe czasy. Bliźniaki opowiedziały nam część historii mówiąc, że możemy liczyć na udział w bogactwach. Powiedzieli też, że są i inni szukający miasta i dlatego potrzebują ochrony. Jak widziałas na własne oczy, wybrali najlepszych. — Na te słowa Omia zaśmiała się.

— Nie jesteś skromny.

— A na cóż zdaje się skromność?

— Dzięki temu przyszliście aż tutaj przez bezkresną pustynię. Gdzie zgubiliście waszych pracodawców?

Conan zmarszczył brwi.

— To powinnaś wiedzieć. Przybyli do wielkiej świątyni na długo przed nami.

— Wiem oczywiście! — rzuciła pośpiesznie. — Chciałam tylko przekonać się, czy będziesz starał się coś zataić, ale wyglądasz na uczciwego wojownika, a także przystojnego. Co jeszcze słyszałeś o Janagarze? — zmiana tematu wypadła niezręcznie, zdradzając jej niepokój.

Próbowała odciągnąć go od sprawy bliźniaków.

— Starzec na pustyni opowiedział mi o grzesznym mieście, które rozgniewało bogów i sprowadziło na siebie ich klątwę. Mówił, że Janagar znajdował się wśród żyznych ziem, ale zielone wzgórza i doliny zostały zamienione w piasek przez mściwych bogów.

— A nie mówił, jaka była natura tego grzechu? — spytała.

— Taka, jak zwykle bywa w takich historiach: lud Janagaru chciał dorównać bogom i

wykraść tajemnicę nieśmiertelności i dlatego spowodował ich zazdrość.

— Nie dowierzasz starym opowieściom? Nie podejrzewałam cię o tak skomplikowany umysł. — Omia uśmiechnęła się.

— Wierzę w legendy swojego ludu — odrzekł. — Nie widzę powodu, by darzyć zaufaniem opowieści innych.

— Bardzo mądrze. Cóż, przybyszu, prawda jednak jest jedna, i to nie ta mętna, przekazywana z ust do ust przez pokolenia niepiśmiennych bazarzy. Najprawdziwsza prawda wyryta jest w kamieniu przez ludzi, którzy widzieli wszystko na własne oczy, i potem przekazywana potomkom, z których ja jestem jednym. Historia ta jest nieprzerwana od tamtych czasów do dzisiaj, możesz mi wierzyć.

Conan dopił swój trunek i pokiwał głową.

— Słucham cię.

Klasnęła w dłonie i weszła niewolnica z dwoma pucharami. Zabrała puste, skłoniła się i wyszła. Gdy znów zostali sami, Omia mówiła dalej.

— O nieznajomy, wiedz, że — zaczęła rytualną formułę rozpoczynającą opowieści —

Janagar o Opalowych Bramach przez pięć tysięcy lat panował nad światem, był ośrodkiem imperium, którego imię zostało zapomniane przez barbarzyńców dzisiejszego wieku. Gdy kładziono ostatnią złotą płytkę na kopule wielkiej świątyni Janagaru, Python było mizernym zbiorowiskiem krytych strzechą kamiennych chat, zbudowanych przez prymitywnych

czcicieli węży, nie domytych szamanów, i znachorów, którzy nie znali sekretów pisma i magii w stopniu większym, niż ten pozwalający im na marne sztuczki.

— To rzeczywiście dawno — rzekł Conan.

— Dawniej, niż jest w stanie pojąć twój umysł — zapewniła go. — Ale nawet w dniach

swojej świetności Janagar był już tak stary, że jego początki ginęły w mrokach, bo nawet największe cywilizacje biorą swój początek od prymitywnych wiosek i pisma rytego w

drzewie, malowanego na skórkach i zapisywanego atramentem na płótnie. To wszystko czas musi zniweczyć. Wiemy tyle: wczesna potęga Janagaru oparta była na mieczu. Jego armie pokonały wszystkich wrogów, zakuły w jarzmo wszystkie mniejsze ludy, a ich bogactwa

zagarnęły dla siebie. Wraz z potęgą militarną, przyszło więc bogactwo i lud Janagaru nauczył

się, że to daje potęgę znacznie bardziej wyrafinowaną niż ta płynąca z miecza. Za skarby można

bowiem wynajmować innych, by nosili miecze, samemu poświęcając się zdobywaniu

rzeczy cenniejszych. — Cymmerianin pomyślał, że właśnie to dało początek degeneracji tego narodu, ale przezornie zachował milczenie. — Przez wiele, wiele stuleci władcy Janagaru smakowali radości wielkiej potęgi. Spełniana była każda ich zachcianka. Z najdalszych krańców świata sprowadzano najcudowniejsze dziwa i okazy do ich kolekcji. Najpiękniejsi synowie i córki wszystkich narodów służyli tu za niewolników. Przebierani byli w jedwabie i klejnoty i służyli przy stołach podając najwykwintniejsze trunki i najdelikatniejsze przysmaki całego świata.

Conan już miał wtrącić, że grzyby muszą świadczyć o zupełnym upadku po tamtych delicjach, ale ugryzł się w język.

— Z czasem jednak — ciągnęła — zblednąć muszą nawet najbardziej wyrafinowane rozkosze. Panom Janagaru bowiem zaświtała myśl, że są to tylko marne przyjemności

materialnego świata, podczas gdy prawdziwe znajdują się na tamym. Nieziemskie piękno i rozkosze mogące stać się udziałem tylko tych, którzy mają wiedzę, by do nich dotrzeć i odwagę, by po nie sięgnąć. — Napiła się wina z pucharu. Jej oczy widoczne przez otwory w masce przybrały wyraz rozmarzenia.

— Rodzaj ludzki był wówczas młody — rzekła ścisząc głos — i umiał niewiele więcej niż obróbka metalu i kamienia. Władcy Janagaru też z początku nie mieli wielkiej wiedzy o świecie duchów. Jeśli jednak istnienie człowieka na ziemi było wtedy młode, istnienie innych nie.

— Jak to? — spytał Conan, a włos zjeżył mu się na głowie.

— Mam na myśli, że w owych czasach człowiek nie był jedyną myślącą istotą na ziemi.

Były też inne — istoty pradawne, których wiedza w porównaniu z ludzką była jak wiedza starca w porównaniu z wiedzą dziecka. Istoty te pogrążone były w zapomnieniu, ich

królestwa leżały dawno w gruzach, wciąż jednak żyły w wielu zakątkach świata.

W ostatnim stuleciu panowania królów–kapłanów zakony wyruszyły w poszukiwaniu tych

resztek z przedludzkich ras, by wydrzeć im ich sekrety. Całe stulecia upłynęły na tych wyprawach. Wyruszały karawany, odpływały statki, wszystkie z tą samą misją. Generałowie prowadzili wielkie armie. Kupcy wyruszali z wielkimi bogactwami dla przekupstwa. Nawet samotni łowcy przygód jak ty sam, wyruszali tylko z mieczem u boku i błyskiem nadziei na nagrodę.

I wtedy odnaleziono starożytne stwory — w jej oczach i głosie odzywała się teraz pamięć pokoleń. — Niektóre z nich można było pomylić z ludźmi, gdyby nie małe, prawie

niedostrzegalne różnice. Inni byli podobni ludziom z ogólnego kształtu, inni zupełnie nie. Ale wszyscy mieli ogromną wiedzę.

— Lepiej, by wiedza taka pozostawała niedostępna dla człowieka — rzekł Conan.

— Wielcy Janagaru nigdy nie byli zwykłymi ludźmi — rzekła pogardliwie. — Nie próbuj

nawet oceniać nas swoimi prymitywnymi barbarzyńskimi miarami. Pradawnym istotom

wydarło sekrety i wiedzę, o jakiej nawet nie ośmielano się marzyć. Czarownicy Janagaru musieli trawić całe tysiąclecia w gorączkowych eksperymentach, by zdobyć to, co w kilka wieków wyrwaliśmy tym niezwykłym istotom. Magowie, którzy dotąd umieli przenosić

swoją świadomość zaledwie o kilka mil, teraz mogli odwiedzać odległe gwiazdy. Od

przedludzkich ras nauczyli się komunikowania z rozumnymi istotami z innych poziomów.

— Człowiek mądry podróżuje na własnych nogach — mruknął Conan.

— Nie bądź tępy. Nawet ta wielka toporna powłoka i potężne mięśnie mogą mnie znudzić, jeśli będziesz tak uparcie ograniczony. Czy chcesz tego słuchać?

— Wybacz mi — rzekł. — Słucham. — Jeśli miała go za głupca, tym lepiej.

— Wiedz więc, że w życiu każdej cywilizacji są lata wzrostu i zastoju. Jeśli zastój trwa zbyt długo, zakrada się zgnilizna i cywilizacja pada. Z każdym nowym odmładzającym źródłem wiedzy kultura ulepsza się i rozrasta, ale powinna znać swoje granice, zanim wpadnie w samozadowolenie. Tak też było z Janagarem. Gdy byliśmy barbarzyńcami, upajaliśmy się potęgą stali, brązu i rozlaną krwią nieprzyjaciół. Potem poszliśmy dalej wraz z siłą złota i innych bogactw, zatruwaliśmy się żądzą posiadania. W końcu sięgnęliśmy po ostateczną potęgę — magię, i rozciągnęliśmy władzę woli na ród ludzki, a nawet na inne poziomy.

Jednak nawet my napotkaliśmy granice. Jako młodzi nauczyliśmy się, że miecz nie jest wszechmocny. W wieku średnim dowiedzieliśmy się, że są rzeczy, których nie da się nabyć nawet za złoto. Ostatni etap nauczył nas, że jako ludzie nie możemy dzierżyć magicznej władzy bez granic.

— Jako ludzie, mówisz?

— Tak. Więc jednak słuchasz. Wiedzieliśmy, że dzielimy świat z myślącymi istotami, które nie są ludźmi. Na innych poziomach zamieszkiwały rasy starsze i nieskończenie potężne.

Drażniło naszą dumę, że nie możemy im dorównać. Mózg ludzki nie był dostatecznie

przystosowany, by dzierżyć taką władzę. Ludzkie ciało nie żyło na tyle długo, by opanować umiejętności posiadane przez inne rasy. Zostało postanowione, że władcy Janagaru w jakiś sposób muszą wchłonąć substancję pozaludzkich ras.

Dreszcz grozy przebiegł Conana, gdy przypomniał sobie motyw wyrzeźbiony w wielu

miejscach w tym mieście: splecione łańcuchy ludzi i demonów kopulujących ze sobą w

lubieżnych pozach.

— Tak też się stało — mówiła dalej. — Mężczyźni i kobiety Janagaru spółkowali z istotami, które bynajmniej nie chciały mieszać swojej krwi z krwią śmiertelników.

Przekształciło się to w rytuał i rdzeń naszej religii przez ostatnie tysiąc lat istnienia miasta, a potomstwo z tych związków było niesamowite. Nieczyste kombinacje ludzi i tamtych

zasiadły na tronach Janagaru i brały udział w radach, które każdego poraziłyby szaleństwem.

— Nietrudno mi w to uwierzyć — rzekł Conan.

— Cena była straszliwa, ale magowie Janagaru zapłaciliby każdą cenę i ponieśli każde ryzyko dla wielkiej wiedzy. A wielka wiedza była już ich. Najgłębsze sekrety ducha i materii mogli odkrywać do woli i napawać się nimi. Mogli wiedzieć wszystko, czego zapragnęli.

Wszystkie stworzenia tej ziemi stały się ich niewolnikami. Nawet niektóre istoty pozaziemskie złożyły im pokłon.

— Ale nie wszystkie? — spytał Conan.

— Nie — przyznała. — Nie wszystkie. — Po raz pierwszy wahanie wkradło się do jej

głosu. — Na wyższych poziomach żyły istoty o tak niepojętej potędze, że półludzcy magowie Janagaru nazywali je po prostu Mocami. Początkowo, mimo swej niewiarygodnej potęgi,

zdawały się nie zauważać ludzi. Człowiek dla nich nie istniał niezależnie od tego, co robił w tym, czy w tamtym świecie.

— Te Moce — zapytał niespokojnie Conan — czy to byli bogowie?

— A któż może wiedzieć, czym są bogowie? — machnęła niecierpliwie ręką. — Jakże

często bóg jest tylko słowem, którym człowiek określa to, czego nie jest w stanie pojąć, a co budzi w nim lęk. Dla dzikich bogami są zwierzęta, rzeki, burze i pioruny. Niektórzy myślą, że ogień jest bogiem. Wielu boską cześć oddaje przekłętemu słońcu. Często bóg ma postać podobną do ludzkiej i jest niczym więcej, jak tylko ubóstwionym przodkiem, którego imię przechowywane jest w pamięci. Czarownicy z tamtych czasów już dawno przestali wierzyć w bogów, wierzyli w Moce.

Conan przez ten czas zdążył już opróżnić puchar. Omia klasnęła.

— To długa opowieść i nie można się z nią śpieszyć. Zakosztujmy poczęstunku. — Nim

wypowiedziała ostatnie słowo, już pojawiły się niewolnice. Jedna z winem, druga z

przysmakami. Postawiły to przed nimi, skłoniły się i wyszły.

— Przyłącz się do mnie — Omia wskazała ręką tacę. Conan nawet nie spojrzał na

różnorodne potrawy z grzybów, ale na tacy leżały też suszone daktyle, figi, rodzynki i inne owoce. Wiedział, że są to typowe towary stygijskie. Wziął garść daktyli i podsunął je Omii.

— To nie rośnie pod ziemią — powiedział.

— Rzeczywiście nie — zgodziła się — ale nie traćmy czasu na tak przyziemne sprawy jak jedzenie. Mowa jest o rzeczach wyższych. — Najwyraźniej nie chciała ujawniać pochodzenia owoców. Conan udał, że go to bliżej nie obchodzi.

— Rzeczywiście, temat suszonych owoców nie równa się opowieści o upadku imperium.

Wspomniałem o tym dlatego, że wolę takie jedzenie niż grzyby. — Słyszac to uśmiechnęła się.

— Nasz kunszt hodowli grzybów jest mistrzowski, choć nie spodziewam się, byś dostrzegł

różnicę. Dawno temu nauczyliśmy się hodować rośliny, które nie potrzebują przekłętego słońca. Dzięki nim nasz stół jest bogaty i urozmaicony, trzeba mieć tylko dostatecznie czułe podniebienie.

— Na powierzchni jada się solidniej — rzekł — ale nie narzekam na wasze wino. — Nieco niepewną ręką pomachał pucharem udając, że jest wstawiony. Miał mocną głowę i w takich dawkach mógł pić wino godzinami, zanim poczułby się rzeczywiście pijany.

— Może powinieneś zachowywać większy umiar — mruknęła — będziesz dla mnie mało przydatny, jeśli zbyt sobie pofolgujesz.

Roześmiał się głośno.

— Tym? Nie obawiaj się, mogę pić jak wielbłąd. Taki napitek nie wystarczy, by powalić Conana z Cymmerii! — zaśmiał się znowu mając nadzieję, że ten pokaz samozadowolenia

mocniej utwierdzi ją w przekonaniu, że jest tępym bufonem. Jasne było, że to nie siła umysłu ją w nim pociąga.

— Cieszy mnie to — rzekła — i już niedługo dowiesz się, dlaczego. Na czym skończyliśmy?

Zjadł plastry melona w imbirowym syropie, w głębi duszy marząc o mięsie. — Moce — przypomniał jej.

— A, tak. Więc poprzez połączenie tego, co ludzkie i cech właściwych wyższym istotom, magowie

Janagaru poznali sztuki niedostępne zwykłym ludziom. Pogłębiając swoją wiedzę i dokonując coraz to nowych czynów zwrócili w końcu na siebie uwagę Mocy. Została

przekroczona jakaś niedostrzegalna i nieznana granica i Moce zostały zbudzone. Z początku magowie próbowali ułożyć się z nimi tak, jak wcześniej próbowali to zrobić z innymi — by uczyć się od nich i przejąć ich wiedzę. Tego jednak nie dało się zrobić. Zainteresowanie Mocy wyrażało się w niczym nie dającym się ułagodzić gniewie. Jeden po drugim magowie, którzy się z nimi kontaktowali zostali zgładzeni czarami tak strasznymi, że aż ziemia drżała, gdy padał któryś z nich. Czy podczas swoich podróży słyszałeś o kataklizmach, które

nawiedziły to miejsce dawno temu?

— Słyszałem — odrzekł. — Wielkie trzęsienia ziemi i ogarniające ziemię powodzie, wybuchy wulkanów — o tym wszystkim słyszałem.

— A czy legendy, które słyszałeś, nie zawierają też wątku o wzajemnej walce między bogami albo między bogami a olbrzymami i ludźmi?

— Tak — odrzekł — w mojej rodzinnej Cymmerii jest stara opowieść o walce między naszym bogiem Cromem i Ymirem z Aesiru, to była bitwa, która wstrząsnęła światem. Każdy lud ma taką legendę.

— Wszystkie te opowieści pochodzą z czasu walki pomiędzy Mocami a czarownikami z Janagaru. Trwała całe stulecia i zmieniała oblicze ziemi.

— Jeśli Moce były tak potężne — zapytał Conan — to dlaczego walka tak się przeciągała?

Z pewnością bogowie mogli bez trudu zetrzeć z powierzchni ziemi zwykłych czarowników, którzy byli potężni, ale według ziemskiej miary.

— Dobre pytanie. Musisz jednak pamiętać, że magowie Janagaru nie byli do końca ludźmi.

Ich panowanie nad magią było prawie tak wielkie jak Mocy. Przegrywali tylko wobec czystej siły. Te bitwy odbywały się też w innych światach i na innych poziomach. Przez długi czas magowie starali się ukryć przed Mocami dokładne miejsce, gdzie znajduje się nasz świat.

Celem Mocy było zniszczenie siedliska swoich przeciwników. Robiły tak już wiele razy wcześniej.

— Wasi czarownicy dotknęli rzeczy, które lepiej zostawić nietkniętymi — rzekł.

Omia wzruszyła ramionami.

— Nie leży w naturze ludzkiej unikać naprawdę wielkich wyzwań, niezależnie od

konsekwencji.

— Ale oni narażali cały świat! — powiedział poruszony.

— I co z tego? Porażka miała oznaczać zagładę Janagaru i wszystkich jego mieszkańców.

Gdyby do tego rzeczywiście doszło, jakie znaczenie miało, że znikną też wszystkie niższe ludy? Gdy płonie twój dom, czy płaczesz nad karaluchami i szczurami, które giną w

płomieniach?

— Masz rację — przyznał. Nie po raz pierwszy Conan spotkał się z taką postawą. Wielu królów mówiło tak na łożu śmierci. Nie znaczyło dla nich nic, czy świat strawi ogień lub pochłonie woda.

— Po jakimś czasie — kontynuowała Omia — największych czarowników już nie było, a

wszystkie wyższe poziomy zostały stracone. W końcu wszystkie gorączkowe wysiłki

zmierzały już tylko ku temu, by oddalić klęskę i ocalić nasz świat i imperium.

Najpotężniejszych zaklęć użyto oczywiście w sprawie ocalenia Janagaru. Inne broniły

pozostałych dużych miast królestwa. Czary koncentrowały się w świątyniach, gdzie dzień i noc odprawiano przerażające ceremonie.

— Jakich zaklęć użyto, by bronić się przed takimi istotami? — spytał Conan, mimo woli zafascynowany tą opowieścią.

— Ostatecznym zaklęciem, zachowanym na czas, gdy wyczerpane będą wszystkie inne, był

Wielki Czar Niezmienności. Sprawiało, że miasto pod jego działaniem miało pozostać takie, jakim było i nie ulegać zmianom. Jeszcze bardziej miało się stać niewidzialne dla Mocy, które bez ośrodka, z którego płynęły czary, nie mogły wnikać do tego świata, by go zniszczyć i pożreć.

— To tłumaczy stan miasta nad nami — rzekł Conan. — Jeśli jednak Moce nie odnalazły

tego świata, jak żyzne pola Janagaru zamienione zostały w pustynię?

— Tego nie dokonały Moce. Siła potrzebna do utrzymania zaklęcia żywiła się żyznością ziemi, wysysając wodę. Niegdyś Janagar leżał nad wielką rzeką, z której braliśmy wodę dzięki najwspanialszemu systemowi kanałów, jaki kiedykolwiek istniał. Rzeka kurczyła się w swoich brzegach, aż w końcu zanikła.

— Czemu więc Janagar nie zginął? — spytał, chociaż znał odpowiedź. — Gdy miasto nie

ma wody, umiera. Widywałem to, gdy odcinano akwedukty oblężonym miastom i wysychały

studnie. Gdy kończy się woda w cysternach, śmierć jest pewna.

— Z pewnością nawet ty się domyśliłeś — rzekła z uśmiechem. — Kopaliśmy tak długo, aż w końcu znaleźliśmy naszą rzekę. Opuściła ziemię na powierzchni, ale płynęła wciąż poprzez szereg grot pod ziemią. Wysocy kapłani Janagaru ogłosili, że słońce jest przeklęte i że jeśli chcemy przeżyć, musimy wykuć nowy Janagar we wnętrznościach ziemi. By jednak utrzymał

się Wielki Czar Niezmienności, miasto na górze musi pozostać w dokładnie takim samym stanie, w jakim było, gdy czar zaczął działać. Do dziś więc, każdej nocy, gdy zajdzie przeklęte słońce, przez wielką świątynię wychodzą grupy rzemieślników, by naprawiać

niewielkie szkody, które poczynił upływ czasu. Ponieważ jednak wiatry i piasek z pustyni tu nie docierają, a deszcze się nie zdarzają, szkody są niewielkie.

— Co stało się z innymi miastami? — spytał Conan.

— Zabrakło im woli, którą miał Janagar. Niektórym udało się przetrwać stulecia, ale nie utrzymywały się w nie zmienionym stanie i czar przestał działać. Straciliśmy z nimi kontakt i do tej pory Moce musiały już odwrócić swoją uwagę, bo nie czyniły prób, by dostać się do naszego świata poprzez ruiny.

Conan przypomniał sobie ruiny świątyni, w której bliźniaki rozmawiały ze starcem. Musiała kiedyś być częścią jednego z miast imperium Janagaru. Teraz pozostały tylko ruiny jednego budynku, a wszystko, co zostało z Wielkiego Czarar Niezmienności to prostokąt trawy, gdzie nie chcą się paść zwierzęta.

— I od tamtych czasów żyjecie pod ziemią? — spytał Conan. — Znienawidziliście słońce i czyste, wolne powietrze?

— Tak — rzekła przewracając się na brzuch i podpierając podbródek na skrzyżowanych ramionach. — Dobrze nam to zrobiło, ale nie jest to tryb życia, który nie pozostawia żadnych śladów. Dlatego właśnie ty i twoi towarzysze zaczęliście nas interesować.

— Jak to? — spytał od razu wiedząc, że odpowiedź nie przypadnie mu do smaku.

— Obrona przed Mocami, a potem przed przekleństwem słońca rozwiązała tylko nasz bezpośredni problem — powiedziała. — Chcieliśmy cofnąć to, co uczyniliśmy w pogoni za tajemną wiedzą.

— Masz na myśli mieszanie krwi? — zapytał.

— Tak. Ci, którzy pierwsi zeszli pod ziemię, nie wydaliby ci się, mówiąc najdelikatniej, bliskimi krewnymi.

— Mogę to sobie wyobrazić — skóra mu cierpła na samą myśl.

— Najbardziej potrzebowaliśmy programu rozmnażania, który spowodowałby, że stopniowo eliminowane byłyby cechy nieludzkie. Zajęło to czas na wiele pokoleń, ale osiągnęliśmy, co chcieliśmy — lud Janagaru odzyskał swoje człowieczeństwo.

W to Cymmerianin głęboko wątpił. Człowieczeństwo to coś więcej niż wygląd, a krew raz zanieczyszczona nie mogła już odzyskać swojej pełnej wartości. Podejrzewał, że jedyne, czego udało im się dokonać, to odzyskać ludzki wygląd.

— Raz jeszcze — ciągnęła dalej — nasze wielkie osiągnięcie okupione zostało wysoką ceną. Zbiornik, z którego czerpaliśmy, był zbyt skąpy w zasoby. Z przyczyn zarówno ponadnaturalnych i alchemicznych pojawiły się niechciane konsekwencje rozbudowywania się z tak wąskiego fundamentu.

— Mnóstwo słów — rzekł Conan — by powiedzieć, że oddzieleni od świata, rozmnażając się w wąskim kręgu powodujecie własną degenerację.

— Zbyt upraszczasz — rzekła niezadowolona. — Nie jesteśmy zwierzętami, tylko istotami ludzkimi. Ilekroć na naszej drodze pojawiali się osobnicy o szczególnych wartościach, wprowadzaliśmy ich do naszego życia. Niestety, natura pustyni powoduje, że nie zdarza się to często.

— Dlaczego więc nie wyjdziecie, by poszukać? — zapytał.

— Zapominasz, że nie możemy znieść promieni przeklętego słońca. Nie, my zostaniemy tu, a nowa krew musi przychodzić do nas. Już dawno wyczerpaliśmy możliwości pustynnych nomadów. Przez jakiś czas pewne plemię dostarczało nam brańców o doskonałych cechach, ale pustynia zbyt się rozrosła. W końcu ci z plemienia nie byli już w stanie brać ze sobą tyle wody, by starczała na coraz dłuższą podróż. Oni byli ostatnimi ludźmi z zewnątrz, którzy wiedzieli, gdzie jest Janagar.

Conan domyślił się, że mowa jest o ludzie Wadim, o którym opowiadał mu starzec. Ta

dziwna, szczątkowa i pokrecona historia była ostatnim błyskiem zbiorowej pamięci, w którym odbijały się czasy, gdy pustynia była mniejsza i bardziej dostępna.

— Macie jednak kontakt ze światem zewnętrznym przez rzekę — mówił bardzo powoli i

dobitnie, jak człowiek na mocnym rauszu. Nalał sobie jeszcze jeden puchar. — Nie oszukacie mnie. Te owoce... — machnął ręką tak, że omal nie wywrócił naczyń — one są z zewnątrz.

Poza tym widziałem tu przedmioty zrobione w Stygii.

— Mamy pewien kontakt — rzekła — z małym plemieniem rzeczonym, które mieszka w

pobliżu miejsca, gdzie nasza rzeka ponownie wchodzi w krainę przeklętego słońca. Sami ludzie nad rzeki są mali, źle zbudowani i nie interesują nas, a poza tym są zbyt słabi, by móc dostarczać nam jeńców. Utrzymują nasze istnienie w tajemnicy, żeby jakieś silniejsze plemię nie wybiło ich i nie przejęło handlu z nami.

Conan pokiwał głową z namysłem.

— Rozumiem już, dlaczego pożądamie nas. Chcecie nas do rozmnażania — rzekł umyślnie

przeciągając słowa. Uderzył się mocno w opalony tors. — Jestem czystej cymmeryjskiej krwi, krwi największych wojowników na świecie. Achilea to wspaniała kobieta, silniejsza niż większość mężczyzn, a jej trzy dworki to piękne i silne dziewczki, dużo lepsze niż tutejsze kobiety — zastanawiał się przez chwilę, jakby nie do końca był świadomy tego, co mówi — z wyjątkiem ciebie oczywiście.

Słyszając to potrzęsnęła głową i zaśmiała się.

— Barbarzyńco, czy ty naprawdę myślisz, że to z powodu twojej siły i wyglądu chcemy mieszać twoją krew z naszą?

— A nie jest tak? — spytał tym razem naprawdę zbity z tropu.

— W żadnym razie. Gdy straciliśmy nasze imperium i zostaliśmy zmuszeni do pozbycia się obcej krwi z naszych żył, straciliśmy także cechy konieczne do praktykowania magii. Mamy dużą wiedzę i żadnych możliwości jej zastosowania. To tak, jakbyśmy byli najwspanialszymi górnikami, a nie mieli kilofów, łopat i klinów.

Uśmiechnęła się dziwnie, a Conan wyczuł w tym uśmiechu ślad czegoś nieludzkiego.

— Z twoją czystą barbarzyńską krwią, krwią młodszej rasy, może uda nam się odzyskać

siłę, dzięki której znów zadziałają zaklęcia naszych przodków. Janagar może znów powstać, by zająć należne mu miejsce w świecie!

Ze wszystkich powodów, dla których mogła go pragnąć, ten był ostatnim, jakiego by się domyślił.

— Chcesz więc mnie? — spytał.

— Tak — odparła. — I nie widzę powodu dalszej dyskusji. — Zaczęła leniwie podnosić się, wierzchnia suknia opadła ujawniając lepiej jej dojrzałe kształty.

— Dobrze! — zgodził się ochoczo. — Zabierzmy się do dzieła. — Chwycił ją pod

ramionami i podniósł bez wysiłku. Jedną ręką odsunął jej welon i złożył koślawy pocałunek na jej ustach. Trzymając ją, wstał na równe nogi.

— Czekaj! — krzyknęła zdenerwowana. — Jesteś za bardzo...

— Za bardzo co? — chciał wiedzieć. Grzebał rękami przy wiązaniu płaszcza udając, że węzeł jest zbyt skomplikowany dla jego niezręcznych rąk. W końcu po prostu zerwał z niej ubranie.

Omia zaczęła walić go pięściami w twarz.

— Powoli, pijany niezdaro!

Nagle Conan upuścił ją i upadła z hałasem na poduszki.

— Chyba... — wymamrotał, chwiejąc się w przód i w tył, jakby jego kostki były źle zrobionymi zawiasami. — Chyba... — Powoli i majestatycznie, niczym padające drzewo, Conan upadł w przód nie wyciągając nawet rąk, by złagodzić upadek. Omia z okrzykiem rzuciła się do ucieczki, ale jej nogi ugrzęzły pod ogromnym torsem.

Szarpnęła się, uwolniła nogi, wstała i zaczęła kopać niedoszłego kochanka.

— Nikczemnik! Opój! Pijany prostak! — Do każdego epitetu dodawała mocne kopnięcie w żebra. Conan wydał z siebie tylko kilka pomruków, a ona wkrótce doszła do wniosku, że kopanie więcej bólu sprawia jej delikatnym stopom.

Conan leżał udając pijanego i myślał sobie, jak bardzo posunęła się degeneracja tych ludzi—mrówek. Achilea zmiażdżyłaby jego żebra jednym kopniakiem. W końcu Omia klasnęła w dłonie i Conan usłyszał lekkie kroki, po których wywnioskował, że musiała to być jedna z niewolnic. Poszeptały i dziewczyna wyszła. Gdy zostali sami, Omia raz jeszcze zdobyła się, by kopnąć go w głowę. Poczul ukłucie w ucho, ale z okrzyku zorientował się, że jej stopa ucierpiała bardziej.

Cięższe kroki dały mu znać, że wszedł ktoś masywniejszy.

— Czy to ten wielki wojownik, który pokonał krokodyla? — był to głos Abbadasa.

— Pomagała mu kobieta — odparła. — On jest zwierzęciem i to głupim! Który mężczyzna woli wino od ciała królowej? — pogarda w jej słowach zraniłaby każdego jeszcze bardziej wrażliwego niż Conan.

— Przecież, Omio — rzekł Abbadas, a w jego głosie dało się słyszeć rozbawienie — to nie ogląda i

kultura osobista sprowadziły go do twojej komnaty. Jestem pewien, że ja nie będę marnował czasu ani wina, by wprowadzić dużą kobietę w odpowiedni nastrój.

— W to nie wątpię. Z początku myślałam, że jest bardziej inteligentny.

— Nie myślałem, że zaprosiłaś go tutaj na konwersację — w jego głosie brzmiała wyraźnie drwina.

— Nieczęsto często zdarza mi się porozmawiać z kimś nowym — odrzekła z irytacją. Zdała mu krótką relację z ich rozmowy.

— Powiedziałaś mu dużo więcej, niż to jest konieczne — zganiał ją Abbadas. — Ten chrapiący zwierz nie musi wiedzieć wszystkiego. Teraz będę musiał jeszcze bardziej na niego uważać.

— Dlaczego? — spytała. — Zrobimy z nim to, co chcemy, a potem się go pozbędziemy.

To, co zostało pod jego grubą czaszką nie na wiele mu się przyda.

— Jednak to mi się nie podoba — rzekł Abbadas. — Uczucie beznadziejności, że nie da się uciec, to najlepsze okowy dla więźnia. Lepiej, żeby nie przywiązywał się do myśli o

wolności.

— Zabrać go stąd — rozkazała. — Profanuje moją komnatę. Spróbuję raz jeszcze, gdy będzie trzeźwy. Następnym razem nie będę marnowała tylu słów. Odciągnijcie stąd tę padlinę.

— Jak każe moja królowa — rzekł Abbadas zuchwale. — Straże!

W kilka chwil później komnata wypełniła się odgłosem tupania wielu nóg i związane Conana ponownie. Potem, przy akompaniamencie sapania i jęków, odtransportowano go podziemnymi korytarzami labiryntu. Niedługo później rzucono go na siennik w celi i przykuto jego łańcuch do ściany. Strażnicy wyszli. Nie będąc pewnym, czy ktoś jeszcze jest w celi, Conan czekał.

— Twój przyjaciel nie dostarczył nam tym razem rozrywki — odezwał się Abbadas. — Ty lepiej nie bądź taka oporna, jeśli nie chcesz cierpieć. Bądź gotowa na moje wezwanie, kobieto. — Jedyłą odpowiedzią było splunięcie. Abbadas wyszedł z celi i jego kroki cichły powoli na korytarzu.

— Conanie, czy oni cię zabili? — zapytała Achilea głosem nabrzmiałym troską. — Ale

oddychasz! Musieli cię strasznie torturować, skoro straciłeś przytomność. Och! — posłyszał

brzęk łańcuchów i rozpacz w jej głosie — Nie mogę cię dosięgnąć. Och, Conanie, ja... — jej głos zadrżał i zamilkła. Potem usłyszał pociąganie nosem. — Co to jest? — troska o niego, jakby pod działaniem czarów, zmieniła się w złość. — Wino? Jesteś pijany! Ty cymmeriański głupcze, zabrali cię do tawerny zamiast do komnaty tortur? Tylko ty mogłeś czegoś takiego dokonać!

W jej głosie pojawiła się nuta podejrzliwości.

— Więc spoiła cię winem, by przewyciężyć skrupuły, których się spodziewała. Ta zła

kobieta chce się rozmnażać co? No cóż, niepotrzebnie się trudziła! Obudź się! Chcę, żebyś słyszał moje przeklinania!

Conan usiadł tak nagle, że aż odskoczyła.

— Tak naprawdę, to nie jestem w ogóle pijany. Dobrze jednak mi robi, gdy dowiaduję się, jak się o mnie troszczysz. — Uśmiechnął się szeroko, a ona oblała się rumieńcem.

— Myślisz, że martwię się o twoją marną skórę i to, co się w niej kryje? — powiedziała niepewnie.
— Jesteś mi jedynie potrzebny do wydostania się stąd!

— Tak, w to wierzę.

— Jeśli tak — rzekła prawie sycząc i mrużąc oczy — to ja uwierzę ci w twoją opowieść o tym, co zaszło między tobą a królową degeneratów.

Rozciągając się na swoim sienniku i podpierając głowę na rękach, Conan opowiedział jej historię Janagaru, którą usłyszał od Omii. Dodawał szczegóły opisu królowej, jej niewolnic i wyglądu komnat. Zerkając od czasu do czasu na Achileę z zadowoleniem stwierdził, że

zaciska zęby za każdym razem, gdy wspomina piękno królowej.

— Tak więc udałeś pijanego — powiedziała w końcu. — I nic więcej się między wami nie stało? Nie żeby to coś dla mnie znaczyło.

— Nic więcej — rzekł rozbawiony.

— Dobrze więc. Teraz już mamy pewność, że rzeka jest gdzieś tutaj i że dzięki niej możemy wydostać się stąd do zewnętrznego świata.

— Jest jeszcze coś, o czym nie mogę przestać myśleć — dodał Conan.

— Co takiego?

— Krokodyl. Co oni z nim zrobili?

— Krokodyl? — spytała zirytowana. — A co on nas obchodzi, przecież nie żyje?

— Tak naprawdę to myślę o jego ogonie.

— Ogonie? Czy królowa wsypała do twojego wina coś, co osłabiło twój i tak już słaby umysł? Co obchodzi cię jego ogon?

Conan nie zmieszany mówił dalej.

— Oskórowany i odpowiednio przyrządzony ogon krokodyla jest naprawdę smaczny. Na kości Croma! Ależ mam dosyć tutejszego jedzenia! — i Conan wybuchnął śmiechem.

ROZDZIAŁ XIII

Gdy Conan obudził się, nie stracił poczucia czasu. Wiedział natychmiast, że spał niewiele ponad dwie godziny. Nawet tu, gdzie nie było dnia i nocy, zmysł orientacji w czasie nie opuścił go. Drzemkę przerwał mu jakiś dźwięk i czekał teraz nieruchomo, by usłyszeć go ponownie. Tuż obok głęboko oddychając spała mocno Achilea. Nie wątpił, że jej zmysły także pozostały czujne, ale nigdy przedtem nie była jeszcze w lochach. Jak większość niedoświadczonych myślała pewnie, że grube mury, kraty i łańcuchy oznaczają przynajmniej możliwość bezpiecznego snu.

Conan ze swoim dużym doświadczeniem, nabranym w lochach, więzieniach, kazamatach pod pokładami statków i w innych miejscach ograniczania wolności, wiedział, że we

wszystkich tych miejscach ludzie stłoczeni jak zwierzęta, pod brutalną strażą w każdej chwili mogą zwrócić się przeciwko sobie niczym wygłodniałe szczury w klatce. A sen wystawiał

człowieka na szczególne niebezpieczeństwo. Conan nie umiałby zliczyć, ile razy budził się i widział swoich współwięźniów zasztyletowanych prowizorycznymi nożami, uduszonych

własnymi łańcuchami, z głowami rozbitymi kamieniem lub wyrzuconych za burtę na pożarcie rekinom. Za każdym razem dokonywali tego wrogowie wśród więźniów. Wiele razy budził

się w takich miejscach, gdy niezadowoleni towarzysze niedoli czyhali na jego życie. Wiedział

więc, że zakuty w łańcuchy musi spać lżej niż zwykle.

Dźwięk doszedł go raz jeszcze. Ktoś był w korytarzu na zewnątrz. Z kroku wywnioskował, że nie jest to żaden ze strażników ani też Abbadas; na takie subtelności jego uszy były wyczulone. Ktoś stąpał lekko, jakby się skradał. Jeszcze zanim sama postać pojawiła się w wejściu, Conan był prawie pewien, kto to jest.

Cymmerianin leżał nieruchomo jak trup, oddychając głęboko i równo jak Achilea. Nie

udawał, że chrapie. Doświadczonemu oszustowi takie dźwięki zawsze wydają się podejrzane, a ten był wręcz weteranem oszustwa. Przez zmrużone oczy Conan zobaczył sylwetkę

wczołgującą się do celi na czworaka. Migoczące światło bezdymnej latarni na korytarzu odbiło się na moment w czymś metalowym, co postać trzymała w prawej ręce. Podpełzła

bliżej, jeszcze bliżej i wtedy Cymmerianin wyciągnął lewą rękę. Jego silne palce zacisnęły się na żylastej szyi tak błyskawicznie, że w pełnym świetle dnia byłoby to złudzenie ruchu. W

półmroku celi ruch nie był w ogóle widoczny. Okrzyk został natychmiast stłumiony pod naciskiem kciuka Conana.

Achilea poderwała się wśród chrzęstu łańcuchów.

— Conanie! Co... kto tu? — spytała mrugając oczami.

— To tylko nasz stary znajomy, Amram. O tym, co tu robi, zaraz sam nam opowie.

Oczywiście może będzie wolał umrzeć, niż mówić. Za chwilę stanie przed tym wyborem!

Gwałtownym machaniem rąk Amram dał znać, że bardzo chce mówić. Conan częściowo

poluzował uchwyt pozwalając mu zaczerpnąć trochę powietrza.

— Przyjaciele! — zapiszczał. Powietrze ze świstem przedostawało się przez zaciśniętą tchawicę. — Nie chciałem nic złego! Jestem tu, by was ratować!

— Chciałeś to zrobić zakradając się niczym gad? — spytał zimno Conan. — Chciałeś to

zrobić podkradając się do mego boku z bronią w rękę? — jego ręka znów zaczęła się

zaciskać.

— Żadnej broni! Patrz! — wyciągnął przed siebie prawą rękę. Rzeczywiście, w dłoni

trzymał nie sztylet, lecz klucz lśniący w niezwykłym oświetleniu.

— No, to dużo lepiej — warknął Conan. — ale jeszcze nie całkiem. Dlaczego uciekłeś od nas podczas burzy piaskowej, łobuzie? Gdzie są bliźniaki? Kim jesteś dla ludzi-mrówek i dlaczego zwabiłeś nas tutaj swoją kłamliwą historią?

— Proszę, przyjacielu, teraz nie czas! — jęczał Amram.

— Jak wiesz, więźniowie mają przede wszystkim czas — rzekł Conan. — Nie mogę się

doczekać, by usłyszeć twoje wytłumaczenie. Tylko że tym razem bardziej będę wyczulony na kłamstwa. Jeśli usłyszę coś, co będzie mi się zdawało nieprawdą, skręcę ci twój chudy kark!

— Ależ, mój cymmeriański towarzyszu — skowyczał Amram. — Nie myślałem, że tak lubisz moją gadaninę!

— Nie obchodzą mnie jego opowieści — rzekła niecierpliwie Achilea. — Uwolnij nas, mały człowieku.

— Nie wierzę mu — stwierdził ponuro Conan. — Czym ten robak jeszcze się zajmuje oprócz tego, że wprowadza ludzi w pułapki?

— Pułapki? Jesteśmy skuci w łańcuchy i w lochu, durniu! Co jeszcze gorszego może on na nas sprowadzić? — Achilea popatrzyła na niego ze złością.

— Niewiele widziałas świata, kobieto — odciął się — jeśli wydaje ci się, że to jest najgorsze, co może cię spotkać.

— Moi dobrzy przyjaciele — odezwał się pokornym głosem Amram. — Nie sprzeczejmy się. Widzę, że pomiędzy wami jest pewna różnica zdań, ale to ani czas, ani miejsce, by takie sprawy rozstrzygać. Pozwólcie, że ofiaruję wam wolność, a sprawy wymagające dłuższego omówienia będziecie mogli przedyskutować w wolniejszym czasie.

— Dobrze więc — rzekł Conan. — ale nie chcę cię oszukiwać. W tym miejscu brak łańcuchów nie oznacza jeszcze wolności. Nie byliśmy skuci, gdy walczyliśmy z krokodylem.

— Zdaje mi się, że to poprawa naszej sytuacji — rzekła Achilea rozgorączkowana niecierpliwością. — Otwórz te okowy, Amramie, zanim zwariuję!

— Już, pani. To jest, jeśli mój dobry przyjaciel, Cymmerianin, będzie tak dobry i mnie puści.

— Conanie!

— Dobrze — niechętnie puścił szyję, ale natychmiast chwycił go za łydkę — uwolnię twoją nogę, gdy pozbędziemy się łańcuchów — powiedział groźnie.

Amram głośno cmoknął.

— Trudno cię zadowolić. A ja się spodziewałem wdzięczności. Co najmniej miłych słów.

— Gdy już będziemy wolni i daleko stąd — odrzekł Conan — będę ci śpiewał hymny.

Może nawet nadam twoje imię swojemu synowi, jeśli będziesz chciał, tylko nas nie zdradź.

Przez kilka minut Amram zajęty był zamkami przy łańcuchach. Najwidoczniej jego klucz nie był do tego przeznaczony i wymagał pewnej zręczności w obsłudze.

— Dobrze, że nie użyli nitów — gderał Conan. Wkrótce jednak łańcuchy opadły i oboje stali rozcierając obolałe członki.

— Teraz idziemy uwolnić moje kobiety — rzekła Achilea.

— Nie ma czasu — powiedział Amram kręcąc głową. — To tylko sługi. Zostaw je.

Teraz z kolei Achilea straciła cierpliwość. Chwyliła go za szyję, jak przedtem Conan.

— Gdybym nie była królową i nie miała poczucia wdzięczności, to w tej sekundzie skrzyłabym ci kark. Ten tu, mój towarzysz, zna się dobrze na zamkach i okowach. Założę się, że wie, jak skorzystać z twojego klucza.

— Tak, to proste urządzenie — potwierdził Conan uśmiechając się.

— No dobrze już! — rzekł Amram zgrzytając zębami na ich stoicki spokój. — Rozkuję je.

Ale ta strata czasu może nas dużo kosztować.

— Wydostań nas stąd — rzekł Conan — i zaprowadź tam, gdzie jest nasza broń, a ja już dopilnuję, żeby wszystkie koszty ponieśli ludzie — mrówki.

— Jesteś zbyt pewny siebie — zrzędził człowieczek, gdy podchodzili do drugiej celi.

Weszli do środka i Achilea zbudziła swoje kobiety potrząsając nimi i kładąc rękę na ustach.

Wszystkie miały radosny wyraz twarzy, ale wykazywały się też doskonałą dyscypliną i nie zadawały żadnych pytań. Najwyraźniej nie uważano je za tak niebezpieczne, jak Conana i Achileę, bo każda miała tylko jeden łańcuch na szyi przytwierdzony do ściany.

— Teraz — rzekł Conan, kiedy wszyscy już byli wolni — znajdź naszą broń i zaprowadź nas do rzeki.

— Tobie wydaje się, że to zwykła wycieczka, na której możesz odwiedzić każde miejsce, które zapragniesz?

— Chcemy naszą broń — powiedziała twardo Achilea — z nią dostaniemy się do rzeki. I chcę odzyskać nasze bagaże, mój róg do picia.

— Twój róg do picia? — spytał Conan podnosząc brwi. Nie widział tego zdobionego

srebrnego naczynia, od kiedy opuścili Leng, gdzie starannie spakowała go na podróż.

— Tak, to część skarbu przodków mojego ludu. Nie odejdę bez niego.

— Ostatnio słyszałem, że twój lud się ciebie wyrzekł. Ale skoro musisz go mieć, dobrze. Ja rozejrzę się za swoim mieczem i sztyletem.

Amram zwracał zdumiony wzrok to na Conana, to na Achileę, jakby byli jakimiś egzotycznymi zwierzętami.

— Oboje jesteście szaleni. Wpadłem pomiędzy szaleńców.

— Tylko na jakiś czas — powiedział Conan. — Wydaje mi się jednak, że wiesz, co dla ciebie najlepsze, niezależnie, gdzie się znajdujesz. Rób więc tak dalej i spełniaj nasze prośby.

Domyślam się, że ty też chcesz się wydostać z tego okropnego miejsca?

— Pragnę tego niemal jak życia! — potwierdził gorączkowo Amram.

— Tak — wtrąciła Achilea — wyglądasz na człowieka zdolnego znieść wiele w imię ocalenia życia. Zrób, jak mówimy — poklepała go po ogolonej głowie, ale ta pieszczota miała w sobie tyle uczucia, co wcześniejsze groźby Conana.

Amram westchnął głęboko.

— Dobrze więc, chodźcie za mną i zachowujcie się bardzo cicho. Od tego zależy nasze życie.

— Prowadź — rzekł Conan naprawdę rozbawiony.

W przedsionku natknęli się na strażę. Strażnicy już albo nie żyli, albo zostali uśpieni, uciekający nie mieli czasu tego ustalać. Conan pochylił się tylko, by wziąć krótki stygijski miecz. Ekun już miała podjąć długą włócznię połączoną z toporem, ale Achilea powstrzymała ją ruchem ręki.

— Żadnej długiej broni — poinstruowała ją szeptem. — Niewygodnie nią walczyć w wąskich korytarzach i robi hałas. Bierzcie tylko jednoręczną, jeśli nam się jakaś trafi. —

Kobiety pokiwały głowami, a Amram wyjrzał przez drzwi.

— Tam nie ma nikogo — zaszeptał. — Za mną.

— Nie ma obawy — rzekł Conan podchodząc cicho — idę tuż za twoimi plecami.

— Można by pomyśleć, że mi nie ufasz — odparł Amram urażonym tonem. Cymmerianin puścił tę uwagę mimo uszu.

— Dlaczego tu tak cicho? — spytał. Przechodzili przez teren, o którym już wcześniej wiedział, że przeznaczony jest na manufaktury. Wszędzie panowała cisza i nie było żywego ducha.

— Jest noc. Nawet tu na dole, gdzie nieznane są księżyc i słońce, musi być noc i dzień.

Ludzie muszą spać, a ponieważ jest tu dobra organizacja pracy, wszyscy są wydajni i śpią w tym samym czasie. Tylko służby doglądające systemu wentylacyjnego i kilka innych,

najbardziej potrzebnych czuwa przez całą noc.

Achilea podeszła do niego od tyłu.

— Które to są?

— Pssst! — Amram podniósł rękę nakazując im zachowanie ciszy — jeden z nich właśnie nadchodzi. Tutaj! — wepchnął ich do bocznej komnaty, gdzie składowano narzędzia do sprzątania. Stali stłoczeni pomiędzy miotłami, szczotkami, miednicami i szmatami.

— Co się stało? — spytała szeptem Achilea.

Całym ciałem oparta była o Conana.

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć — rzekł Conan z uśmiechem. — Dobrze mi tu.

Uderzyła go w tył głowy.

— Cicho! — zakomenderował Amram. — To patrol ogniowy.

Zasłona w pomieszczeniu była zasunięta tak, że mogli wyglądać przez szparę. Korytarzem szło dwóch niewolników. Przy każdej latarni na chwilę przystawali. Przedtem Conan

zauważył po drodze, że paliła się tylko co trzecia, pewnie dlatego, że na świecie była noc.

Straż zajmowała się regulowaniem płomienia w lampach, które się paliły. Przy każdej

wygaszonej jeden z niewolników przystawał i wachał ją, po czym szedł dalej. Przy jednej pociągnął nosem, zmarszczył brwi i dał sygnał ręką. Drugi wyjął z torby narzędzia i zaczął

regulować. W końcu poszli.

Gdy zniknęli za zakrętem korytarza, uciekinierzy i ich przewodnik wyszli z komórki.

— To kosztowało nas nieco bezcennego czasu — zrzędził Amram.

— Co oni robili? — zapytał Conan.

— Latarnie tutaj wymagają ciągłego doglądania — wyjaśnił Amram. Mówienie

najwyraźniej uspokajało go. — Palą się dzięki naturalnym wyziewom z wnętrza ziemi.

Spalają się bez dymu i zapachu, ale gdy zabraknie ognia, stają się śmiertelną trucizną. Gdy zgaśnie płomień, opary wciąż się ulatniają. Mogą sprowadzić śmierć wielu ludzi, jeśli szybko nie odetnie się dopływu gazu. Jeśli zbierze się go zbyt duża ilość, to przy ponownym zapalaniu płomienia wszystko wybuchają jak wulkan. W przeszłości całe dzielnice

podziemnego miasta bywały w ten sposób niszczone.

— Dlaczego jeden z nich je wachał? — spytała Achilea.

— Sprawdzał ewentualne przecieki — rzekł Amram. — Te urządzenia są wykonane z brązu

i ceramiki i z czasem coś może się poluzować, stwarzając możliwość przecieku. Wciąż trzeba je regulować. Ponieważ opary same w sobie nie mają zapachu, dodaje się do nich wonne substancje, by można było je wyczuć.

— Nie tylko żyją tu jak podziemne robaki — rzekł Conan. — ale jeszcze w ciągłym strachu przed wybuchem i uduszeniem. Co to za życie?

Amram wzruszył ramionami.

— Żeglowałeś kiedyś po morzu? Życie na pokładzie statku bywa bardziej niebezpieczne.

— Jest to jednak życie na otwartym powietrzu, pod słońcem i gwiazdami — zaprotestował Conan.

— Każdy ma inne upodobania — stwierdził Amram. — Ja jestem człowiekiem

tolerancyjnym i wszystkie sposoby na życie wydają mi się dziwne, ale równie dobre.

W ciszy szli dalej przez uśpione miasto, przechodząc przez szerokie korytarze, przeciskając się przez wąskie przejścia, przy których znajdowały się komnaty sypialne, skąd dochodziły odgłosy chrapania. Szli po długich schodach, jednych prostych, innych znów kręconych.

Kilka razy usłyszawszy w porę ogniowe patrole chowali się do najbliższych nie oświetlonych pomieszczeń. Weszli do obszernej komnaty, gdzie panował ostry, gryzący zapach.

— Tu dodaje się woni do oparów — przestrzegł Amram. — Trzeba zachować szczególną

ostrożność. Tutaj robotnicy pełnią dyżury przez całą noc.

Komnata była olbrzymia i Conan wchodził do niej ze strachem, ale nie z powodu, że mogą go zauważyć. Raczej dlatego, że jakakolwiek bliskość rzeczy niezrozumiałych dla niego powodowała niepokój. Z tego, co mówiła mu Omia, wiedział, że ci ludzie nie posiadają wiedzy tajemnej, ale ten wielki zbiornik z palnym gazem wydawał się jego prostemu

rozumowi i barbarzyńskim instynktom wystarczająco nieziemski i nie widział wielkiej różnicy między nim a najpotężniejszą magią.

Światło było tu słabe i niepewne. Pochodziło nie z otwartego płomienia, a z kęp

fluorescencyjnych grzybów. W nieprzyjemnie zielonym, niebieskim, żółtym i

pomarańczowym oświetleniu można było dostrzec olbrzymie, nitowane pojemniki z brązu, z których splecione zwoje metalowych rur prowadziły do mniejszych kontenerów, do innych rur i do urządzeń, których przeznaczenia Conan nie umiał odgadnąć. Wszędzie znajdowały się mniejsze i większe koła, będące przypuszczalnie zaworami kontrolującymi przepływ oparów.

Nad wszystkim unosił się gryzący zapach. Conan zastanawiał się, jak można wykryć przeciek tutaj.

Pomiędzy urządzeniami przechadzały się mgliste zarysy postaci, niektóre małe, inne

zwaliste. Z włosem zjeżonym na głowie zobaczył Conan człowieka o długich, mocno

umięśnionych rękach i ramionach jak u goryla, ale z głową nienaturalnie małą. Dotknął

ramienia Amrama i wskazał człowieka idącego po rampie nad nimi, który ręce miał niemal do podłogi, usta szeroko otwarte, a niewidzące spojrzenie utkwione w dali. Amram szepnął mu do ucha.

— Ci są niegroźni. To niewolnicy specjalnie hodowani. Odkręcają największe i najbardziej odporne zawory. Gdy nadchodzi niebezpieczeństwo, nie ma czasu wzywać dodatkowej

pomocy. Opary trzeba natychmiast odciąć.

Pomimo przemożnej chęci ucieczki Conan starał się zapamiętać każdy szczegół. W

porównaniu z resztą miasta panował tu hałas. Pełno było odgłosów syczenia, stukotów

metal, rzucanych rozkazów i ciężkiego sapania wielkich niewolników, których małe nosy i usta nie były w stanie podołać zadaniu dostarczenia odpowiedniej ilości powietrza

przerośniętym ciałom.

Przeszli koło ogromnego poziomego koła, do którego za nadgarstki przykutych było sześciu masywnych ludzi. Conan domyślił się, że jest to główny zawór, którym w razie poważnego

niebezpieczeństwa można odciąć dopływ gazu do całego miasta. Zastanawiał się, jak miasto może funkcjonować w zupełnej ciemności, ale po chwili zdał sobie sprawę, że odpowiedź jest na miejscu. Świeące grzyby stanowiły swoistą iluminację. Z pewnością ludzie—mrówki mają je u siebie we wszystkich częściach miasta i to zapewnia im niezbędne oświetlenie.

Bez wątplenia, pomyślał, dobrze to zaplanowali. Przecież, mieli za sobą tysiące lat, by doskonalić sztukę życia bez słońca. Wzdrygnął się myśląc o tym. Po wyglądzie wszystkich widać było wyraźnie konsekwencje takiego życia. Zimne światło grzybów nadawało ich

skórze trupi wygląd.

Gdy przeszli przez gazownię, znaleźli się na bardziej znanym sobie terenie. Cymmerianin rozpoznał miejsca, przez które szli za pierwszym razem, gdy sprowadzano ich pod ziemię.

Podchodzili w górę i Conan domyślił się, że Amram prowadzi ich z powrotem do wielkiej świątyni. Nie myślał ze szczególną radością o przejściu przez pustynię, ale wszystko wydawało mu się lepsze, niż dłuższa gościna u Omii i Abbadasa.

Amram skręcił nagle w nie znany im boczny korytarz.

— Gdzie idziemy? — spytał Conan chwytając go za ramię i zatrzymując. — Nie pamiętam tego miejsca.

— Nie masz prawa go pamiętać — odparł. — Powiedzieliście jednak, że chcecie swoją broń i bagaże, czyż nie?

Conan uśmiechnął się szeroko.

— Prowadź.

Szli dalej, aż na zakręcie Amram ich zatrzymał. Przyciągnął do siebie Conana i Achileę i szepnął ledwo słyszalnie.

— Za tym zakrętem jest komnata straży. Co najmniej dwóch strażników pełni wachtę i tymi musicie zająć się sami. Wasze rzeczy są w pokoju dalej.

Oboje skinęli głowami i wyciągnęli niedawno zdobytą broń. Na znak Conana wypadli zza rogu. Dwaj strażnicy, oparci na włóczniach po obu stronach drzwi, z senności ledwo trzymali się na nogach. Nosili czarne zbroje i maski zwierząt. Byli tak zaskoczeni, że nie zdążyli nawet powiedzieć słowa. Conan chwycił jednego za gardło i wbił mu swój krótki miecz w

kręgosłup. Achilea poderznęła gardło drugiemu. Zaraz potem wpadły jej kobiety i pochwyciły upadających strażników, by nie narobili hałasu. Z niebywałą zręcznością Amram poskoczył w przód i zdążył pochwycić upadającą włócznię.

Conan z zakrwawionym mieczem natychmiast rzucił się do sąsiedniego pomieszczenia w

poszukiwaniu dalszych wrogów. Nic się nie poruszyło, więc wyprostowany rozejrzał się po komnacie. Nie była duża, zawalona skrzyniami, a na ścianach z kołków zwisały najrozmaitsze przedmioty.

— Jest! — powiedziała triumfalnie Achilea i podskoczyła w kierunku ściany, na której wisiał jej pas z mieczem i sztyletem. Ściągnęła go z kołka i zapięła wokół talii, po czym przykucnęła, żeby obejrzeć, co leżało na podłodze.

Conan znalazł swoją broń wiszącą nad stertą rzeczy, wśród których były także jego

pustynne szaty i inne przedmioty. Zawinął to wszystko, z wyjątkiem pasa z bronią, w płaszcz i zarzucił na ramię. Kobiety robiły to samo, nie ruszając rzeczy należących do Kye-Dee i Jeyby.

Cymmerianinowi przypomniało się, że czegoś brakuje.

— Gdzie są wielbłądzie uprzęże i siodła?

— Wciąż na wielbłądach, jak sądzę — rzekła Achilea. — Mam taką nadzieję. To by nam oszczędziło czasu przy wydostawaniu się z tego okropnego miejsca.

— Chodźcie! — pośpieszał Amram. — Zbyt wiele czasu zmarnotrawiliśmy. Niedługo miasto zacznie się budzić i będą zmieniać się strażę w waszej celi. Alarm rozchodzi się tu błyskawicznie!

— Jestem gotów — rzekł Conan wychodząc z komnaty strażników. — Teraz, gdy jesteśmy uzbrojeni, niech lepiej nie wchodzą nam w drogę!

Poszli w górę spiralnymi schodami i gdy już się znaleźli na rampie, usłyszeli za sobą narastający hałas. Rozległ się dźwięk gongów i dzwony z tajemniczymi odgłosami piszczałek w tle.

— Za późno, psy! — krzyknęła Achilea. — Nie dostaniecie nas już!

— Nie bądź zbyt pewna siebie! — ostrzegł Amram. — Bogowie lubią karać śmiertelników za takie rzeczy.

— Teraz — rzekła Amazonka — nie boję się ani bogów, ani diabłów, ani ludzi!

Znajdowali się w wielkim ciemnym pomieszczeniu, gdzie echo powielało odgłosy ich

kroków. Byli we wnętrzu bożka największej świątyni Janagaru. Bezdymne latarnie wciąż płonęły słabym światłem rzucającym niewyraźne cienie.

— Gdzie jest brama? — zapytała Achilea.

— Pod stopami bogini — odpowiedział Amram biegnąc do przodu. — Gdzieś tu się ją otwiera. — Szarpnął za dźwignię i usłyszeli chrzęst łańcuchów i skrzypienie zawiasów.

Odgłosy za nimi były coraz wyraźniejsze.

— Idą! — krzyknęła Payna. — Jest ich wielu! — Wszystkie trzy ustawiły się natychmiast do obrony swojej królowej. Jak za sprawą czarów w rękach pojawiły się topory i krótkie miecze. Conan i Achilea też dobyli broni i ustawili się gotowi na wszystko

— Pośpiesz się z tą bramą! — krzyknął Conan. — Wolałbym mieć z nimi do czynienia już poza tym brązowym grobowcem!

Nagle rozblęskło światło wewnątrz posągu, a z latarni wystrzeliły płomienie na pięć metrów wysokie. Ktoś zwiększył dopływ oparów. Conan spojrzął w górę. Zawsze istniała

ewentualność, że nieprzyjaciel będzie próbował podejść ich od góry. Zobaczył labirynt przejść i drabin, łańcuchy zwisające w pętlach, dźwignie i koła o niewiadomym

przeznaczeniu, jednak żadnej żywej istoty. Wtem jego spojrzenie pochwyciło coś znajomego

— blady purpurowy blask.

Nie było jednak czasu na zastanawianie się. Strażnicy zdążyli już dobiec do końca pomostu.

Cymmerianin rzucił się na trzech pierwszych. Stał łatwo dotarła do ciała poprzez czarne zbroje. Napadnięci z zaskoczenia nie byli trudnymi przeciwnikami. Conan zorientował się, że nie są dobrze wytrenowani jak ci, którzy pojмали ich za pomocą sieci. Ci byli zwykłymi strażnikami, pierwszymi, którym udało się dobiec tu. Dyszeli zmęczeni i brakowało im tchu po mozolnym wbieganiu na górę.

— Zrób mi miejsce! — zażądała Achilea przepychając się do przodu z mieczem w rękę.

Dwóch rzuciło się na nią od razu, lecz w mgnieniu oka padli, jeden z odrąbanym ramieniem, drugi tryskający krwią z przeciętej arterii na udzie. Dzikie dworki Achilei posługiwały się swoją krótką bronią z niebywałą zręcznością. Pomost zrobił się śliski od krwi i w zamieszaniu atakujący wycofali się na chwilę.

Conan zerknął przez ramię i dostrzegł, że Amramowi, który z mozołem naciskał na

rozmaite dźwignie raz po raz rzucając spojrzenia na to, co działo się obok, udało się wreszcie otworzyć drzwi na pół metra. Nacisnął raz jeszcze i rozległ się szcęk. Drzwi ruszyły jeszcze trochę. Cymmerianin zapamiętał, którą dźwignią poruszał Amram.

— Idź! — krzyknął do Achilei Conan. — Przejdź przez drzwi, ja ich zatrzymam, a potem dołączę. Biegnij do bramy i do naszych wielbłądów!

— Nie porzucę walki! — warknęła z bitewnym szaleń, wymalowanym na twarzy. —

Żaden mężczyzna nie będzie tego robił za mnie!

Conan zwrócił się do kobiet.

— Zabierzcie stąd swoją królową!

Kiwnęły głowami i zaczęły odciągać Achileę.

— Conanie! — krzyknęła. — Nie poradzisz im sam! Zabiją cię!

— Chcą nas żywcem, zapomniałaś? — w głębi duszy nie był pewien swoich słów. Może

Omia chciała go żywego, ale nie było jej w pobliżu, a ci strażnicy mogli mieć rozkazy, by zabić każdego intruza. Zobaczył, jak kobiety ciągną swoją królową przez drzwi. Amrama nie było w zasięgu wzroku. Prawdopodobnie przeszedł przez drzwi pierwszy, jak zwykle dbając o własną skórę. Conan nie miał czasu zastanawiać się na tym dłużej.

Z ciżby strażników wychynął jeden większy i ciężej uzbrojony przy akompaniamencie

zachęcających okrzyków reszty. Conan domyślił się, że musiał to być miejscowy mistrz. Miał

na twarzy maskę demona, a w ręku trzymał nabijaną maczugę. Z rykiem zamierzył się z całej siły na głowę Conana. Cymmerianin zdążył schylić się i odpowiedział poziomym cięciem, ale strażnik odskoczył i opuścił swoją broń w dół, by zablokować koniec miecza. Stał zabrzęczała i posypały się iskry. Potem masywną głowicą maczugi wymierzył w bok Conana, ale ten

uchylił się z zasięgu ciosu i chwycił rękę napastnika poniżej łokcia. Rękojeść miecza Conana uderzyła łamiąc cienki metal maski. Cios był tak potężny, że z oczu strażnika rzuciła się krew. Zawył i upadł do tyłu, a Conan szybkim ruchem wyrwał mu maczugę z ręki. Jednym ciosem zmiażdżył mu głowę i niemal tym samym ciosem pogruchotał bok kolejnego

strażnika. Następnie miecz wbił w żebra trzeciemu. Reszta odsunęła się do tyłu, a Conan rzucił się do ucieczki.

Strażnicy zebrali się na odwagę i rzucili za nim, ale on był już przy bramie. Jednak nie przeszedł na zewnątrz. Zamiast tego wziął miecz w zęby, rzucił maczugę na ziemię i z całej siły nacisnął na dźwignię. Natężył mięśnie, dźwignia zaskrzypiała i brama się zamknęła.

Potem schylił się, podniósł maczugę i zakręciwszy nią uderzył. Żelazna, gruba dźwignia, odpadła i kręcąc się wokół własnej osi poszybowała w powietrzu, aż odbiła się od ściany z tępym brzękiem.

Strażnicy stali ogłupiali nie bardzo rozumiejąc, co właściwie stało się przed chwilą.

Zapanowało małe zamieszanie i nagle pojawiła się Omia z Abbadasem.

— Co się dzieje? Gdzie... — ujrzała Cymmerianina, kory stał z uśmiechem na ustach.

— Nigdy przedtem nie hodowałaś byków, co? — drwił. — Byłabyś ostrożniejsza. Każdy hodowca wie, że rozplodowe byki są najniebezpieczniejsze!

— Gdzie są te kobiety? — krzyczał Abbadas.

— Nieważne — odpowiedział spokojnie Conan. — I tak nie dożyjesz chwili, gdy będziesz mógł je dotknąć. — Wraz z ostatnim słowem Conan rzucił maczugą wprost w Abbadasa. Nie dbał o nią, wziął ją tylko, by zniszczyć dźwignię. Abbadas odskoczył z krzykiem wykazując przy tym zręczność, której każdy mógłby mu pozazdrościć.

— Zabić go! — wrzasnął.

— Nie! — zaprotestowała królowa. — Chcę go żywego!

Jednakże obiekt ich przetargów nie słuchał tego dłużej.

Jednym długim skokiem dopadł najbliższej drabiny. Z mieczem w zębach szedł w górę. Ze zręcznością małpy wspinał się wciąż wyżej. W dole usłyszał odgłos cięciwy i koło jego głowy przeleciała strzała, odbiła się od rusztowania i spadła. Omia coś krzyczała. Najwyraźniej ktoś celował wbrew jej rozkazowi.

Drabina wychodziła na pomost, na który skoczył Conan. Tuż za nim wspinali się strażnicy.

Drabina była przymocowana zbyt mocno, by mógł ją odepchnąć i nie miał czym rzucić w dół.

Wiedział, że z tego miejsca będzie mógł odcinać im głowy, jedną po drugiej przez cały dzień.

Ale jednocześnie stanowił łatwy cel dla łuczników, z których przynajmniej niektórzy słuchali rozkazów Abbadasa.

— Zejdź na dół! — krzyknęła Omia. — Nic ci się nie stanie!

Ignorując ją, Abbadas dał rozkaz dwóm kobietom z kuszami i w górę poszybowały strzały.

Jedna uzbrojona była w najeżony kolcami grot, druga zakończona była ołowianą kulą, która bez trudu mogła rozbić czaszkę. Cymmerianinowi z trudem udało się uniknąć pocisków.

Omia zwróciła się do Abbadasa.

— Zginiesz za to, zdrajco!

— Myślę, że nie — odparł. Zrobił krok w jej kierunku i objął ją czule. — Nadszedł koniec twoich łagodnych rządów, moja królowo. Czas porzucić przeszłość i dołączyć do

prawdziwego świata.

— Jesteś szalony! — krzyknęła wyrrywając się z jego objęć. — Wszyscy zginiemy! To koniec Janagaru! Nie wolno ci... Straże!

Ostatnie słowo wydała z siebie ze zgrozą widząc ostrze, które podnosił na nią Abbadas.

Potem wolno, jakby to była miłosna pieszczota, przeciągnął ostrze po jej gardle. Otworzyła usta do krzyku, ale nie wydostało się z nich nic prócz spienionej krwi. Nie mogła stać się bardziej blada, ale życie opuściło ją i upadła u stóp swojego zabójcy. Strażnicy stali wokół, nie mogąc zrozumieć, co się stało.

— Teraz będziecie słuchać mnie — spokojnie obwieścił Abbadas. — Ja jestem nowym królem Janagaru. Moim pierwszym rozkazem jest zabić tego... gdzie on jest? — Jego

spojrzenie powędrowało do góry, ale pomost był pusty. Stał tam jedynie strażnik, któremu dopiero co udało się dotrzeć do samej góry.

Widząc śmierć królowej Janagaru. Conan nie zwlekał. Wiele razy widywał jeszcze bardziej bezceremonialne zmiany na tronie i wiedział, że nowy monarcha jest bardziej bezwzględny niż poprzedni, a na pewno nie był zainteresowany w zachowaniu Conana przy życiu. Jak najciszej Cymmerianin pobiegł na koniec pomostu i skoczył na barierkę. Chowając swój miecz do pochwy skoczył na wyższy pomost, chwycił się jego krawędzi i ze zręcznością kogoś, kto wychowywał się wśród gór i skał, podciągnął się w górę. Żadna górską kozica nie miała tyle pewności w ruchach, ile Conan barbarzyńca.

— Jest tam! — krzyknął ktoś i Conan schylił się wiedząc, że zaraz polecą strzały. Pobiegł

wzdłuż pomostu i skoczył. Chwycił zwisający łańcuch i rozbujawszy go przedostał się na dużą platformę, na której znajdowały się dźwignie i przekładnie niewątpliwie służące do obsługiwania ramion posągu. Przeszedł dalej po platformie wypatrując, gdzie skierować się i balansując nad przepaścią.

Nie miał lęku wysokości w przeciwieństwie do strażników, którzy podążali za nim z wielką ostrożnością.

Szli jednak dalej. Było ich coraz więcej na drabinach i pomostach, a już niewiele brakowało im do platformy. Conan wiedział, że nawet najlepszy wojownik musi ulec liczebnej

przewadze. Wtedy ujrzał ponad sobą, że z platformy, na której stał, niczym pajęczyna prowadziła w górę chybotała sznurkowa drabinka. Jej koniec ginał w ciemności.

Tam, zbyt daleko, by mógł rozróżnić szczegóły, świeciło blade, purpurowe światło. W jego centrum zdawał się go przyzywać kształt człowieka.

Na platformę, tuż pod jego stopy spadły, trzy strzały. Nie miał wyboru i wskoczył na niepewną drabinę. Było to jak wspinanie się po olinowaniu statku, tylko że żaden statek nie miał aż tak wysokich masztów. Strzały szybowały wokół niego, ale trafienie na taką odległość było trudne nawet dla doświadczonego łucznika, a ci, jak podejrzewał Conan, wyjątkowo rzadko mieli okazję ćwiczyć strzelanie do odległych celów. Przeszło mu przez myśl, że gdyby to ścigali go Hyrkańczycy, byłby już najeżony strzałami, jak tarcza na wiejskim targu.

Trudno było ustalić, w którym miejscu posągu znajdował się. Wyższe szczeble drabiny

ginęły w mroku niczym w ciemnej burzowej chmurze. Widział jednak niewyraźną sylwetkę w blasku i przy całej swojej niechęci do magii Conan musiał przyznać, że świetlista postać nie wydawała się wrogo do niego nastawiona, czego nie dało się powiedzieć o ludziach na dole.

W końcu jego przyzwyczajone do ciemności oczy rozpoznały zarys kolejnej platformy.

Stanowiła zaledwie plamę w ciemności, ale widać było, że przynajmniej drabina czymś się kończyła. Nie więcej niż dziesięć szczebli pozostało mu do platformy, gdy drabina zaczęła drżeć. Spojrzał w dół, tłumek strażników stał na niższej platformie, a jeden, najodważniejszy, postawił już stopę na niepewnych szczeblach.

W pustym wnętrzu posągu rozległ się metaliczny grzmot, któremu towarzyszył chrzęst

łańcuchów. Tam w dole próbowano otworzyć zamek bramy, który Conan zdążył zepsuć.

Conan roześmiał się. Według jego obliczeń, Achilea i reszta jego ludzi, jeśli biegli najszybciej jak mogli i nie zgubili się w mieście, powinni już być przy wysadzanych opalami bramach Janagaru. Jego śmiech urwał się, gdy grunt pod nogami zaczął mu się trząść wydając z siebie jęki umęczonego metalu. Ciężar Conana i strażników wspinających się na drabinę naruszył

mocowania starożytnej konstrukcji.

Nastąpiło kolejne wahnięcie i odgłos odskakujących nitów. Platforma przechyliła się i z dołu usłyszał przerażone krzyki. Conan rozejrzał się za inną drogą ucieczki. Zastanawiał się, czy udałoby się zejść tą samą drogą, usuwając po drodze przeszkody, zanim platforma się zawali. Perspektywa ta wydała mu się jednak równie mało korzystna, jak i to, że będzie musiał walczyć z tłumem strażników na dole. Gdzie podział się tajemniczy kryształowy człowieczek?

Wtedy znów ujrzał purpurowy blask. Zakrzywiona ściana, z której właśnie wyrywała się platforma, miała w sobie długą poziomą szparę, przez którą przeświecało światło. Ujrzał tam zarys sylwetki przyzywającej go ręką. Rzucił się w jej kierunku. W tym samym momencie puściły kolejne nity i platforma zaczęła odrywać się od ściany z metalicznym jękiem, który zlewał się z krzykiem strażników na drabinie.

Szpara była tak wąska, że ledwie mógł przecisnąć przez nią głowę, ale z wielkim wysiłkiem Conanowi udało się nieco ją rozepchnąć. Jednocześnie parł całym ciałem i naciskał rękami na dolną krawędź platformy, która nie dawała mu zbyt wiele oparcia, a za chwilę już żadnego. W

końcu z ostatecznym szczękiem metalu odpadła całkowicie, pozostawiając nogi Conana w powietrzu. Krzyki strażników w dole ucichły, a on wciąż zmagał się z nieustępliwym metalem.

Powoli jednak górna krawędź zaczynała się odchyłać. Conan wiedział, że nawet jego ogromna siła nie jest w stanie zgiąć grubego brązu. Płyta nad nim musiała być zaczepiona na zawiasach. Z odgłosów, jakie wydawała, można było wnosić, że nie używano jej od lat, a raczej od tysiącleci. W końcu z trudem przecisnął swoją masywną pierś i ramiona przez otwór. Reszta poszła już łatwo. Po chwili znalazł się na zewnątrz ciężko zipiąc na wąskim zakrzywionym występie. Po kilku głębszych wdechach dla odzyskania sił usiadł, by rozejrzeć się po otoczeniu.

Pierwsze, co dostrzegł było to, że znajdował się bardzo wysoko, prawie pod sklepieniem świątyni. Poniżej ciało posągu stanowiło wielką masę. Gdy spojrzał w dół, wysokość

przyprawiła o zawrót głowy nawet jego mocne zmysły. Obejrzał otwór, przez który przeszedł, i wypukłą płytę, którą w tym celu musiał podnieść i rozeźmiać się. Wyszedł przez oczy posągu. Górna część była ruchomą powieką. Bez wątpienia, w dawnych wiekach we wnętrzu głowy płonął ogień, a powieki podnosiły się mechanicznie, by wyrzeć odpowiedni efekt.

Leżał teraz na jednej z kości policzkowych bogini i zastanawiał się usilnie, jak dostać się na dół bez złamania karku i najlepiej, zanim ludzie żądni jego krwi zdołają otworzyć bramę na dole. Odgłosy uderzeń w portal rozlegały się w całej świątyni niczym potężny gong.

Kryształowego człowieczka nie było nigdzie w zasięgu wzroku, ale po ciemnościach wnętrza posągu, światło panujące wewnątrz świątyni wydawało mu się jasnością dnia i w takich warunkach błada purpurowa poświata mogła być trudna do dostrzeżenia.

Bezpośrednio pod nim najbliższe wystające miejsce było oddalone o dwadzieścia metrów.

Były to piersi bogini. Nawet gdyby udało mu się skoczyć, powierzchnia z brązu była tak gładka, że zsunąłby się na jej kolana niczym spóźniona ofiara dla bogini, której wyznawcy dawno temu porzucili świątynię. Występ nosa był zbyt daleko, by się wychylić, więc Conan poszedł w przeciwnym kierunku i spostrzegł, że ucho dawało pewne możliwości. Wnętrze było wystarczająco obszerne, by pomieścić człowieka, a u dołu zwisała ozdoba sięgająca prawie do ramienia. Odległość pomiędzy kością policzkową a uchem była zbyt duża, by mógł

pokonać ją jednym skokiem, ale włosy bogini udrapowane były metalowymi prętami, które mogły dać oparcie. Było to ryzykowne, ale przecież całemu jego życiu towarzyszyło ryzyko.

Uderzenia na dole zmieniły ton, tak jakby brama zaczynała ustępować.

Conan nie wahał się dłużej. Kucnął i skoczył w górę. Jego ręce chwyciły dwa pręty i poczuł

jak jeden z nich się chwieje. Puścił go, chwycił inny widząc, jak tamten odpada i odbijając się od ramienia bogini niknie w dole. Zręcznie przekładał ręce z jednego pręta na drugi, nie zatrzymując

swego ciężaru na żadnym na tyle długo, by go złamać. Mogłoby skończyć się to śmiertelnym upadkiem. W końcu znalazł się w uchu i planował dalszą drogę.

Koniuszek ucha był wąski. Chwycił się więc i ześlizgnął w dół do zwisającej ozdoby,

wielkiej i przepysznej niczym nemedyjski świecznik. Po niej zszedł łatwo jak po drzewie i teraz od ramienia dzielił go już tylko mały skok. Powierzchnia tu była gładka, ale

przyozdobiona czymś, co przypominało sznur pereł kończący się aż na przeciwległym

biodrze.

Chwytnąjąc się ornamentu Conan zaczął schodzić w dół. Pierwszy odcinek był łatwy, ale gdy minął wybrzuszenie piersi, musiał trzymać się mocniej, nie znajdując wystarczającego oparcia dla stóp. Delikatne krzywizny brzucha kosztowały go mniej wysiłku i wkrótce

przeszedł obok pępka, który przypominał wejście do jaskini.

Gdy dotarł do biodra, ześlizgnął się po jego okrągłościach na szczyt wielkiego uda, a z niego na wewnętrzną stronę. Przed nim były skrzyżowane kostki bożka, przez które musiał

się wspinać i w końcu znalazł się na piedestale gigantycznego posągu. Bez namysłu jednym zręcznym skokiem znalazł się przykucnięty na podłodze.

Radość z udanego zejścia została mu jednak gwałtownie odebrana, ponieważ strażnicy

potężnym uderzeniem wreszcie otworzyli bramę i zaczęli się z niej wylewać. Niczym rączy rumak Conan popędził ku głównej bramie mając nadzieję, że tam nie było łuczników.

Gdy już trochę oddalił się, obawa przed pochwyceniem znikła. W ucieczkach nigdy nie

zdarzało mu się potykać, a ludzie podziemi z pewnością nie byli dobrymi biegaczami.

Długimi krokami sadył ku bramie, wokół niego śmigwały strzały, na szczęście żadna nie była celna. Drzwi stały przed nim niczym obietnica rajów. Wiedział, że dla goniących go światło słońca było tym, czym dla innych zaraza.

Lekko przebiegł przez bramę na plac przed świątynią. Zaśmiał się śmiechem zwycięzcy, ale ten śmiech nie trwał długo. Achilea i jej trzy dworki, które powinny już dawno siedzieć na wielbłądach i uciekać z miasta, stały przed nim z opuszczonymi głowami i wyrazem klęski na twarzach. Za nimi stało dziesięciu ludzi. Niektórzy z nich wyglądali na ludzi pustyni, inni byli obcymi wojownikami. Przed nimi stał ktoś, kogo Conan znał.

— Ty, jak sądzę, jesteś Conan z Cymmerii? — odezwał się wysoki chudy człowiek w

purpurowym turbanie. — Znasz chyba mojego przyjaciela, Vladiga? — ręką wskazał

mężczyznę w wysokich czerwonych butach. Vladig pozdrowił go z ironicznym uśmiechem na twarzy. — Ja jestem Arcases, mag z Qum w Iranistanie. Dobrze, że wreszcie się spotykamy, bo wiele jest do omówienia.

Conan zobaczył, że jego ręce niedbale bawią się garścią błyszczących purpurowych kryształów.

ROZDZIAŁ XIV

Mężczyzna w czerwonej, jedwabnej kurcie, wykończony małymi metalowymi płytkami, zabrał Conanowi miecz i sztylet. Cymmerianin mimo zaskoczenia postarał się zapamiętać jego twarz i ubiór, by w odpowiednim momencie odebrać od niego swoją broń.

— Nic wam się nie stało? — spytał Achileę nie zwracając uwagi na czarownika.

— Nic, jak sam widzisz — odrzekła — mimo że nie jesteśmy wolne. Conanie, czy naprawdę zamknąłeś za nami bramę?

— Tak — przyznał — chciałem dać wam więcej czasu. Myślałem, że już dawno jesteście poza miastem.

— Jak widzisz niepotrzebnie zadawałeś sobie tyle trudu. — Mimo niedbałego tonu, jakim do niego mówiła, dostrzegł nowy błysk w jej spojrzeniu. — Zabroniłabym ci, gdybym

wiedziała.

Conan uśmiechnął się szelmowsko.

— Dlatego nic nie mówiłem. Nie byłem w nastroju do dyskusji.

— Moi bohaterscy przyjaciele — rzekł spokojnie Arcases — pozwólcie, że będę niegrzeczny. Mieliście wiele czasu, by ze sobą rozmawiać, więc teraz możecie powściągnąć języki. Ja mam tu interesy nie cierpiące zwłoki. Pójdźcie ze mną. — Dał znak swojej świcie i wszyscy zostali poprowadzeni w sposób, który stawał się już zwyczajem. Conan obejrzał się za siebie i w prześwicie bramy ujrzał tłum zamaskowanych twarzy, wśród których, jak mu się zdawało, dostrzegł Abbadasa. Wiedział, że wraz z nadejściem nocy wyjdą na miasto, ale nie uważał za stosowne poinformować o tym Arcasesa.

— Gdzie jest Amram? — wyszeptał bokiem ust. Achilea wzruszyła ramionami.

— Nie widziałam go, od kiedy wyszliśmy ze świątyni, jest tam wciąż, jak sędzę.

Conan pokręcił w zadziwieniu głową. Ten człowiek naprawdę był śliski jak węgorz.

Achilea spojrzała w górę.

— Jeszcze kilka dni temu nie uwierzyłabym, gdyby ktoś mi powiedział, że będę chciała cieszyć się słońcem. Perspektywa spędzania życia pod ziemią to sprawiła. Nawet w niewoli jego widok działa na mnie jak balsam.

— Spokój tam! — odezwał się srogo Vladig.

— Z szacunkiem do lepszych od siebie, psie! — rzekła Achilea marszcząc brwi. — Gdybyś był godzien paść mi do stóp i tak naplułabym na twoją głowę.

Vladig warknął i chwycił za rękojeść miecza, ale Arcases wypowiedział spokojnie tylko jedno słowo. Vladig natychmiast uspokoił się i odwrócił twarz od więźniów. Conan i cztery kobiety zachichotali. Była to mała rekompensata za dni nieprzerwanych upokorzeń.

Gdy szli przez labirynt miasta, Conan rozglądał się i zauważył, że coś się zmieniło w jego wyglądzie. Trącił Achileę i lekkim skinieniem głowy wskazał górne kondygnacje budynków.

Ręce mieli wolne, ale lepiej było unikać wyraźnych gestów. Spojrzała w górę i ujrzała to, co on.

Gdy po raz pierwszy szli przez starożytne miasto, wydawało się, jakby nigdy nikt w nim nie zamieszkiwał. Omia opowiadała mu o nocnych drużynach, które utrzymywały miasto w nienagannym porządku, od kiedy mieszkańcy zesli pod ziemię. Teraz coś się zmieniło.

Gwiazda, półksiężyc i inne elementy kopuł budynków zniknęły, a same kopuły były

zniszczone. Niektóre były częściowo zmiażdżone, jakby młotami kowalskimi, inne wyglądały na stopione. Ich szczyty zniknęły, a kamień, szkło, ceramika i kuty brąz zostały jakimś sposobem zamienione w masę przypominającą lawę.

Wyglądało to na celowe działanie, jakby ktoś od samej góry próbował rozebrać miasto

cegła po cegle, kamień po kamieniu. Conan rozumiał, że można czegoś takiego dokonać za pomocą łomu i młota, ale tu roztopiona została najtrwalsza substancja. Wolał nie myśleć, jakim sposobem.

Payna trąciła łokciem swoją królową i wskazała boczną ulicę. Leżały na niej zmasakrowane ciała ludzi w maskach takich, jak ci, co zamieszkiwali podziemne miasto. Niektórzy byli pewnie niewolnikami, inni byli zbyt okaleczeni, by można ich było rozpoznać. Conan

przypominał sobie rozgromione plemię, którego pomordowanych członków znaleźli na

pustyni. Z uliczki dochodził odrażający smród i w normalnym mieście towarzyszyłyby temu roje much. Conan podejrzewał, że był to oddział konserwatorów z zeszłej nocy, którego zadanie kolidowało z pracą burzycieli.

Dotarli do murów miasta i zastali bramę otwartą na oścież. Przeszli przez nią i znaleźli się w obozie z namiotami porozstawianymi w pobliżu rynny z wodą. W trawie pasło się wiele wielbłądów i Conan próbował rozpoznać te, na których przyjechali tu wraz z Karłem i

Hyrkańczykami. Wysokich białych wielbłądów nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Zaprowadzono ich do największego namiotu. Na pustynną modłę trzy jego płachty były uniesione, a tylko jedna spuszczone dla cienia i ochrony przed wiatrem. Tylko że, zauważył

Conan, tutaj nie było wiatru. I wtedy zaskoczony poczuł lekką bryzę. Spojrzał w górę i ujrzał, że idealny kształt niecki, w której znajdowało się miasto nie jest już tak idealny. Na powierzchni widać było zagłębienia, i zobaczył wyraźnie, że wiatr zwał chmurę piasku z krawędzi do wnętrza.

— Siadajcie — rzekł Arcases krzyżując nogi i opadając na poduszki. — Oddalcie się. Chcę porozmawiać z tymi ludźmi na osobności. — rzekł do straży.

— Ależ panie... — zaczął Vladig, ale Arcases mu przerwał.

— Jestem bezpieczny — rzekł, a z jego władczyego spojrzenia widać było, że ponad wszelką wątpliwość ma rację. Vladig skłonił się i dał pozostałym znak do odejścia, po czym wszyscy niechętnie wycofali się.

Conan i Achilea zasiedli naprzeciwko Arcasesa w bliskiej odległości. Kobiety Achilei usiadły tuż za nią. Natychmiast, jakby z przyzwyczajenia zaczęły masować jej plecy.

— Przysporzyliście mi niemało zmartwień — zaczął Arcases. — Przybyłem tu

spodziewając się walki z innymi czarownikami albo wyższymi siłami. Wiedziałem, że są tu strażnicy, ale oczekiwałem takich samych szumowin, jakich sam wynająłem — wskazał na grupę pustynnych, którzy zajęci byli parzeniem ziołowej herbaty na ogniskach z rozpalonych suchych krzaków. Arcases zwrócił swój wzrok z powrotem na nich. — Nie spodziewałem się barbarzyńskiego bohatera i amazońskiej królowej.

— Życie pełne jest niespodzianek — rzekła Achilea tonem tak godnym, jakby otaczała ją świta naperfumowanych dworzan.

Mag zaśmiał się.

— A któż wie o tym lepiej niż czarownik? Mimo to jednak mogliście być mi pomocni, nawet nieświadomie.

— Sprowadziłeś na nas burzę piaskową! — rzekł Conan. — I nie mam wątpliwości, że to ty nasłałeś na mnie demony!

Arcases popatrzył na niego łagodnie.

— A czegoż się spodziewałeś? Szpiegowaliście w moim obozie. Niełatwo wybaczam takie zuchwalstwo niższym ode mnie.

— Nie wolno się tak zwracać do mojej królowej! — rzekła Payna dumnie, jakby sama była księżną.

— Twoja królowa jest moim więźniem. Bądź cicho, kobieto.

Achilea poklepała Paynę po ręku.

— Tak, zachowaj spokój, moja wierna słuگو. Ten człowiek chce czegoś od nas, a dopóki nie dowiemy się czego, musimy znosić jego fochy.

Czarownik poczerwieniał na twarzy. Po chwili z wysiłkiem uspokoił się jednak. — Na początek chciałbym wiedzieć, co wydarzyło się tam na dole.

— Biegaliśmy, walczyliśmy i wspinaliśmy się chyba przez całe wieki — rzekł Conan. —

Nie wzgardzilibyśmy poczęstunkiem i napojami, zanim przejdziemy do interesów.

Prawdziwy człowiek pustyni zaproponowałby odpoczynek w swoim namiocie nawet jeńcom.

— Wasza bezczelność nie zna granic! — rzekł ze złością Arcases. — Choć z drugiej strony, czego można się spodziewać po barbarzyńcach!

— Spodziewaj się tego po ludziach z północy — rzekł Conan. — Nie jesteśmy oślizgłymi lizusami jak twoi towarzysze — wskazał głową małą grupę na zewnątrz.

Arcases klasnął w dłonie i krzyknął. Wniesiono jedzenie i picie — racje podróżne i rozwodnione wino. Gdy zaspokoiли pierwszy głód, rozsiedli się wygodnie gotowi do negocjacji.

— Czego chcesz się dowiedzieć — spytał Conan. — Widziałeś walkę z krokodylem, czyż nie? Dostrzegliśmy twojego kryształowego człowieka. On jest twoim wzrokiem i słuchem?

Arcases ponownie się uśmiechnął.

— Nie jesteś tak głupi, na jakiego wyglądasz, Cymmerianinie. Jest tylko wzrokiem, niestety. Te kryształy działają tylko na poziomie wzroku. Tak, widziałem walkę. Bardzo imponująca. Wtedy zorientowałem się, że nie jesteście zwykłymi ludźmi i że wasza tu

obecność może nie być całkiem przypadkowa. Zacznijmy więc od tego, jak to się stało, że zostaliście zatrudnieni przez mojego Przeciwnika.

— Masz na myśli bliźnięta? — spytała Achilea.

— Mam na myśli swojego Przeciwnika — powtórzył z naciskiem. — Opowiadajcie.

Achilea opowiedziała więc, jak spotkali się w wyjętej spod prawa wiosce Leng, daleko w górach Brythunii, i jak desperacja doprowadziła ich do wzięcia udziału w szaleńczej

wyprawie tajemniczych bliźniąt na pustynię i jak po drodze ujawniły się ich niezwykle umiejętności.

Conan przejął dalszą opowieść od momentu dziwnych wydarzeń w ruinach świątyni w

Zamorze. Achilea spojrzała na niego ostro, gdy mówił o majestatycznym starcu z białą brodą na ołtarzu i o zupełnej ciszy, w jakiej odbywały się te wydarzenia.

— Nie mówiłeś o tym wcześniej — rzekła z oskarżeniem w głosie.

— Czasem mądrze jest zachować milczenie — odparł Conan.

— Nie zachowuj sekretów przede mną — ostrzegł mag — ja bowiem bez trudu rozpoznam każdą próbę oszustwa. Mów dalej.

Conan opowiadał o wyprawie na pustynię, walce z bandytami i zmasakrowanym plemieniu.

— Bandytów ty wynająłeś, prawda?

Mag potwierdził kiwnięciem głowy.

— Tak, to był próbny atak, by przekonać się, jak bardzo zdeterminowany jest mój

Przeciwnik. Widzisz, od bardzo dawna podążałem za nim. Nigdy przedtem nie spotkałem go ani nie miałem okazji zmierzyć z nim swych sił.

— Mówisz cały czas, jakby to była jedna osoba, a nie dwie — zdziwiła się Achilea.

— Wszystko wyjaśni się w odpowiednim czasie — odrzekł. — To jest, oczywiście, jeśli uznam, że warto wam cokolwiek wyjaśniać.

Conan w najwyższym podnieceniu opowiedział o ostatnim etapie podróży, walce z

demonami i potwornościach pieszej wędrówki przez piaski, która omal nie zakończyła się śmiercią Achilei. Przez cały czas mag słuchał wszystkiego z kamienną twarzą, podnosząc tylko brew, gdy wspomniano Amrama i jego historię. Conanowi zdawało się nawet, że

dostrzegł blady uśmiech na wargach czarownika, uśmiech ten jednak szybko zniknął.

Dalej mówiła Achilea, o wspinaczce na bramę i wędrówce po mieście, starając się

opowiedzieć wszystko jak najszybciej, bo nie była to najważniejsza część. Gdy przeszła do ich pojmania w świątyni, czarownik oparł dłonie na kolanach, przechylił się w przód i przysłuchiwał się uważnie. Na dywanie przed nim garść kryształów pulsowała wewnętrznym światłem.

Gdy opowieść dotarła do punktu rozmowy Omii z Conanem, Cymmerianin mówił dalej.

Powtórzył usłyszaną od niej historię Janagaru, słowo po słowie, a czarownik kiwał głową, jakby to właśnie spodziewał się usłyszeć.

Achilea zakończyła mówiąc o ich ucieczce i o tym, jak Amram towarzyszył im do bram świątyni i jak potem zniknął.

— Resztę — rzekła — jak sądzę, znasz.

— Wszystko z wyjątkiem jednego — zwrócił się do Conana. — Czy Abbadas naprawdę

zabił Omię? Mój homunkulus był tak wysoko, że nie mogłem tego dokładnie widzieć, a jak już mówiłem, nie umie on przekazywać dźwięków.

— Zabił ją — potwierdził Conan. — Poderznął jej gardło, jakby to była pieszczota.

— Chwała bogom — rzekła Achilea, a jej kobiety zawtórowały.

— Nie mówiłabyś tak, gdybyś to widziała — rzekł Conan. — Abbadas nie całkiem jest

człowiekiem, choć z drugiej strony, kto z nich jest. Arcasesie — zwrócił jasne spojrzenie swoich niebieskich oczu na czarownika — opowiedzieliśmy ci prawdę i nie próbowaliśmy ci grozić. Czy w zamian wyjaśnisz nam kilka spraw?

— Dobrze. Wiedźcie więc, że historia Janagaru opowiedziana wam przez Królową Omię

jest prawdziwa, oczywiście o ile ona sama ją знаła. Każdy naród opowiada swoją historię jakby był jedyny na świecie. Zawsze są jednak inne. Tak też stało się z Janagarem. Wielkie imperium Janagaru miało pod sobą wiele miast-państw, których blask był niewiele mniej jasny od królowej świata i w czasach pełnych błędów popełnianych przez królów-kapłanów zaczęły stawiać opór i nabierać obaw co do szlaku, którym podążali zuchwali czarownicy.

Jednym z nich był Pulawar leżący niedaleko dzisiejszej granicy Zamory.

— Tam, gdzie widzieliśmy świątynię? — spytał Conan.

Arcases kiwnął głową.

— Ruiny bez dachu i zwalona wieża to wszystko, co zostało po Pulawarze, który niegdyś mógł iść w zawody z Janagarem. Najpotężniejsi wśród magów Pulawaru utworzyli Gildię

Murghalu, nazwaną tak od Mocy, z którymi rozmawiali.

— Więc inni też kontaktowali się z Mocami? — spytał Conan.

— Tak, choć w przeciwieństwie do magów Janagaru udało im się tego dokonać bez zanieczyszczenia swojej krwi. Starzec, którego widzieliście w świątyni, był ostatnim Mistrzem Gildii. To jest, widzieliście jego ducha, bo on sam nie żyje od tysiącleci. —

Spojrzenie czarownika utknęło w jednym punkcie, jakby pogrążył się w transie. —

Niezliczone lata upłynęły, od kiedy magowie Janagaru próbowali ocalić się poprzez Wielki Czar Niezmienności. Ich rywale z Gildii Pulawaru chcieli zamknąć wszystkie bramy do

wyższych poziomów, a potem próbowali tego samego czaru, ale nie byli tak biegli w

ziemskiej magii i Pulawar obrócił się w żalosne ruiny, które widzieliście. Gdy wiedzieli już, że ich koniec jest bliski, pobudzili do działania liczne czary i inskrypcje, które miały pojawić się, choćby we fragmentach, gdyby szaleństwo Janagaru raz jeszcze zagroziło światu.

— Abbadas! — wykrzyknął Conan. — Gdy zabił Omię, mówił o ponownym przyłączeniu się do świata.

— Raz jeszcze twoje rozumowanie wykazuje powierzchowność — rzekł Arcases. — On

jest ostatnim z królewskiej linii Janagaru i w nim właśnie odrodziły się bluźniercze i zuchwałe ambicje starożytnych czarowników tego przeklętego narodu. Lata temu zaczął

zastanawiać się nad możliwościami przywrócenia ich potęgi i od tego momentu

zabezpieczenia jako czary zaczęły się pojawiać. Mędrcy dotarli do nich, ale są tak

niekompletne, że minęły całe lata, zanim złożono w całość historię i zdecydowano, co należy zrobić. Kilku samotnych czarowników naszego schyłkowego wieku próbowało na własną

rękę szukać miasta w nadziei, że uda im się wyrwać dla siebie jego tajemnice. Jednak większość zginęła podczas tych prób.

— I bliźnięta odkryły jeden z zabezpieczających dokumentów? — spytała Achilea.

Arcases pokręcił głową.

— Oni sami są jednym z zabezpieczeń!

— To nie ma sensu! — zaprotestowała.

— Czyżby? — rzekł czarownik. — Sami spostrzeżeliście ich niezwykle zachowanie — to,

jak mówili niczym jedna osoba, że nigdy nie jedli ani nie pili.

— Tak — rzekł Conan — ale jak to możliwe?

— Pomyśl! — rzucił Arcases — wasze wielbłądy są tam, z resztą stada. Czy dostrzeżliście ich odmienne zwierzęta?

— Nie — przyznał Conan.

— A to dlatego, że nie były wielbłądami, tak jak wasze bliźnięta nie były ludźmi. W rzeczywistości towarzyszyliście tutaj jednej istocie, która przyjęła kształty mężczyzny, kobiety i dwóch wielbłądów.

— To niemożliwe! — krzyknęła Achilea.

— A dlaczegoż nie? — spytał mag. — Co wiecie o istotach nie z tego świata? Gdy

ponownie pojawiły się zabezpieczenia, istota ta została przywołana ze swojego poziomu na ten. Jej masa jest wielka, a z przyczyn, których nie bylibyście w stanie pojąć, musi istnieć równowaga pomiędzy masą a energią. Nie mogła zmniejszyć swoich rozmiarów, ale ma

zdolność do dzielenia się w pewnych granicach. Dla większej wiarygodności przybrała formę dwojga ludzi i dwóch zwierząt. Przywykliśmy do bliskości, jaka panuje pomiędzy

rodzeństwem. Przyznacie, że dwoje bliźniąt na wielbłądach ma w takim wypadku większy sens, niż dziesięciu ludzi zachowujących się tak samo. Chociaż nic do końca byli zdolni do czysto ludzkiego zachowania. — Słuchacze siedzieli osłupiali.

— Nazywasz tę istotę swoim Przeciwnikiem — spytał Conan — dlaczego?

— Przybyła tu, by zniszczyć Janagar — odparł.

— Ty, jak się zdaje, także — rzekł Cymmerianin. — Czy nie powinna być raczej twoim sprzymierzeńcem?

— Nie, ponieważ chcemy zniszczyć miasto każde z innego powodu. Celem mojego

Przeciwnika jest, by otworzyć ostatnią bramę i wpuścić Moc do naszego świata. Ja chcę ją zamknąć na zawsze. Widzicie, żaden z czarowników dawnych dni, ani ci z Janagaru, ani z Pulawar, nie rozumiał prawdziwej natury Mocy. Były obiektem wielowiekowych badań,

prowadzonych przez największych magów tamtych czasów i dziś wszyscy wiedzą już, że nie można igrać z nimi ani traktować ich w sposób, jak robią to ludzie czy też półludzie, jak czarownicy Janagaru. Magowie z Pulawaru nazwali swoją Moc „Murghal” — choć w

zasadzie Moce nie mają imion w ludzkim sensie — i uważali ją za życzliwą. Nie zdołali po prostu dotrzeć do tego, co musieliby nazwać wrogością. Prawda jednak jest taka, że Moce są wrogię wszystkiemu, nawet sobie nawzajem. Wciąż prowadzą ze sobą walkę i pożerają jedna drugą. Podczas swojego ostatniego kontaktu z Murghalem Gildia otrzymała od niego istotę, którą wy poznaliście jako bliźnięta. Przybyła na ten świat nie wiedząc, gdzie jest Janagar.

Musiała szukać jak inni.

— Po co takiej istocie eskorta? — spytała Achilea.

— Na tym świecie jest niemal bezbronna. Większość sił musi zużywać na utrzymywanie swojej fałszywej postaci. Stara się też utrzymać pozory, a dobrze urodzeni i mędrcy nigdy nie podróżują bez eskorty.

— Demony wirów były najwyraźniej pod twoją kontrolą — powiedział Conan. — A jednak przewijają się też przez starożytną historię Janagaru. Jak to jest?

— One, tak jak mój przeciwnik, są kolejnym zabezpieczeniem. Leżały pogrzebane pod

piaskami pustyni od upadku miasta, choć raz czy dwa zostały przypadkowo zbudzone i stąd legendy wśród ludów pustyni. Przebudziły się na dobre, gdy zaczęły działać pozostałe zabezpieczenia. Są pozbawione inteligencji i nie potrafią działać według planu, o ile nie mają przewodnika, stąd to zmasakrowane plemię, na które się natknęliście. Były pewnie jeszcze i inne.

Tak naprawdę — rzekł z uznaniem — nie lada wyczynem jest zabić któregoś z nich. Jeden człowiek walczący z dwoma w ciemności, zabijający jednego i ciężko raniący drugiego... to czyn godny prawdziwego bohatera. Jeden dokument zabezpieczający zawierał formułę, dzięki której mogę je kontrolować. Mogą więcej niż tylko zabijać. Ich szpony mogą rozrywać

kamień, a kwasy, które wydzielają, roztopiają nie tylko kamień ale także metal i szkło. Ta hołota — wskazał pogardliwie na swoich przybocznych — chętnie zabija, ale nienawidzi ciężkiej pracy. Demony mogą działać tylko w ciemności, więc rozdierają miasto na kawałki nocą.

— Ile czasu zajmie im dokończenie tego dzieła? — spytał Conan.

— Niewiele. Nie jest konieczne dokonanie całkowitego zniszczenia, tylko tyle, by złamać Czar Niezmienności. Już teraz jest mocno nadwerżony.

— Gdy spotkaliśmy Amrama — rzekła Achilea — czy raczej, gdy on znalazł nas, mówił o czarowniku imieniem Firagi, którego tutaj prowadził. Czy to było tylko kolejne z jego kłamstw?

Na twarzy czarownika odmalował się wyraz rozbawienia.

— Nic z tego, co mówił, nie jest zupełnym kłamstwem, ale też nie można całkiem wierzyć w to, co

mówi. Człowiek, którego znacie jako Amrama jest czarownikiem Firagim.

— Na Croma! — wykrzyknął Conan wzburzony. — Czy nic tu nie jest takie, jak się wydaje? Uważałem się za dobrego znawcę ludzi i przysięgłbym, że jest zbiegłym niewolnikiem, łotrzykiem, który zerwał się z szubienicy w Koth.

— Jest nim i wieloma innymi. Przypominacie sobie, jak mówiłem wam o samotnych czarownikach poszukujących Janagaru? Firagi jest jednym z nich. W swoim szachrajskim życiu był kiedyś niewolnikiem stygijskiego maga, który wtajemniczył go w arkana tej sztuki.

Ma bystry umysł i talent do odgrywania różnych ról. Przez wiele lat uważany był za szalbiercę i można by powiedzieć, że stał poza prawem, gdybyśmy mieli jakieś prawa. Jest tolerowany przez bractwo, ponieważ jest zabawny i czasem przydatny. Prawdziwy łotrzyk może dostrzec możliwości tam, gdzie prawdziwy mag jest bezradny.

Firagi–Amram odnalazł jeden z pierwszych fragmentów zabezpieczenia: pokryte wyrytymi napisami naczynie, które zaplątało się w sieci jakiegoś rybaka w Keszanie. Odkupił je, ukrył i odczytał. Okazało się, że zawiera jeden z najlepszych opisów Janagaru ze wskazaniem

miejsca, w którym się znajduje. W chwili, gdy naczynie dotarło do rąk bractwa i zostało porównane z innymi informacjami, które mieliśmy, on był już daleko w drodze.

— Dlaczego nie zniszczył go albo nie ukrył? — spytała Achilea.

— Tego nie mógł uczynić. Te fragmenty spowija najpotężniejszy z czarów. Nie mógł znieść jego bliskości zbyt długo i porzucił je na pustkowiu, gdy już wycisnął z niego wszystkie tajemnice. Jak to zwykle bywa z tymi przedmiotami, nie minęło kilka dni, a został

odnaleziony i trafił w ręce bractwa.

— Co to za bractwo? — spytał Conan.

— To coś w rodzaju luźnego stowarzyszenia pomiędzy mistrzami sztuk magicznych.

Zazwyczaj trudzimy się w samotności, czasami spieramy się między sobą, ale w sprawach wielkiej wagi współpracujemy i dzielimy się wiedzą. To właśnie nazywamy bractwem i wielu z nas pracowało nad tą sprawą, od kiedy zaczęły się pojawiać zabezpieczenia. Niemal

wszystko, co wiadomo o Janagarze, jest owocem naszych poszukiwań prowadzonych od

tamtego czasu. Ja zostałem wybrany jako przedstawiciel bractwa podczas ostatniego aktu Nakładania Pieczęci nie dlatego, bym był największy, zupełnie nie, ale dlatego, że na leżących wokół ziemiach jestem nie znany.

Teraz, gdy tu przybyłem, okazuje się, że nie tylko mój Przeciwnik mnie uprzedził, ale także Firagi jest tu od dawna. Jak zwykle udało mu się wyzyskać sytuację dla siebie. Pojmany szybko zdobył sobie pozycję doradcy Omii i Abbadasa. Prawdopodobnie nauczał ich o

naturze świata na zewnątrz i tym bez wątpienia bardzo podsycił ambicje Abbadasa. Wiem również, że wykorzystali go do tych samych celów, do których przeznaczyli was.

— Na Croma! — zawołał Conan. — Oni chyba naprawdę są w desperacji!

— Dlaczego przyprowadził bliźnięta, twojego Przeciwnika, do miasta? — spytała Achilea.

— Być może nie miał wyboru. Jak już wspominałem, nigdy nie był prawdziwym

czarownikiem. Prawdopodobnie został wysłany przez królową Omię z zadaniem wabienia

podróżnych do miasta. Musieli w jakiś sposób wiedzieć, kiedy tacy są w pobliżu. Nie mógł

wiedzieć, kim w rzeczywistości jest Przeciwnik, choć z pewnością zdawał sobie sprawę, że nie są to zwykle bliźnięta i para zwykłych wielbłądów. I, jak zawsze, prowadził jakąś własną grę, pokrętną jak wszystko, co robi.

— Nie wiesz, gdzie jest teraz twój Przeciwnik? — spytał Conan.

— Nie. Jeszcze dwa lata temu wiedziałbym, gdzie go szukać, ale od tamtego czasu dobrze opanował sztukę ukrywania się. Gdy zobaczycie go ponownie, wątpię, by miał postać

znajomych wam bliźniąt.

— Co? — zachnął się Conan. — A po co mielibyśmy chcieć kiedykolwiek ich widzieć?

Jeśli o mnie chodzi, zamierzam wsiąść na swojego wielbłąda i odjechać stąd. Mam szczerze dość tego miejsca i tego, co tu się dzieje, i chętnie zmierzę się z pustynią!

— Zapominasz, że jesteś nie uzbrojony i pomiędzy moimi ludźmi — rzucił Arcases.

Conan szarpnął się, ale Achilea położyła mu rękę na ramieniu.

— Chyba teraz wreszcie usłyszemy, czego od nas chce — powiedziała.

— Co to ma być? — spytał Conan ponuro.

— Na pewno już się domyślacie. Chcę, byście wrócili do podziemnego miasta.

ROZDZIAŁ XV

Pustynne słońce zniżyło się, dotknęło zachodniego horyzontu i zaczęło za nim znikać.

Conan stał na krawędzi wielkiej piaskowej niecki i chłonał jego powolny zachód. Do

niedawna jeszcze idealne kontury niecki teraz były postrzępione wiatrem i naturalnym ruchem piasku. Niedługo miała zapaść ciemność, czas dla demonów, do podjęcia pracy.

Wiedział, że tej nocy wydarzenia przybiorą z pewnością bardziej niż kiedykolwiek

dramatyczny obrót. Zobaczył Achileę wspinającą się po zboczu długimi krokami. Już po chwili stała przy nim. Teraz tylko półkula słońca wyglądała sponad horyzontu.

— Niedługo nadejdzie czas — rzekła. Czerwony blask słońca przeświecał przez jej ciemne, bujne włosy rozrzucone malowniczo przez wieczorny wiatr. — Jeśli to ma być ostatni zachód słońca w moim życiu, to jest przynajmniej piękny.

— Nie podoba mi się to — rzekł Conan. — Nie dbam nic o czarowników i to, co robią.

Mają naszą broń, ale dotąd byłem także bez miecza. Mógłbym zaryzykować przejście przez pustynię. Co ty na to? Tylko ty i ja?

Uśmiechnęła się blado i pokręciła głową.

— Nie, zbyt dobrze pamiętam podróż w tę stronę. Nie wybiorę się więcej na pustynię bez dobrego ubrania i wierzchowca, choćby to miał być śmierdzący wielbłąd. I nigdy nie

mogłabym opuścić swoich towarzyszek.

— Tak jest chyba najrozsądniej. Cóż, wyszliśmy żywi z tego miasta raz, czemu nie mielibyśmy wyjść raz jeszcze.

Jak zawsze nienawidził sytuacji, w których nie był panem samego siebie.

— Conanie — rzekła — czy nigdy nie zastanawiałeś się, dlaczego straciłam tron?

Tego się nie spodziewał.

— Owszem, myślałem o tym.

— Słyszałeś opowieści o tym, w jaki sposób mój lud zapewnia sobie potomstwo? O tym, jak bierzemy jeńców mężczyzn i trzymamy ich tylko do momentu, gdy spłodzimy z nimi dzieci?

— Słyszałem — powiedział.

— To prawda. Niedługo po tym, jak zostałam królową, mieliśmy taką ceremonię. Starannie przebierałam pomiędzy jeńcami. Wybrałam aesirskiego młodzieńca, wędrownego łowcę

przygód jak ty, ale z wyglądu niepodobnego do ciebie. Miał włosy koloru słońca, śmiejące się usta i

wesołe oczy — uśmiechnęła się widząc jego zmieszanie. — Byliśmy ze sobą przez miesiąc i w tym czasie przeżyłam miłość silniejszą niż cokolwiek innego w moim życiu.

— To prawdziwe nieszczęście, skoro musiałaś go potem zabić — rzekł Conan.

— To był mój pierwszy grzech — powiedziała. — Nazywał się Aethewulf i nie mogłam

znieść myśli, że już go nie będzie. Tak więc zanim wiedźmy miały przeciąć jego gardło na kamieniu ofiarnym, zakradłam się do jaskini, gdzie trzymano więźniów i przecięłam jego więzy. Nigdy potem już go nie zobaczyłam i nikt nie widział, jak go uwalniałam, ale

podejrzenie i tak padło na mnie. Moja siostra Brizeis pierwsza zaczęła szerzyć plotki. Trwało to całe miesiące. Mówiono, że Achilea ma zbyt czułe serce, by być królową, i że złamała prawa naszych bogów.

Conan wybuchnął szczerym śmiechem.

— Chyba tylko twoje plemię albo barbarzyńca taki, jak ja mógłby uważać, że masz zbyt czułe serce!

— Nieważne, to był dopiero początek. Po jakimś czasie doprowadzono mnie na krzesło porodowe.

Conanowi zdawało się, że wie, co będzie dalej, ale nic nie powiedział. Teraz nad horyzontem pozostała tylko smuga światła.

— Urodził się chłopiec. To był zły okres — nie przejeżdżały żadne karawany, które mogłyby go zabrać, a inni mężczyźni zginęli z naszych rąk, miał więc trafić do Domu

Wiedźm i tam zostać zabity, jak nakazuje zwyczaj. Nie mogłam znieść tej myśli. Wstałam z miejsca porodu, przedarłam się przez położne i pochwyciłam miecz. Znalazłam siłę, by dotrzeć do Domu Wiedźm i ujrzałam, jak najstarsza z nich trzyma ostrze nad szyją dziecka.

Odrąbałam jej siwą głowę i porwałam niemowlę.

Pobiegłam do swojego konia. Wszyscy schodzili mi z drogi, bo byłam straszna niczym smok! Odjechałam na szczyt wzgórza nieopodal wioski i zobaczyłam, jak moja siostra

zagrzewa kobiety do pościgu, ociągające się chłosta biczem. Podniosłam dziecko w górę i wykrzyknęłam przekleństwo. Potem odjechałam.

Przez wiele miesięcy żyłam samotnie jak zwierzę, pielęgnując dziecko i żywiąc się z tego, co upolowałam. Wtedy przyjechały moje dzikie siostry. Miały dość Brizeis i wołały raczej być ze mną na wygnaniu. Było ich dziesięć, a Payna, Lombi i Ekun to wszystkie, jakie pozostały. Teraz więc już

wiesz. Nawet Jeyba, który był mi bliższy niż jakikolwiek

mężczyzna od czasu Aethewulfa, nie znał całej historii.

— Co stało się z dzieckiem? — spytał Conan.

— Życie, jakie wiodłam, nie było dla niego — rzekła. — Oddałam go rodzinie myśliwych w górach i odwiedzałam go czasami przez wiele lat. Nazwałam go Wulf po ojcu, bo w moim plemienu nie ma męskich imion. Teraz ma już dwanaście lat. Czas, by zaczął ćwiczyć się na wojownika.

Conan milczał przez chwilę. Potem powiedział:

— Achileo, jesteś najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Nie tylko siłą i odwagą, ale i sercem. Jesteś też jedyną prawdziwą królową, jaką widziałem, choć znałem wiele zasiadających na tronach. Gdybym był Aethewulfem stanąłbym przeciwko całemu

twemu narodowi, by cię mieć.

Uśmiechnęła się, przechyliła ku niemu i ich usta spotkały się. Przyciągnął ją do siebie zdecydowanym ruchem, a jej ramiona odwzajemniły uścisk. Jeśli tygrysy łączą się w

pocałunku, to ich pieśczoła musiała przypominać czułości Amazonki i Cymmerianina. Nagle odsunęła się i rzekła:

— Chodź, weźmy naszą broń i umrzyjmy razem. — W jej głosie brzmiało prawdziwe szczęście. Ostatni poblask słońca zniknął za horyzontem.

Weszli do miasta z nagimi mieczami w rękach. Conan i Achilea prowadzili, za nimi szły trzy dzikie kobiety. Dalej, w dużym odstępie szli ludzie Arcasesa, zdenerwowani lecz gotowi do użycia swoich mieczy, łuków i kusz. Na samym końcu szedł Arcases, a na jego ramieniu, niczym oswojony ptak siedział kryształowy człowieczek.

— Ostrożny człowiek z naszego Arcasesa — rzekł Conan nachmurzony.

— To z pewnością najlepsza postawa, gdy ma się do czynienia z wrogami takimi, jakich ma on — odrzekła Achilea. — Ja potrzebuję uczciwego rozlewu krwi i nagiej stali.

— Tak, ja... co to jest? — wszędzie wokół nich słychać było szelest i dźwięki uderzeń.

Cymmerianin zatrzymał się.

— To demony wirów powietrznych rozpoczynają swoją pracę — krzyknął z tyłu Arcases.

— Nie zwracajcie na nie uwagi i idźcie dalej.

Poszli dalej, ale trudno było nie zwracać uwagi na demony. Słychać było rozbijanie

kamieni, tłuczenie szkła i trudne do wytrzymania syczenie. Ponad wszystkim unosił się duszący smród kwasu, który po chwili przyprowadził ich o kaszel, gdy żółta mgła, bardziej przypominająca rzadki płyn niż opar, zeszła po ścianach budynków układając się na ziemi do wysokości kostek. Już chwilę potem poczuli parzące dotknięcie kwasu na stopach i łydkach.

— Na Croma, lepiej się stąd wynośmy! — rzekł Conan wskakując na najbliższe schody.

Achilea i jej dworki ze zwinnością górskich gazel zrobiły to samo, a za nimi spowici w pustynne szaty i zbroje wojownicy. Czarownik kroczył dostojnie, nie zwracając uwagi na wszelkie niewygody.

Na wyższych poziomach miasta powietrze było jeszcze wciąż czyste. Wkrótce dotarli na wielki plac przed świątynią. Jej podwoje były na oścież otwarte i wewnątrz widać było migoczące światła.

— Niedługo będziemy mieli towarzystwo — rzekł Conan. — Jesteś gotowa?

— Jestem zawsze gotowa — odparła Achilea zaciskając palce na szorstkiej rękojeści

miecza. Za nimi stali zamarli w oczekiwaniu najemnicy, a na szczytach budynków

gromadziły się potworne istoty.

— Nie podoba mi się walka po tej samej stronie co one — mruknął Cymmerianin.

— Gdy czeka nas walka przeciwko o wiele liczniejszemu od nas, lepiej nie wybrzydząć co do sprzymierzeńców — zauważyła Achilea.

— Chodźmy — powiedział Conan. Skończył się czas wahania. Na dobre czy na złe, trzeba było zacząć nocne dzieło. Postąpili nie dalej niż na dziesięć kroków, gdy ze świątyni zaczęli wylewać się wojownicy. Powietrze napełniło się przerażającymi wyciami wojennymi i

szumem strzał, z których jednak większość nie znalazła celu w panującym mroku. Wielu z podziemnych wojowników wymachiwało pochodniami powodując ruchome cienie, co jeszcze

bardziej utrudniało rozeznanie.

Pierwsi, którzy dobiegli do Achilei i Conana, padli wśród krzyków i krwi. Najemnicy także czynili użytek ze swojej broni. Podziemny lud był słabszy i ulegał w walce wręcz, choć przewyższał ich liczebnie. Dwóch wojowników Arcasesa padło krzycząc z przebitymi strzałą oczami. Wtedy do walki włączyły się demony.

Conan wywalczył sobie drogę dwadzieścia kroków w głąb świątyni, gdy otoczyły go

cuchnące kształty. Cymmerianin nie mógł wyraźnie dojrzeć szczegółów ich wyglądu i nie był

nawet pewien, czy chce. W kilka chwil został zbryzgany krwawą masą, która nie była

skutkiem użycia broni ze stali. Zamaskowani wojownicy zaczęli wycofywać się w

przerażeniu i panice, a Conan i jego towarzysze cięli ich plecy. Była to desperacka walka przeciwko przygniatającej przewadze liczebnej i nie czas było oddawać się rycerskim

kurtuazjom.

Wewnątrz świątyni paliły się zatknięte pochodnie, z dłoni olbrzymiego posągu strzelały płomienie. Stojąc pod bramą do podziemnego świata, Conan dostrzegł Abbadasa krzyczącego i zagrzewającego swoich wojowników. Jego głos zdradzał wzrastający strach i panikę.

— Nie! Wracać tam, robaki! Oni niszczą miasto, a czas jeszcze nie nadszedł! Wielki Czar Niezmienności musi być jeszcze przez jakiś czas utrzymany! — Nikt jednak nie słuchał jego słów, ponieważ atakujący wojownicy i demony byli już w świątyni.

Teraz impet ataku osłabł, a obrona zwarła szyki, ponieważ demony nie mogły znieść światła pochodni i musiały skryć się w cieniach porywając tylko tych obrońców, którzy podeszli zbyt blisko. Jednak mimo to panika opanowała ich szeregi, wykluczając prawdziwy opór głównie za sprawą samej obecności potworów i kwaśnego odoru. Niektórzy próbowali przebiec obok Abbadasa, chcąc schronić się w podziemiach, ale padli od jego miecza. Na innych spadały razy z bicia, który trzymał w ręku.

— Z powrotem, tchórze! — krzyczał. — Jesteśmy bezpieczni, dopóki pali się ogień!

Jego nieustanne krzyki sprawiły, że podziemni wojownicy uformowali gruby kordon u stóp bogini, blokując dojście do drzwi. Conan, Achilea i kilku najemników atakowali ich, zabijając wielu, ale z tyłu wciąż nadchodzili nowi, by zająć miejsce poległych. Bitwa już słabła, gdy pojawił się nowy przerażający uczestnik.

Z miejsca swojej kryjówki pod kopułą świątyni wynurzył się Przeciwnik.

Powitały go krzyki zaskoczenia i przerażenia. Przez kilka chwil Conan jak sparaliżowany wpatrywał się w coś, co znał pod postacią Monandasa, Yolante i ich dwóch niezwykle wielbłądów. Teraz ukazał się taki, jaki był na właściwym sobie poziomie. Conan ocenił, że jego waga równała się co najmniej tonie. Był okrągłego kształtu, pokryty szorstkim

połyskliwym włosem, a u podstawy mrowiły się purpurowe i zielone macki. Miał też sześć długich ramion zakończonych szczypcami. Jednak najbardziej przerażające były jego oczy.

Płonące własnym światłem, o wąskich źrenicach trzy kule na szczycie odrażającego ciała błyszczały tak przerażającą inteligencją, że bezmyślne demony burzy pustynnej zdawały się przy nich nieszkodliwe.

Przez długie napięte sekundy zbiorowisko walczących stało bez ruchu — i w milczeniu, porażone grozą tego zjawiska. Napięcie prysło, gdy sześć długich, włochatych ramion z nienaturalną zręcznością pochwyciło sześciu szamoczących się i wrzeszczących ludzi.

Szcypce zamieniły ich w krwawą masę i sześć poziomych otworów gębowych

obramowanych rzędami ostrych zębów rozwarło się szeroko. Szczypce wepchnęły rozczłonkowane ciała do otworów. Otwory zamknęły się, a Przeciwnik zaczął rosnąć.

Nad gwar bitewny wzniósł się, niczym grzmot, głos Arcasesa i purpurowe światło zaczęło pulsować wokół jego postaci. Nagle podziemne miasto wydało się Conanowi miejscem

godnym odwiedzin. Z szaleńczą furią zaczął rąbać rząd przed sobą. Jego miecz przypominał wir powietrzny i nawet Achilea odsunęła się w tył przerażona jego dzikością. Wtedy doszedł go przeraźliwy wrzask. — Moja królowo!

Conan obrócił się i oblał go zimny pot. Jedno ramię ze szczypcami pochwyciło Ekun i zaczęło podnosić z podłogi. Nawet wśród wrzawy bitewnej usłyszał trzask jej kości w bezlitosnym uścisku.

Bez cienia wahania Achilea obróciła się w miejscu i bezbłędnie zanurzyła miecz w sercu cierpiącej kobiety. — Umrzyj szlachetna siostró!

Nagrodą było spojrzenie pełne wdzięczności, które szybko zgasło. Ekun nie żyła, jeszcze zanim stał Achilei opuściła jej serce. Dwoma palcami lewej ręki oczyściła ostrze z krwi i wymalowała czerwoną linię od włosów do warg. Payna i Lombi uczyniły to samo.

Potwór stał się jeszcze większy pożywiwszy się nowym ludzkim ciałem. Wtedy spowiła go purpurowa sieć; Arcases rozrzucił ponad nim swoje kryształy. Kamienie wirowały niczym rój os, poruszając się po świetlnych liniach. Z macek potwora wystrzeliły smugi kolorów, z których niektóre trudne były do zniesienia dla ludzkich oczu; stwór porzucił swoje ludzkie ofiary, by zająć się walką z czarodziejem.

Conan nie chciał więcej przyglądać się. Powrócił do walki ze zdwojoną furią. W ciągu kilku chwil jemu i Achilei udało się utorować drogę i znaleźli się wewnątrz posągu. Payna i Lombi były tuż za nimi. Najemnicy albo nie żyli, albo uciekli. Jeszcze kilka ruchów mieczem i droga na spiralną rampę stała otworem. Wbiegli na nią, a każdy krok oddalał ich od tego, co działo się za nimi.

— Abbadasie! — krzyknął Conan, gdy zbiegali w dół. — Gdzie jesteś? Wyjdź mi naprzeciw, psie! Zobacz, czy umrę równie łatwo jak zamordowana królowa! —

Odpowiedziało tylko echo.

W kilka minut później byli już w podziemnym labiryncie, w bok od głównego korytarza.

Dzięki bezbłędnej pamięci Cymmerianin poprowadził ich tą samą drogą, którą uciekali z miasta. Mijali wielu mieszkańców, ci jednak rozpierzchali się przed nimi w przerażeniu.

Wszyscy wojownicy byli albo na górze albo nie żyli.

— Którędy? — krzyknęła Achilea, gdy doszli do rozwidlenia korytarzy.

— Tędy! — odrzekł Conan wybierając korytarz po prawej. Przed nimi słychać było

skrzypienia, chrzęsty i syki. Następnym sto kroków zaprowadziło ich do pomieszczenia gazowni. Pierwszy wpadł do niej Conan, za nim Achilea i dalej Payna i Lombi. Na głębokie westchnienie Lombi wszyscy odwrócili się w jej stronę, by zobaczyć jak zdziwionym

wzrokiem wpatruje się w zakrwawioną stal wystającą spomiędzy jej piersi. Ostrze cofnęło się, a światło w jej oczach zgasło. Z zeszywniałymi nogami padła jak podcięte drzewo. Za nią stał Abbadas ze skrwawionym mieczem w ręku.

Tym razem twarzy uzurpatora nie przykrywała maska i widać było ostre, niezupełnie

ludzkie rysy. Malował się na niej wyraz zmysłowego zadowolenia, gdy umoczył swe palce w krwi pokrywającej ostrze. Podniósł je do ust, na których pojawił się uśmiech.

— Psie nasienie! — warknął Conan ruszając w jego kierunku. Powstrzymał go gest Achilei.

— On jest mój — powiedziała, ale w jej głosie zabrzmiało tyle królewskiej władczości, że Cymmerianin i rozwścieczona, wojownicza Payna zatrzymali się w miejscu. Lwim krokiem Achilea podeszła do Abbadasa, przerzucając zakrwawiony miecz przez ramię. Okręcił się wokół własnej osi i wpadł w ręce Payny.

— Dobrej stali nie można marnować na takich jak ty, podły gadzie! — rzekła głosem przepełnionym pogardą.

Abbadas zachichotał szaleńczo.

— Umieraj, jeśli chcesz, wielka kobieto! — Zrobił krok w jej kierunku wkładając całą swą siłę co cios z góry, którym chciał rozciąć ją od ramienia po biodro.

Potężna ręka Achilei chwyciła mu rękę za nadgarstek i zatrzymała w miejscu. Gadzie oczy wytrzeszczyły się ze zdziwienia, ale niewiele miał czasu na podziwianie jej siły, bo drugą rękę przesunęła po zgięciu jego łokcia i nogą owinęła się wokół jego ciała.

Z całą siłą rąk, ramion, i pleców Achilea nachyliła się w przód używając przedramienia Abbadasa jak dźwigni, a łokcia jako punktu podparcia. Gdyby był w stanie upaść zrećcznie na podłogę, zyskałby sekundę wytchnienia, by podjąć obronę, ale tuż za nim czekało jej żelazne udo uniemożliwiając mu to.

Kości jego przedramienia pękły, łokieć został zerwany, a górna część ramienia wydarta ze stawu wydając straszliwy dźwięk.

Abbadas wrzasnął i sięgnął po sztylet ukryty w pochwie przy pasie. Śmiercionośna stal wystrzeliła w kierunku jej boku, ale Achilea prawą rękę miała już wolną i nią uchwyciła nóż, w momencie, gdy ostrze już miało wbić się w jej nogę.

Bezwładne ramię opadło Abbadasowi wzdłuż boku, gdy Achilea lewą ręką chwyciła go za szyję i w przyływie dzikiej siły podniosła ponad podłogę przyciągając jego twarz do swojej.

Na ustach miała oszalały uśmiech, gdy zaczęła mocniej zaciskać dłonie. Oczy jeszcze bardziej wyszły mu z orbit i gwałtownie poczerwieniały od napływu krwi, która zaczęła tryskać najpierw przez uszy, potem nozdrza i usta. Sztylet wypadł mu z martwej ręki. Achilea rzuciła trupa na podłogę, gdzie niczym wąż z odciętą głową wił się i rzucał jeszcze przez chwilę, a spieniona krew pokryła mu usta poruszona ostatnim tchnieniem jego płuc.

Conan gwizdnął z uznaniem.

— Na Croma, kobieto! Przypomnij mi, bym nigdy nie był po stronie twoich wrogów!

Nie zwróciła uwagi na jego słowa i podeszła do ciała Lombi. Uklękła i zanurzyła dwa palce w jej krwi, po czym namalowała drugą, równoległą do poprzedniej linię na swojej twarzy.

Payna powtórzyła ten rytuał.

Conan urwał skrawek materiału z ubrania Abbadasa, wytarł swoje ostrze i schował je do pochwy. Rozejrzał się wokoło i spostrzegł, że wszyscy robotnicy uciekli, pozostawiając tylko zwalistych niewolników o małych głowach, którzy stali wokół nie mając nikogo, kto

powiedziałby im, co mają robić.

Znalazł wielki zawór główny z sześcioma przykutymi do niego niewolnikami.

— Obróćcie to! — rozkazał.

Wpatrywali się w niego bez śladu zrozumienia.

— Na Croma, Llyra i ich potomstwo! — zaklął chwytając koło, by samemu je poruszyć.

Achilea i Payna przyłączyły się do jego wysiłków, jednak nawet ich połączone siły nie były w stanie go poruszyć.

— Czy mogę w czymś pomóc? — Conan odwrócił się i zobaczył stojącego obok Amrama z rękami założonymi w tył i wyrazem niewinności na twarzy.

— Zastanawiałem się, kiedy się pojawisz — rzekł spokojnie Cymmerianin.

— Czy wolno spytać, po co to robicie? — spytał Amram.

— Dostaliśmy takie instrukcje od czarownika imieniem Arcases, który teraz właśnie walczy na górze z czymś, co nazywa Przeciwnikiem — odparł Conan wskazując grubym palcem w górę.

— Arcases! — rzekł mały człowieczek krzywiąc się. — Wolałbym go teraz nie spotkać.

— Nie musisz — rzekł Conan. — Każ tylko tym niewolnikom odciąć dopływ oparów do miasta.

— Dobrze. — Wyrzekł kilka dziwnie brzmiących słów i niewolnicy przyłożyli ręce do szprych i zaczęli pchać. Najwyraźniej urządzenie nie było używane od dawna, bo wraz z pierwszym poruszeniem zaczęło wydawać z siebie zgrzyty i piski. Niewolnicy pchali niczym marynarze wciągający na statek kotwicę i powoli syczenie zaczęło cichnąć, aż zniknęło zupełnie.

— Dobrze — obwieścił Conan. — A teraz powiedz im, by je rozwalili.

— Co proszę? — spytał uprzejmie Amram.

— Powiedz im, żeby zniszczyli zawór, niech cię, Set! — krzyknął Conan. — Chcę, żeby ta maszyna przestała działać!

— Niepotrzebnie krzyczysz — burknął mały człowiek. — Wystarczą jasne instrukcje. —

Wypowiedział następne słowa w tym samym języku co poprzednio. Niewolnicy

flegmatycznie przesunęli się na jedną stronę koła, na ile tylko pozwalały im łańcuchy, i podłożyli swe barki pod jego krawędź. Potem wyprostowali się z całej siły swych masywnych nóg i pleców. Z jękiem męczonego metalu wielkie koło zaczęło się przechylać, aż z hukiem spadło z podestu na podłogę.

— Czy to wystarczy? — spytał Amram.

— Tego chciał Arcases — odrzekł Conan. — Teraz demony wirów będą mogły wejść do podziemnego miasta, by je zniszczyć.

Amram zamknął oczy, jakby miał problem z przełknięciem czegoś dużego.

— Demony wirów, mówisz? — rzekł z drzeniem w głosie. — Nie możemy tu zostać!

— A jeszcze bardziej nie możemy wrócić na górę! — rzekł Conan. — Na pewno nie do tego, co tam zostawiliśmy!

— I w dodatku serdecznie dość mam pustyni! — dodała Achilea górując nad małym Amramem. — Tak więc Amramie czy Firagi, czy jak cię tam zwa, doprowadź nas do rzeki!

— Tak — rzekł pocierając ręce. — To chyba najlepszy pomysł. Ale żeby niszczyć tak wspaniałe starożytne miasto ze wszystkimi jego skarbami i tajemnicami! Co za strata!

— Powinno szczeznąć już dawno — rzekł Conan. — Zapomnij o nim i prowadź.

— Chodźcie za mną — powiedział Amram i potem całą drogę przez mroczne miasto nie ustawał w biadoleniach. — Pięć lat poświęciłem temu! Miałem się stać bogaty ponad wszelkie wyobrażenie. Wiedza Janagaru miała mnie wynieść wśród najwyższych magów!

— Gdzie prawdziwi czarownicy po prostu odebraliby ci wszystko i wyrzucili — rzekła złośliwie Achilea.

— Poza tym — rzekł Conan — jak na zbiegłego kotyjskiego niewolnika nie wyszedłeś na tym najgorzej — poklepał wypchany worek wiszący u jego pasa. — Chyba nazbierałeś trochę kosztowności podczas pobytu tutaj.

— Trochę, tak. Zaledwie kilka świecidełek — mały człowiek wzruszył ramionami. — Może wystarczą na dobry początek.

— Jeśli to są opale — rzekł znacząco Conan — to jesteś ustawiony na resztę życia.

— Nie zamierzasz chyba pozbawić mnie tej drobnej satysfakcji?

Conan roześmiał się.

— Nie, wszystko, czego chcę teraz, to rzeka.

Szli przez ciemne miasto, gdzie jedynym oświetleniem był słaby blask grzybów.

Mieszkańcy stali w zbitych grupach lamentując nad zagładą, która nawiedziła ich starożytną siedzibę.

— Uciekajcie! — krzyczał do nich Conan. — Jeśli jest w was wola życia, uciekajcie ku rzece. To koniec Janagaru! — Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Zapach rzeki stawał się coraz silniejszy i w końcu weszli za Amramem do ogromnej naturalnej groty, gdzie czarna woda przesuwała się wolnym strumieniem. Przy świetle

skupisk grzybów zobaczyli grubo ciosane małe nabrzeże, do którego zacumowana była długa tratwa z bali, z małą chatką z patyków pośrodku i przywiązaną wydrażoną łódką. Na tratwie stało czterech małych brązowych ludzi, którzy na widok obcych zaczęli wykrzykiwać pytania i gwałtownie gestykulować.

— Ludzie znad rzeki — poinformował swoich towarzyszy Amram. — Chcą wiedzieć, co

oznacza to poruszenie i brak światła w mieście. Obawiam się, że muszę im powiedzieć, że ich handel z Janagarem dobiegł końca. Albo nie, lepiej powiem im to, gdy będziemy już daleko.

— Zaczął rozmawiać z małymi ludźmi w niezrozumiałym dla Conana języku i ci wkrótce się uspokoili.

— Gdzie prowadzi rzeka? — zapytał Conan.

— To pętla, która oddziela się od Styksu — powiedział Amram. Wskazał w lewo. — W

górze, tam gdzie mieszkają wieśniacy, przepływa pod pasmem gór i wynurza się niemal

dokładnie na granicy pomiędzy Punt i Keszaniem. — Wskazał w prawo. — W dół łączy się ze Styksem niedaleko wielkiego zakrętu ze Stygią na południowym brzegu i ziemiami Szem na północnym. Wieśniacy przybywają tu, sprzedają różne towary, włącznie z drzewem tratwy, i wiosłują z powrotem do domu w łódce. Ja zabiorę się z nimi do rodzinnego Keszanu. Myślę, że łódź jest wystarczająco duża dla nas wszystkich.

— Nie — rzekł Conan. — Popłyniemy tratwą. Założę się, że jest jakaś wojna w Szem,

gdzie przyda się miecz i waleczne serce — zerknął spod brwi w stronę Achilei, a ta zaśmiała się.

— Tak, teraz chyba nie mam nastroju na zwiedzanie ciemnych krain dżungli. Jestem za

tratwą — powiedziała.

— Żegnajcie więc, przyjaciele — rzekł Amram wsiadając do łodzi. — Za trzy dni

powinniście ujrzeć ponownie światło słońca. — Pokręcił głową. — Wśród wszystkich

głupców i tchórzów świata musiałem akurat trafić na parę prawdziwych bohaterów!

— Twój bogowie nie kochają cię, Amramie — rzekł Conan. — Ale niech i tak mają cię w

swojej opiece. Żegnaj. — Brązowi ludzie weszli do łódki i ujęli wiosła. W kilka minut później byli już poza zasięgiem wzroku.

— Chodźmy i my — ponaglił Conan. Weszli na tratwę i gdy kobiety wzięły drągi w ręce, on wyciągnął miecz i przeciął liny trzymające ją przy nabrzeżu. Odpychając się długimi żerdziami dotarli do głównego nurtu, wtedy odłożyli je i dali się znosić prądowi. Stopniowo odgłosy miasta

cichły za nimi. Wypłynęli z ogromnej jaskini do węższej, choć wciąż wielkiej.

Nad nimi świecące grzyby zaczęły się przerzedzać.

Na rufie tratwy stała wypełniona ziemią skrzynka i stos drewna. Z pomocą krzesiwa i stali Conan rozpałił mały ogień. Dymiące pomarańczowe płomienie wydawały się jakieś czystsze po nienaturalnym oświetleniu podziemnego miasta. Achilea stanęła za nim.

— Payna — odezwała się — dogładaj ognia. Gdybyśmy płynęli zbyt blisko ściany, odepchnij się drągiem. Conan i ja mamy sprawy do załatwienia w tej tu chacie. Nie przeszkadzaj nam.

Payna spojrzała na Cymmerianina bez cienia sympatii, po czym wypowiedziała najdłuższe zdanie, jakie kiedykolwiek przeszło przez jej usta.

— Moja królowo, cenię tego wielkiego, okropnego zwierza za to, co uczynił dla ciebie, ale, jak już mówiłam, jesteś zbyt pobłażliwa dla mężczyzn.

Oboje weszli do małej chaty. Była prowizoryczna i bez żadnych sprzętów, ale ich niewiele to obchodziło. Achilea odpięła pas i broń upadła na kłody podłogi. Zaczęła zdejmować swoje skąpe ubranie.

— Trzy dni — rzekła. — Czego możemy dokonać w trzy dni?

— Więcej niż zwyczajna kobieta i zwyczajny mężczyzna, — odparł, robiąc to samo. — Jak powiedział Amram, jesteśmy bohaterami!

Wtedy rzucili się na siebie jak para tygrysów.

Wszyscy troje stali na północnym brzegu i patrzyli jak tratwa dryfuje w dół rzeki ku Zachodniemu Morzu. Cymmerianin wyciągnął swoje potężne ramiona rozkoszując się

świeżym, wolnym powietrzem i słońcem, które nie było brutalnym żarem pustyni. Na

południe widać było zarys piramidy, gdzie pochowany był jakiś zapomniany król Stygii. Na północ, wschód i zachód rozciągały się aż po horyzont trawiaste stepy.

— Chodźmy tam — rzekł Conan wskazując zachód. — Jeśli niebawem nie znajdziemy wojny, to ja nie znam Szem.

— Nie — rzekła Achilea ze smutnym westchnieniem. — Ja idę tam — wskazała północ.

— Dlaczego? — spytał Conan, zaskoczony. — Co tam jest?

— Moja kraina. Chcę raz jeszcze zobaczyć syna. I odzyskać tron. Pójdę i stoczę walkę z Brizeis. Wszystkie moje dzikie siostry, z wyjątkiem Payny, zginęły przez nią. Już nadszedł czas jej śmierci.

Conan stał, jak rażony piorunem.

— Dobrze więc, pomogę ci.

Pokręciła głową.

— Nie, Conanie, to beznadziejne. Gdy znów zostanę królową, nie będzie przy mym boku

miejsca dla mężczyzny — uśmiechnęła się blado. — Nie mogliśmy być ze sobą długo,

wiesz to równie dobrze jak ja. Jesteśmy bohaterami, a dla takich dwojga nie ma miejsca pod jednym dachem. W ciągu jednego roku rzucilibyśmy się sobie do gardeł. Żegnaj,

Cymmerianinie. — Przechyliła się do przodu i pocałowała go lekko, po czym odwróciła się i zaczęła iść na północ, a za nią jej ostatnia towarzysza.

Conan stał i patrzył, jak dwie sylwetki bledną na horyzoncie, by w końcu ostatecznie zniknąć. Ze smutnym wyrazem twarzy odszedł na zachód. Daleko za nim wieczne piaski

pustyni pochłonęły ruiny i zgliszcza Janagaru o Opalowych Bramach.